

PETER BENCHLEY

BIAŁY REKIN

PRZEŁOŻYŁA
MARCIN ŁAKOMSKI



Tytuł oryginału
WHITE SHARK

Ilustracja na okładce
KLAUDIUSZ MAJKOWSKI
Redakcja merytoryczna
MIECZYŚLAW REMUSZKO

Redakcja techniczna
WIESŁAWA ZIELIŃSKA

Korekta
DOBIEŚLAW KUBACKI

PETER BENCHLEY

BIAŁY REKIN

PRZEŁOŻYŁA
MARCIN ŁAKOMSKI



Tytuł oryginału
WHITE SHARK

Ilustracja na okładce
KLAUDIUSZ MAJKOWSKI
Redakcja merytoryczna
MIECZYŚLAW REMUSZKO
Redakcja techniczna
WIEŚLAWA ZIELIŃSKA
Korekta
DOBIEŚLAW KUBACKI

Copyright © 1994 by Peter Benchley
This translation published by arrangement
with Random House, Inc.
For the Polish edition
Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o
ISBN 83—7082—852—3

Dla Jeff Brown
oraz pamięci
Michaela W. Cogana
i
Paula D. Zimmermana,
których nam brak

PODZIĘKOWANIA

Za konsultację w kwestiach ichtiologii, ornitologii, wiedzy na temat waleni i rekinów oraz wysokich ciśnień jestem wdzięczny Richardowi Ellisowi i Stantonowi Watermanowi. Za wszelkie niedokładności i przekłamania, jakie mogą wystąpić w tekście, jedynie ja ponoszę odpowiedzialność.

Za cierpliwość, wytrwałość, mądrość, zachętę i przyjaźń jestem niewypowiedzianie wdzięczny, już od niemal dwudziestu lat, niezrównanej Kate Medinie.

P. B.

CZEŚĆ PIERWSZA

~ ROK 1945 ~

1

Od kilku godzin powierzchnia wody u ujścia rzeki była nieruchoma i gładka jak tafla ciemnego szkła.

Potem, tak nagle, jakby wstrząsnęła nią olbrzymia bestia wynurzająca się z głębin, woda wybrzuszyła się i uniosła.

Z początku mężczyzna obserwujący morze ze zbocza nie zwrócił na to uwagi, traktując widok jako kolejną iluzję wywołaną zmęczeniem i migotliwym światłem przesłoniętego chmurami księżyca.

Ale wybrzuszenie powiększało się, aż w końcu pękło, przekłute ledwie dostrzegalną monstrualną głową, widoczną na tle czarnej wody tylko dzięki skrzącym się kropelkom opadającym z jej gładkiej skóry.

Wynurzyły się dalsze partie lewiatana — zaostzony pysk i gładki, cylindryczny korpus. Następnie potwór osiadł bezgłośnie na jedwabistej powierzchni i unosił się na niej bez ruchu, wyglądając, wyczekując na mężczyznę.

W ciemnościach trzykrotnie rozbłysło światło: krótki sygnał i dwa długie — kropka, kreska, kreska — w alfabecie Morse'a oznaczający literę W. Mężczyzna odpowiedział zapalając trzy zapalki w tym samym rytmie. Potem podniósł z ziemi plecak i ruszył w dół zbocza.

Śmierdział i wszystko go swędziało. Ubranie, które ściągnął wiele dni temu ze zwłok na poboczu drogi, zakopując w błotnistym leju po wybuchu własny, wykonany na zamówienie mundur oraz także buty, nie pasowało, było brudne i roіło się od robactwa.

Przynajmniej nie był już głodny. Kilka godzin temu zaatakował parę uchodźców, zmiażdżył im cegłą czaszki i objadł się puszkami podłego mięsa, które tamci wyżebrali u wkraczających do kraju Amerykanów.

Zabicie tych dwojga okazało się interesującym doświadczeniem. Wielokrotnie wydawał wyroki śmierci, spowodował niezliczoną ilość zgonów, ale nigdy dotąd sam nie dokonał zabójstwa. Było to zaskakująco łatwe.

Wędrował, a właściwie uciekał przez wiele dni. Pięć? Siedem? Nie miał pojęcia, ponieważ chwile snu w stogach wilgotnego siana zlewały się w pamięci z godzinami mozolnego marszu po zniszczonych drogach w towarzystwie odrażających wyrzutków słabowitych narodów.

Wyczerpanie stało się jego towarzyszem i jego przekleństwem. Dziesiątki razy upadał do rowu, przewracał się w kępy wysokich traw i leżał dysząc, dopóki nie poczuł, że wróciły mu siły. W tym zmęczeniu nie było nic dziwnego. Miał pięćdziesiąt lat, był gruby, jedyne zaś ćwiczenie, jakie wykonywał przez dziesięć ostatnich lat, to zginanie ręki w łokciu, by pociągnąć ze szklanki.

Mimo wszystko narastała w nim wściekłość. To niesprawiedliwe! Nie musi mieć dobrej kondycji, nie powinien biec. Nie jest siłaczem ani wojownikiem, lecz geniuszem, który osiągnął coś bez precedensu w całej historii ludzkości. Jego przeznaczeniem zawsze było przewodzić, nauczać, inspirować, a nie uciekać jak przestraszony szczur.

Raz czy dwa chciał się poddać i ustąpić, ale oparł się pokusie, bo wiedział, że musi wypełnić swe przeznaczenie. Miał do ukończenia misję zleconą mu przez Fuhrera bezpośrednim rozkazem

wydanym dzień przed samobójczym strzałem i misję tę wykona za każdą cenę, jakkolwiek długo miałyby trwać.

Bo, choć nie był mężem stanu i nie miał umiejętności globalnego widzenia, wiedział, że jego misja ma znaczenie nie tylko dla nauki.

Teraz wyczerpanie, strach i głód całkowicie zniknęły. Schodząc ostrożnie w dół stromego zbocza, Ernst Kruger uśmiechnął się do siebie. Lata jego pracy przyniosą owoce. Jego wiara została wynagrodzona.

Właściwie nigdy, ani razu podczas nie kończących się dni ucieczki czy niezliczonych godzin oczekiwania nie zwątpił, że przybędą. Wiedział, że go nie zawiodą. Niemcy nie są może tak bystrzy jak Żydzi, ale są niezawodni. Robią to, co się im każe.

2

Kiedy Kruger dotarł do kamienistej plaży, czekała na niego mała, gumowa łódka. Jeden mężczyzna siedział u wiosła, drugi stał na brzegu. Obaj mieli czarne buty, spodnie, swetry i wełniane czapki, a ich dłonie i twarze zostały uczernione węglem. Żaden się nie odzywał.

Mężczyzna stojący na brzegu wyciągnął rękę, chcąc uwolnić Krugera od ciężaru plecaka. Tamten odmówił. Przyciskając dla pewności plecak do siebie, wszedł do pontonu i przesunął się do przodu, dla równowagi łapiąc ręką za ramię wiosłarza.

Rozległ się dźwięk gumy ocierającej o kamienie, potem tylko delikatny plusk wiosła rozsuwających spokojną toń.

Dwóch kolejnych mężczyzn stało na pokładzie U-boota. Kiedy ponton podpłynął do okrętu, mężczyźni pomogli Krugerowi wejść na pokład, zaprowadzili go do przedniego wjazdu i przytrzymali otwartą pokrywę, gdy zstępował po drabince w głąb łodzi.

Kruger stał w centrali okrętu, przysłuchiwał się urywanym rozkazom i obserwował natychmiastowe reakcje. W powietrzu wisiała mgła. Wokół każdej żarówki unosiła się mglista otoczka, wszystkie metalowe powierzchnie były mokre w dotyku. Powietrze było nie tylko wilgotne, ale również śmierdziało. Kruger rozpoznał sól, pot, olej napędowy, ziemniaki i coś mdląco słodkiego, jak woda kolońska.

Poczuł się jak więzień w piekielnym bagnie.

Usłyszał stłumiony szum silników elektrycznych i poczuł, że łódź rusza do przodu i w dół.

Oficer w białej czapce odsunął się od peryskopu, skinął na gościa i zniknął w przejściu. Kruger schylił głowę, by przejść przez otwarty właz i podążył za nim.

Wcisnęli się do malutkiej kabiny — koja, krzesło, rozkładany stolik. Dowódca przedstawił się. Kapitanleutnant Hoffmann był młody, miał nie więcej niż trzydzieści lat. Nosił brodę, był bladej posępnej sinością weterana U-bootów. Na szyi zawieszony miał Krzyż Rycerski. Gdy order zaczepił się o kołnierzyk koszuli, odrzucił go na bok.

Krugerowi spodobała się niedbałość tego gestu, która znaczyła, że Hoffmann nosi swój Ritterkreuz od dłuższego czasu i ma zapewne prawo do wieńca dębowych liści, ale nie zawraca sobie tym głowy. Musiał być dobry w swym zawodzie, bo do tej pory przeżył. Niemal dziewięćdziesiąt procent wszystkich U-bootów, które wypłynęły w czasie wojny, zginęło. Z trzydziestu dziewięciu tysięcy ludzi, którzy w nich pływali, trzydzieści trzy tysiące zginęło lub dostało się do niewoli. Kruger przypomniał sobie, jak mówiono mu o gniewie Führera, który przeczytał tę statystykę.

Przekazał dowódcy okrętu najświeższe wiadomości o chaosie w kraju, odwrocie do bunkra, śmierci Hitlera.

— Kto jest nowym przywódcą Rzeszy? — zapytał Hoffmann.

— Dönitz — odparł Kruger. — Ale w rzeczywistości Bormann. — Przerwał, zastanawiając się, czy powiedzieć prawdę. Nie ma już Rzeszy, przynajmniej w Niemczech. Jeśli Rzesza ma przetrwać, jej załączki są tu, w tym okręcie podwodnym. Zdecydował, że dowódca nie musi znać prawdy. —

Pańska załoga? — spytał.

— Pięćdziesięciu ludzi, włączając pana i mnie, sami ochotnicy, członkowie partii, nieżonaci.

— Ile wiedzą?

— Nic — odparł Hoffmann — poza tym, że pewnie nie zobaczą już domu.

— Jak długo potrwa podróż?

— W normalnych warunkach trzydzieści, czterdzieści dni, ale to nie są normalne czasy. Nie możemy popłynąć najkrótszą drogą. Zatoka Biskajska to śmiertelna pułapka, roi się od statków alianckich. Musimy okrążyć Szkocję, wydostać się na Atlantyk i skierować na południe. Na powierzchni mogą osiągnąć prędkość osiemnastu węzłów, ale nie wiem, jaką część drogi będziemy w stanie podróżować w wynurzeniu. Abyśmy mogli pokonać dystans ośmiu tysięcy mil, będę musiał utrzymywać optymalną prędkość, jakieś dwanaście węzłów. Jeśli nas namierzą, spędzimy więcej czasu w zanurzeniu. W zanurzeniu robimy tylko siedem węzłów, a nasze akumulatory wysiadają po sześćdziesięciu milach i potrzebują siedmiu godzin ładowania na powierzchni. Więc mogę panu podać najwyżej przypuszczalną liczbę. Jakies pięćdziesiąt dni.

Kruger poczuł, jak krople potu zbierają mu się na czole i pod pachami. Pięćdziesiąt dni! Jest w tej stalowej trumnie niespełna godzinę i już czuje się tak, jakby zbrojna ręka miażdżyła mu płuca.

— Przyzwyczai się pan do tego — usłyszał. — A kiedy dotrzemy na południe, będzie można przebywać na pokładzie. To znaczy, jeśli w ogóle dotrzemy na południe. Mają nad nami przewagę. A jeśli zostaniemy zmuszeni do walki, będziemy jak jednoręki człowiek. Nie mamy przednich torped.

— Dlaczego?

— Wyjęliśmy je, żeby zrobić miejsce dla pańskiego... ładunku. Był zbyt duży, by przejść przez właz, więc usunęliśmy płyty pokładowe. Potem okazało się, że nie wejdzie między torpedy, więc musiały zniknąć.

Kruger wstał.

— Chcę to zobaczyć — powiedział.

Poszli na dziób, mijając jedną małą kabinę za drugą — radiostację, kwatery oficerskie, kuchnię okrętową. Gdy dotarli na dziób łodzi, Hoffmann odsunął pokrywę włazu prowadzącego do dziobowego przedziału torpedowego. Gość wszedł do środka.

Było tam, bezpieczne w ogromnej skrzyni z brązu. Przez chwilę po prostu stał i patrzył, przypominając sobie lata pracy, niezliczone niepowodzenia, drwiny, pierwszy mały sukces i w końcu swe zwycięstwo — broń inną od wszystkich stworzonych wcześniej.

Zauważył, że brąz zaczął matowieć. Podeszedł do skrzyni i poszukał objawów uszkodzenia. Nie znalazł żadnych.

Oparł rękę o ścianę skrzyni. To, co czuł, było więcej niż dumą. Oto najbardziej rewolucyjna broń, nie tylko w historii Trzeciej Rzeszy, ale w całej historii nauki. Bardzo niewielu ludzi mogło kiedykolwiek powiedzieć o sobie to, co on, Ernst Kruger — że zmienili świat.

Pomyślał o Mengele, Josefie Mengele, swym przyjacielem i zawodowym rywalem. Czy on również uciekł? Czy jeszcze żyje? Czy spotkają się w Paragwaju? Mengele, z powodu swych eksperymentów na ludziach zwany Der Engel des Todes, Aniołem Śmierci, żywił pogardę dla pracy Krugera, uważając ją za niemożliwy do zrealizowania wytwór fantazji. Ale w rzeczywistości badania te miały bardzo praktyczny cel, a ich efekty można by nazwać śmiertcionośnymi.

Kruger szczerze pragnął, by Mengele jeszcze żył. Nie mógł się doczekać, by pokazać mu swoje osiągnięcie, ostateczną broń: Der Weisse Hai.

Odwrócił się i opuścił przedział torpedowy.

3

Kiedy U-boot opływał czubek Szkocji, uderzył w niego gwałtowny, zachodni sztorm. Okręt powoli przesunął się na południe, omijając Irlandię od zachodu i powoli wydostając się na Atlantyk.

Ósmego maja Hoffmann powiadomił Krugera, że przez radio podano komunikat. Niemcy poddały się. Wojna dobiegła końca.

— Ale nie dla nas — odpowiedział Kruger. — Nie dla nas. Dla nas wojna nigdy się nie skończy.

Dni mijały jeden po drugim, nie do odróżnienia, jak spadające z drzewa jesienne liście. Hoffmann unikał stałych tras okrętów, więc nie natrafił na żaden statek aliancki. Trzy razy obserwator dostrzegł na horyzoncie ślady dymu. Sześć razy dowódca rozkazał zanurzyć łódź, nie z powodu niebezpieczeństwa, ale ćwicząc pływanie pod powierzchnią.

Dla Krugera czas stał się monotonnym cyklem posiłków, snu i pracy w przednim przedziale torpedowym. Praca była dla niego najważniejsza, stanowiła jedyną motywację obecnego życia, powód do znoszenia tej nie kończącej się podróży.

Stojąc w przedziale torpedowym, Kruger nacisnął uruchamiający mechanizm guzik ukryty pod małą swastyką wyciosaną w brzoju. Pokrywa potężnej skrzyni uniosła się. Kruger przyjrzał się przez szkło powiększające grubym gumowym uszczelkom w kształcie litery O, zapewniającym skrzyni hermetyczność. Nałożył smar na wszystkie miejsca, które wydały mu się wyschnięte.

Jego zwierzchnicy błyskawicznie pojęli wojskowe zastosowanie tych eksperymentów. W tym, na co on patrzył jak na wielki krok naprzód w nauce, oni widzieli wspaniałą broń. Nie szczędzono więc na eksperyment pieniędzy, a na twórcę wywierano naciski, by go ukończył. Lecz później, gdy sukces był już tak blisko, skończył się czas. Imperium Rzeszy skurczyło się do berlińskiego bunkra, a projektodawcy powiedziano, że broń zostanie przewieziona, mimo że nie zakończono programowania.

W czwartym tygodniu podróży Kruger został wezwany do centrali okrętu. Hoffmann oparł ręce na uchwytych peryskopu, przyciskał twarz do okularu i powoli obracał się po okręgu. Nie podniósł głowy, ale kiedy tylko gość wszedł do kabiny, odezwał się:

— Nadeszła chwila, na którą czekaliśmy, Herr Doktor. Morze jest spokojne, panuje półmrok i leje deszcz. Możemy wyjść na górę i wziąć prysznic. — Hoffmann odwrócił się od okularu i uśmiechnął się. — A z szacunku dla pańskiego stanowiska, włączyłem pana do pierwszej zmiany.

Upłynął już ponad miesiąc, odkąd Kruger kąpał się, golił, mył zęby. Okręt miał niewielki zapas słodkiej wody, a wszystko, co wytwarzały urządzenia uzdatniające, było zarezerwowane wyłącznie do przyrządzania posiłków i do obsługi akumulatorów. Marzył, by poczuć na swej śmierdzącej skórze świeżą wodę.

— Czy to bezpieczne? — zapytał.

— Chyba tak. Nie ma wielkiego ruchu tak daleko na południe. Znajdujemy się około dwóch tysięcy kilometrów na wschód od Wysp Bahama. — Hoffmann odwrócił się do okularu peryskopu i zapytał: — Ile wody pod kilem?

— Trzy kilometry, pięć kilometrów... Masa wody. Niemożliwe, żebyśmy w coś uderzyli.

Jeden z marynarzy otworzył właz kiosku. Podmuch świeżego powietrza zapachniał dla Krugera słodko jak fiołki. Stał u dołu drabinki trzymając kawałek mydła i smakował krople deszczu spadające mu na twarz.

Marynarz zlustrował przez lornetkę horyzont, zawołał:

— Czysty! — i zsunął się po drabince do wnętrza.

Kruger wspiął się na pomost nawodny i zszedł na pokład. Za nim wyszło czterech marynarzy. Stanęli nadzy na rufie, podając sobie kawałek mydła.

Deszcz był obfity, ale delikatny, nie gnany wiatrem, morze zaś zupełnie spokojne. Długie, łagodne oceaniczne fale unosiły łódź podwodną tak delikatnie, że Kruger bez kłopotu utrzymywał równowagę. Przeszedł ku dziobowi na płaski odcinek pokładu, zdjął ubranie i rozłożył je na pokładzie w nadziei, że deszcz wypłucze z niego smród. Namydlił się i rozpostarł ramiona.

— Herr Doktor!

Kruger opuścił ręce i spojrzał w stronę rufy. Czterej nadzy marynarze wspinali się na pomost.

— Samolot! Prędko! — Ostatni marynarz na drabince wskazał na niebo i pospieszył w górę.

— Co? — W chwilę później usłyszał warkot silnika zagłuszający jego własne słowa. Spojrzał w kierunku wskazanym przez marynarza. Przez chwilę nie widział nic. Potem na tle jaśniejszej szarości zachodnich chmur ukazała się czarna plamka, ślizgająca się po grzbietach fal i zbliżająca się prosto ku niemu.

Zgarnął ubranie i pobiegł w kierunku drabinki. Stopą uderzył w coś, jakąś przeszkodę na pokładzie, i upadł jak długi na kolana, rozrzucając ubranie.

Warkot silnika samolotu dźwięczał coraz bliżej, przechodził w wycie.

Oszołomiony przenikliwym, rwącym bólem przesywającym mu nogę od dużego palca aż do tydki, porzucił ubranie i dzwignął się na nogi. Zerknął za siebie, by zobaczyć, w co uderzył. Tuż obok przedniego włazu, od strony rufy, jedna z pokryw pokładu wyglądała na wygiętą, jakby spoiny puściły, uwalniając jedną z krawędzi płyty.

Zaczął wchodzić po drabince.

Hałas silnika był teraz ogłuszający. Schylił instynktownie głowę, gdy samolot zahuczał mu nad głową. Spojrzał w górę. Samolot wspinał się w niebo długą pętlą.

Jeden z marynarzy wychylił się z pomostu, wyciągając do Krugera rękę, ponaglając go.

Usłyszał sygnał zanurzenia awaryjnego dochodzący z wnętrza łodzi. Potykając się o krawędź pomostu i szukając stopą szczebli wewnętrznej drabinki, poczuł drgania silników i odniósł wrażenie ruchu naprzód i w dół.

Pokrywa włazu zamknęła się nad nim ze szczękiem, marynarz zsunął się koło niego po drugiej stronie drabinki i Kruger zorientował się, że stoi na najniższym szczeblu, nagi, przemoczony, ze strużką mydła spływającą mu po nogach.

Hoffmann pochylał się nad peryskopem.

— Mechanik, wyciągaj korek — powiedział. — Ściągamy ją w dół.

Kruger odezwał się:

— Na pokładzie jedna z...

— Głębokość peryskopowa — zawołał mechanik. — Motory pół naprzód.

Kapitan obrócił peryskop o dziewięćdziesiąt stopni.

— Sukinsyn — powiedział. — Wraca, bydlak.

— Nie strzelał do nas — powiedział Kruger. — Może pan...

— Tym razem będzie strzelać, tylko się upewniał. Nie ma zamiaru pozwolić U-bootowi

przedostać się przez Atlantyk, czy wojna się skończyła, czy nie. Schodzimy na sto metrów.

Dowódca zatrzasnął uchwyty i wcisnął guzik chowania peryskopu. Błyszcząca stalowa rura zjechała w dół. Spojrzał na pasażera, zauważył jego przerażony wyraz twarzy i powiedział:

— Niech się pan nie boi, jesteśmy jak igła w stogu siana. Zbliży się noc, a więc prawdopodobieństwo, że nas znajdzie...

— Pięćdziesiąt metrów! — krzyknął mechanik.

— Na pokładzie — powiedział Kruger — widziałem... Jeden z kawałków metalu... Czy zanurzaście już tę łódź na głębokość stu metrów?

— Oczywiście. Dziesiątki razy.

— Siedemdziesiąt metrów, Herr Kaleu!

Siedemdziesiąt metrów pod poziomem morza ciśnienie wody wynosiło prawie siedem kilogramów na każdy centymetr kwadratowy kadłuba okrętu. Łódź zaprojektowano tak, by mogła bezpiecznie funkcjonować na głębokości ponad dwa razy większej, co wielokrotnie robiła. Ale kiedy płyty na przednim pokładzie zostały zdjęte, żeby włożyć ładunek Krugera, jeden ze spawaczy mających je wymienić pracował zbyt pospiesznie. Kilka wierzchnich spoin puściło podczas płytkich zanurzeń, ale te najważniejsze trzymały. Lecz teraz, kiedy tysiące ton wody ścisnęły okręt jak żywa pięść, jedna z nich ustąpiła.

Na dziobie rozległ się donośny huk. Łodzią szarpnęło w dół, ludzie pospadali z foteli. Kruger uderzył o drabinkę, odbił się od niej i w końcu złapał ją, by nie cisnęło nim w przejście.

Hoffmannowi podłoga usunęła się spod nóg. Przytrzymał się peryskopu.

— Wynurzenie awaryjne! — krzyknął. — Podnieść ją! Cała wstecz! Szasować balasty. — Rzucił wzrokiem na Krugera. — Czy zaryglował pan przedni właz?

— Nie parnie...

Rozległ się kolejny łoskot, gdy otworzył się przedni właz. Potężny strumień wody o wysokości półtora i szerokości jednego metra wtargnął z przedziału torpedowego do kwatery podoficerów, przetoczył się przez kuchnię i mesę oficerską.

— Dziewięćdziesiąt metrów, Herr Kaleu! — krzyknął ktoś piskliwie.

Okręt nadal się zanurzał. Kruger poczuł nagle stan nieważkości, jakby jechał windą.

Słysząc było zgrzytliwe dźwięki, gdzieś pękła rura, rozległ się syk pary. Centrala wypełniła się kwaśnym odorem potu, następnie moczu, w końcu oleju i odchodów.

Następny huk na głębokości dwustu metrów.

Ciemność. Krzyki. Zawodzenia.

Na ułamek sekundy przed śmiercią, Ernst Kruger wyciągnął rękę do przodu, w kierunku przedziału torpedowego, ku przyszłości.

4

Okręt podwodny tonął szybko. Pograżał się dziobem w dół, na głębokość trzystu metrów. Tam, dużo poniżej głębokości, jaką miał wytrzymać, pancierz statku poddał się w końcu ciśnieniu w dziesiątkach miejsc jednocześnie. Powietrze uciekało przez pęknięcia w rozerwanym metalu, łodzią trzęsło i obracało. Okręt zaczął się wywracać.

Schodził coraz niżej, na głębokość tysiąca, potem półtora tysiąca metrów. Przy zanurzeniu o każde następne dziesięć metrów, każdy centymetr kwadratowy pancerza obciążało ciśnienie kolejnego kilograma wody. Woda wyszukiwała niewielkie nisze, w których pozostało jeszcze trochę powietrza, i miażdżyła je jak winogrona. Na głębokości trzech tysięcy metrów ponad dwie tony wody napierały na każdy milimetr kwadratowy stali. Ostatnie drobiny powietrza wypłynęły ze zdruzgotanego kadłuba i podryfowały w górę, w ciemność.

Okręt podwodny opadał jak wyrzucona puszcza po napoju, aż w końcu uderzył w zbocze góry, odbił się i przetoczył w zwolnionym tempie, roztaczając chmury nie oglądanego ludzkim okiem szlamu, przesuając kamienie towarzyszące jego wędrówce aż na dno piekielnego kanionu. Tam, wreszcie, sterta powyginanej stali zatrzymała się na dobre.

Ogromna skrzynia odlana z brązu i uszczelniona gumą opierała się penetracji ciekawskiego morza.

Szlam osiadał, czas płynął. Legiony nieskończenie małych organizmów przeczesujących otchłań skonsumowały wszystko, co jadalne.

Na dno oceanu powrócił spokój. Trwał niewzruszony cykl życia i śmierci.

CZEŚĆ DRUGA

~ ROK 1996 ~

26 STOPNI SZEROKOŚCI
GEOGRAFICZNEJ PÓŁNOCNEJ
45 STOPNI DŁUGOŚCI
GEOGRAFICZNEJ ZACHODNIEJ

5

Kompletna ciemność jest na łądzie rzadkością. Nawet w bezksiężycową noc, kiedy chmury kryją gwiazdy, światła cywilizacji rozjaśniają niebo.

W oceanicznej głębi zupełna ciemność jest czymś zwyczajnym. Promienie słońca, od tysiącleci uważane za niezbędne źródło życia na Ziemi, docierają niecałe osiemset metrów w głąb morza. Niemal trzy czwarte powierzchni planety — rozległe równiny, przepastne kaniony i pasma górskie mogące konkurować z Himalajami — otoczone są wieczną ciemnością, przerywaną z rzadka przez bioluminescencję różnych organizmów, które mają zamiar zapolować lub rozmnażać się.

Dwa batyskafy unosiły się koło siebie jak niezwykle kraby o białych korpusach i połyskujących oczach. Dwa pięciotysięcznowatowe reflektory zawieszono na ich wklęsłych pyskach wytyczały przed sobą złotą ścieżkę długości pięćdziesięciu metrów.

— Cztery tysiące metrów — powiedział do mikrofonu radiostacji jeden z pilotów. — Przejście powinno być naprzeciwko. Wchodzę.

— Zrozumiałem — odparł drugi pilot. — Idę za tobą.

Śruby napędowe obróciły się równocześnie z włączeniem silników elektrycznych. Pierwszy batyskaf powoli ruszył do przodu.

Wewnątrz stalowej kapsuły, długiej zaledwie na trzy, szerokiej na dwa metry, David Webber na pół leżał, na pół kuczał obok pilota. Przyciskając twarz do piętnastocentymetrowego iluminatora, patrzył, jak lampy wydobywają z ciemności szare, strome zbocza mułu i skał, ciągnące się chyba bez końca, jakby opadały znikąd, donikąd.

Cztery tysiące metrów, pomyślał Webber. Pełne cztery kilometry wody nad głową, ogrom ciśnienia wokół. Jak wielkie to ciśnienie? Na pewno wystarczy, żeby rozgnieść mnie na papkę...

Nie myśl o tym, powiedział sobie. Jeśli będziesz się nad tym zastanawiał, obleci cię tchórz. A to nie jest czas ani miejsce, na to. Potrzebujesz tej pracy, potrzebujesz tych pieniędzy. Po prostu zrób, co musisz, i wynoś się stąd do diabła.

Kilka kropli skondensowanej pary skapnęło z sufitu i wylądowało mu na szyi. Podskoczył.

Pilot spojrział na niego i roześmiał się.

— Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem — zmartwił się. — Wrzasnąłbym razem z tobą, pomyślałbyś, że się rozwalamy. — Uśmiechnął się. — Lubię to robić nowicjusom i patrzeć, jak wybałuszają gały.

— To miłe — rzekł Webber. — Przysłałbym ci rachunek z pralni. — Zadrżał z zimna i spróbował rozetrzeć sobie plecy. Na powierzchni było trzydzieści parę stopni, pocił się tam w wełnianym swetrze, wełnianych skarpetkach i sztruksowych spodniach. Ale na tej głębokości temperatura spadła o ponad trzydzieści stopni. Zamarzał. Wciąż się pocił, ale tym razem ze strachu.

— Jaka jest temperatura wody na zewnątrz? — zapytał, nie z prawdziwej ciekawości, ale dlatego, że rozmowa podnosiła go na duchu.

— Niska — odparł pilot. — Na pewno dosyć zimno, żeby ci się ptaszek skurczył.

Webber odwrócił się znów do iluminatora i położył dłoń na przyciskach sterujących jednym z

czterech aparatów fotograficznych, które zamontował w ruchomych statywach przymocowanych do zewnętrznej powierzchni batyskafu. Łódź ślizgała się wzdłuż zbocza kanionu, nie kończącego się monochromatycznego rumowiska, wyglądającego bardziej odstraszająco niż powierzchnia księżyca. Kolejny raz przypomniał sobie, że on i pilot są pierwszymi ludźmi, którzy oglądają ten pejzaż, a obiektyw jego aparatu pierwszy utrwali go na filmie.

— Nie do wiary, że coś może tu żyć — powiedział.

— Tak, coś tu żyje, ale nic, co w życiu widziałeś. Są tu istoty bez oczu... — oczy potrzebne są tutaj jak cycki bykowi. Są przezroczyście stwory. Cholera, jakiś rodzaj życia jest prawie wszędzie. Jasne, nie mówię o dnie, o prawdziwym dnie, jakieś dziesięć i pół kilometra w głąb. Nigdy nie byłem tam na dole. Ale pewnie, życie jest tu wszędzie. Wszyscy są zdumieni tym, że jakieś formy życia rzeczywiście tu powstają.

— Tak — zgodził się Webber. — Słyszałem. Nazywają to chemosyntezą.

Chemosynteza to był prawdziwy powód, główna przyczyna, dla której się tu znalazł i odmrażał sobie tyłek, siedząc w całkowitych, nieprzeniknionych ciemnościach trzy kilometry pod poziomem morza.

Chemosynteza, powstawanie życia bez udziału światła, teoria, według której istoty żywe mogą powstać w wyniku reakcji między związkami chemicznymi. Teoria fascynująca, przełomowa, nie sprawdzona.

Udowodnić, że chemosynteza jest możliwa, zarejestrować te dowody, wykazać ich istnienie poza wszelką wątpliwość — to było jego zadanie, marzenie fotografa. Webber, jako wolny strzelec zatrudniony na kontrakcie w National Geographic, miał zrobić pierwsze w historii zdjęcia głębokoceanicznych kraterów w niedawno odkrytym Rowie Kristofa, na dnie Grzbietu Środkowoatlantyckiego, na zachód od Azorów. Kratery wypluwały do lodowatej wody płynne skały z trzewi planety. Wprawdzie były miniwulkanami, ale uważano, że kryją w sobie formy życia powstałe i wykarmione związkami chemicznymi, które się z nich wydobywają. Innymi słowy, formy życia stworzone na drodze chemicznej, nie znające światła słonecznego, nie potrzebujące go, bo mogą narodzić się, wyżyć i zginąć bez niego.

Został wybrany do tego zadania spośród kilkunastu kolegów po fachu, ponieważ cieszył się renomą człowieka pomysłowego, a także ze względu na swój młody wiek i odwagę. Przyjął zlecenie częściowo dla pieniędzy, częściowo ze względu na zaufanie do pisma, ale głównie dla emocji bycia pierwszym, który udowodni, że owo naukowe kuriozum może rzeczywiście wystąpić w przyrodzie.

Nie myślał wtedy o strachu. Sądził, że się na niego uodpornił. W ciągu ostatnich piętnastu lat przeżył trzy katastrofy samolotowe, atak ranionej lwicy, ugryzienia rekinów i muren, ukłucia skorpionów i inwazję szeregu egzotycznych pasożytów i ameb, które oprócz innych niedogodności przyprawiły go o czasową utratę wszystkich włosów na ciele i zniszczenie się naskórka języka i członka.

Krótko mówiąc, był przyzwyczajony do niespodzianek, do najwymyślniejszych sztuczek, jakie mogła mu spletać przyroda.

Nie domyślał się jednak, nie przypuszczał nawet, że nabawił się klaustrofobii. Niepomierne się zdziwił, kiedy wyszło to na jaw w przeciągu zaledwie kilku ostatnich godzin.

Kiedy się to stało? I dlaczego? Błądząc po omacku wzdłuż podwodnego łańcucha górskiego sięgającego dalej w dół niż Góry Skaliste w górę, wiedząc, że jego życie zależy od umiejętności jakiegoś zblazowanego podwodnego rajdowca zasiadającego za sterem maciupkiej kapsuły, którą na pewno zespawał najtańszy możliwy wykonawca, Webber poczuł się słabo — ściśnięty, uwięziony, chory.

Dlaczego nie posłuchał swojej dziewczyny i nie wziął innego zlecenia? Byłby o wiele szczęśliwszy na Morzu Koralowym, trzaskając zbliżenia jadowitych węży wodnych. Tam przynajmniej miałby pewną kontrolę nad sytuacją. Gdyby zrobiło się niebezpiecznie, mógłby po prostu zwać z wody.

Ale nie, musiał zdobyć sławę odkrywcy.

Dupek.

— Jak daleko jeszcze? — zapytał, licząc, że własny głos odwróci jego uwagę od niepokojów duszy.

— Do dymiarki? Niedaleko. — Pilot stuknął we wskaźnik na tablicy przed sobą. — Temperatura wody się podnosi. Musimy być blisko.

Gdy batyskaf opłynął ostrą skałę wystającą ze ściany zbocza, światła przyćmiła nagle chmura gęstego, czarnego dymu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział pilot. Schodzili w głąb, dopóki światła się nie rozjaśniły.

Webber pochylił się do przodu i chwycił przyciski sterujące kamerami.

Powiedz Charliemu, żeby spróbował przepłynąć na drugą stronę — polecił. — Chcę go mieć w kadrze.

— Zrobi się. — Pilot rzucił coś do mikrofonu i Webber ujrzał, jak biały kształt drugiego batyskafu dryfuje przez czarną chmurę, unosząc się jak widmo.

Z tej odległości krater nie wyglądał imponująco — wzburzający wodę pióropusz czarnego dymu na tle ciemnej wody, z rzadkimi błyskami czerwono—pomarańczowych płomieni, gdy wybrzuszenie na dnie wyrzucało przez skórę płynną skałę. Ale Geographic zażyczył sobie pełnej dokumentacji wszystkiego, co zobaczy, więc Webber zaczął robić zdjęcia.

Każdy aparat załadowany był prawie czterystoma klatkami 35-milimetrowego filmu, synchronizowane flesze oświetlały plan bez przerwy, mógł więc robić jedno zdjęcie za drugim, podczas gdy pilot powoli prowadził batyskaf w kierunku ujścia krateru.

Praca przyniosła Webberowi ulgę. Skoncentrował się na kątach i czasie naświetlania, próbując uniknąć blasku światła drugiego batyskafu. Zapomniał o strachu.

Przeszły mu dreszcze, nie marzył już. A nawet było mu gorąco, tak jak wcześniej na powierzchni.

— Jaka jest teraz temperatura na zewnątrz? — spytał.

— Prawie dziewięćdziesiąt pięć stopni — odpowiedział pilot. — Ten krater jest jak piec, podgrzewa wszystko dookoła.

Nagle coś uderzyło w iluminator Webbera i odbiło się rykoszetem w chmurę dymu. Zaskoczony, cofnął się gwałtownie i krzyknął:

— Co jest, do diabła? — Obiekt podpłynął za szybko i zbyt blisko, by mógł dostrzec jakieś szczegóły. Zauważył tylko białą migoczącą plamę.

— Poczekaj trochę — zapowiedział pilot. — Oszczędzaj film. Mamy teraz na zewnątrz masę stworzonek, może nawet znajdziemy coś zupełnie nowego, czego nikt jeszcze nie widział.

Zbliżali się właśnie do ujścia krateru. Prawdopodobnie właśnie tutaj zwierzęta odżywiają się związkami chemicznymi z otworu. Słychać było głębokie, rytmiczne dudnienie, czerwone i pomarańczowe błyski towarzyszyły wypływowi płynnej skały ze szczelin w zboczu.

Obok przemknęło następne zwierzę, potem jeszcze jedno. A później, gdy batyskaf ustawił się nad misą świeżo stwardniałej jawy, pojawiła się ich cała ławica. Krewetki. Ogromne, popielatobiałe, bez oczu. Zobaczył ich tysiące, setki tysięcy, może miliony. Było ich tyle, że wypełniły całe pole widzenia, rojąc się, pulsując jak żywa góra.

— Dobry Boże... — westchnął Webber, równie zafascynowany, co przerażony. — Co one robią?

— Jedzą — odrzekł pilot — cokolwiek jest w tym dymie.

— Krewetki mogą przeżyć w wodzie o temperaturze dziewięćdziesięciu pięciu stopni?

— Rodzą się w niej, żyją w niej i w niej umierają. Czasami któraś z nich wpadnie do ujścia krateru — tam jest jakieś trzysta siedemdziesiąt stopni — i spali się. Pstryk, jak kleszcz w płomieniu zapałki.

Kiedy Webber zrobił tuzin zdjęć, pilot pchnął batyskaf do przodu, rozgarniając krewetki jak gęstą zasłonę z koralików.

Wokół ujścia krateru, zakorzenione w lawie, rosły jak ogród z sennego koszmaru długie, chude łodygi, wysokie na dwa, trzy metry. Z ich szczytów wystawały czerwone i żółte pierzaste palce, poruszające się i wijące w kłębach dymu.

— A cóż to takiego, do diabła? — zdumiał się Webber.

— Pogonofory. Budują sobie takie domki z tego, co wydzielają, a potem wystawiają wachlarze, żeby się pożywić. Patrz. — Pilot wyciągnął jedno z przegubowych ramion batyskafu w kierunku najbliższej łodygi. Gdy stalowe kleszcze ramienia zbliżyły się do niej, wachlarze jakby zastygły, a ułamek sekundy wcześniej zanim zostały dotknięte, zniknęły, cofnęły się niczym za sprawą magii, chroniąc się w swych chitynowych rurach. — Zrobiłeś mu zdjęcie? — zapytał.

— Za szybko — odpowiedział Webber. — Spróbujmy jeszcze raz. Nastawię migawkę na jedną dwutysięczną.

Godzinę później Webber miał zrobionych ponad trzysta klatek filmu. Sfotografował krewetki i pogonofory w zbliżeniu, obiektywem szerokokątnym i z drugim batyskafem w tle. Sądził, że ma przynajmniej dwadzieścia zdjęć o jakości odpowiedniej dla National Geographic. Nie miał pojęcia, czy jego fotografie potwierdzą istnienie gatunków chemosyntetyzujących, czy też udowodnią po prostu, że ślepe krewetki żyją w wodzie o temperaturze dziewięćdziesięciu pięciu stopni cztery kilometry pod powierzchnią morza. Tak czy inaczej, wiedział, że ma parę efektownych ujęć.

Dla pewności kazał pilotowi złowić za pomocą mechanicznych ramion batyskafu pół tuzina krewetek i parę pogonoforów. Zostały umieszczone w koszu na okazy, na zewnątrz łodzi. W laboratorium na pokładzie statku zrobi im później kilka zdjęć w powiększeniu.

— Wystarczy — powiedział do pilota. — Wracamy.

— Na pewno? Wydaje mi się, że twój szef nie będzie chciał wydawać kolejnych pięćdziesięciu patyków, żeby posłać nas z powrotem w dół.

Webber wahał się przez moment, zanim odparł:

— Na pewno. — Był przekonany, że ma zdjęcia, za które mu zapłacą. Znał dobrze swoje aparaty. Czasami wydawało mu się, że jego mózg stanowi ich przedłużenie. Nawet teraz potrafił wywołać z pamięci utrwalone obrazy. Są znakomite, tego był pewien.

— Dobra. — Pilot rzucił do mikrofonu radiostacji: — Spadamy stąd. — Zaczął cofać łódź, odsunął ją od otworu.

Chwilę później Webber robił w notesie zapiski, kiedy usłyszał głos pilota:

— Kurczę...

— Co takiego?

— Popatrz tam. — Pilot wskazywał przez swój iluminator na dno oceanu.

Fotograf nachylił się do własnego iluminatora i wstrzymał oddech, żeby szkło nie zaparowało.

— Nic nie widzę — powiedział.

— Na dole. Panczerze krewetek. Miliardy. Rozrzucone po całym piasku.

— No i co? Nie rozumiesz, że te stworzenia zjadają się nawzajem?

— No, nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chyba jedzą się nawzajem, ale czy wyłuskują się nawzajem ze skorupki? Może to jeden z tych głębinowych rekinów, na przykład rekin szary. Ale czy taki wybierałby krewetkę z pancerza przed pożarciem? Dla mnie to zupełnie nie ma sensu.

— A czy mogą zjadać je w całości i wypluwać chitynę?

— Kwasy żołądkowe u rekina są bardzo silne. Nic by nie zostało.

— Nie rozumiem — przyznał Webber.

— Ja też nie, ale coś musiało zjeść te krewetki, całe cholerne tysiące, i do tego wyłuskać je z chityny. Lepiej przyjrzyjmy się temu bliżej.

Szczałki tworzyły jakby wąską ścieżkę. Pilot zawrócił i ruszył nią, kierując światła w dół i płynąc kilka metrów nad dnem.

Batyskaf sunął powoli, nie szybciej niż kilkadziesiąt metrów na minutę. Po dwóch czy trzech minutach cichy szum silnika i monotony krajobraz zaczęły działać usypiająco. Webber poczuł, że kleją mu się oczy. Potrząsnął głową.

— Czego szukamy? — spytał.

— Nie wiem, ale domyślam się, że tego, co zwykle — wskazówki, która zaprowadzi nas do czegoś, czego nie stworzyła natura. Może jakaś linia prosta, idealne koło, jakakolwiek symetria.

Poruszali się jeszcze tylko przez kilka sekund, kiedy nagle Webberowi wydało się, że dostrzegł jakąś anomalię na krawędzi koła światła.

— Tam — powiedział. — To coś nie wygląda naturalnie.

Pilot zawrócił łódź, światła przesunęły się po dnie. Na dywanie sypkiego mułu pojawiła się masa zdeformowanego metalu. Nie miała wyraźnego kształtu, niektóre elementy były zdruzgotane, inne poszarpane i powykręcane.

— To chyba złom — zaopiniował Webber.

— Tak, ale jaki złom? Co to było? — Pilot przekazał przez radio swoją pozycję do drugiego batyskafu, potem opuścił pojazd, aż jego dno osiadło w mule.

Szeregi metalu rozpostarta była na zbyt dużym obszarze, by można było oświetlić ją reflektorami, więc pilot skierował pełne dziesięć tysięcy watów na jeden jej koniec i manipulował lampami metr po metrze, badając każdy fragment osobno i próbując złożyć je w spójną całość, jakby rozwiązywał łamigłówkę.

Webber nie zaofiarował swej pomocy, gdyż wiedział, że nie może wnieść nic pożytecznego. Był fotografem, a nie inżynierem. Na jego oko ten stos metalu mógł być lokomotywą, statkiem parowym albo samolotem.

Gdy tak czekał, poczuł, że wraca strach. Znajdowali się w tej puszczy pod wodą prawie od pięciu godzin, powrót na powierzchnię zajmie im jeszcze co najmniej trzy. Był zmarznięty, głodny, chciał się wysikać, a przede wszystkim musiał się ruszyć, coś zrobić. Uciec stąd, do cholery.

— Dobra — rzekł. — Dajmy już sobie spokój i wracajmy.

Pilot odczekał długą chwilę, zanim odpowiedział. Gdy się w końcu odezwał, odwrócił się do Webbera i rzekł:

— Mam nadzieję, że została ci jeszcze kupa filmu.

— Dlaczego?

— Bo właśnie znaleźliśmy sobie cholernie fajną premię.

6

Pilot wezwał drugi batyskaf i ustawił go w odległości pięćdziesięciu metrów po drugiej stronie rumowiska. Z pomocą czterech reflektorów, rzucających dwudziestotysięcznowatowy słup światła, mogli ogarnąć wzrokiem niemal cały jego teren.

Pilot uśmiechnął się do Webbera i powiedział:

— No?

— Co „no”?

— No i co to jest?

— Skąd, do cholery, miałbym to wiedzieć? — odwarknął Webber. — Słuchaj, zamarzam, jestem zmęczony, muszę iść do kibla. Zrób mi tę przysługę i daj sobie...

— To okręt podwodny.

— Naprawdę? — zdziwił się Webber i przycisnął twarz do iluminatora. — Skąd wiesz?

— Popatrz tam. — Pilot pokazał palcem. — To ster głębokościowy. A tam muszą być chrapy.

— Myślisz, że to atomówka?

— Nie, chyba nie. Raczej na pewno nie. Według mnie to okręt z drugiej wojny.

— Drugiej wojny?

— Tak. Spróbujmy podpłynąć bliżej. — Pilot powiedział coś do mikrofonu i jak na zawołanie oba batyskafy zaczęły pełznąć ku sobie z minimalną prędkością, ślizgając się tylko tyle nad dnem, by nie wzbijać mułu.

Liczniki w aparatach fotograficznych Webbera powiedziały mu, że zostało osiemdziesiąt sześć wolnych klitek, więc pstrykał oszczędnie. Usiłował wyobrazić sobie, jak wyglądał wrak, gdy jeszcze był cały. Zniszczenia jednak okazały się tak duże, że nie mógł pojąć, jak ktoś mógłby rozpoznać poszczególne części statku.

— Nad czym teraz płyniemy? — zaciekawiał się.

— Wydaje mi się, że to rufa — wyjaśnił pilot. — Leży na sterburcie. Tante rury to chyba pozostałość po wyrzutni torpedowej.

Minęli jedno z działek pokładowych łodzi, a ponieważ rzeczywiście przypominało coś swym wyglądem, Webber zrobił mu kilka zdjęć.

Dotarli do rany ziejącej w burcie statku i ujrzeli w mule, w odległości kilku metrów parę butów wyglądających tak, jakby czekały, że wskoczą w nie czyjeś stopy.

— Gdzie jest facet, który je nosił? — zapytał Webber, pstrykając zdjęcia pod różnym kątem. — Gdzie ciało?

— Musiały go zjeść robaki — odparł pilot. — I kraby.

— Kości też? Robaki jedzą kości?

— Robaki nie, ale morze tak. Na dużej głębokości zimna słona woda rozpuszcza kości. To coś z chemii. Morze poszukuje wapnia. Dawniej chciałem, żeby mnie pochowano w morzu, ale teraz nie, już nie. Nie podoba mi się myśl, że zostanę obiadem krabów—kretynów.

Przesuwając się w stronę dziobu, zobaczyli jeszcze kilka łatwych do rozpoznania przedmiotów: garnki z kuchni, ramę koi, radio. Webber wszystkie sfotografował. Nastawiał właśnie jeden z

aparatów, kiedy na samej krawędzi pola widzenia ujrzał coś, co wyglądało jak litery wymalowane na stalowej płycie.

— Co to? — zapytał, wskazując palcem.

Pilot zawrócił batyskaf i ruszył powoli naprzód. Wyrzał przez swój iluminator i krzyknął nagle:

— Bingo! Właśnie rozpoznaliśmy łódź.

— Naprawdę?

— W każdym razie jej typ. Na jednej z płyt kiosku wymalowane jest „U”. To U-boot.

— U-boot? To znaczy, że łódź jest niemiecka?

— Była. Ale Bóg jeden wie, co robiła tak daleko na południu, na kompletnym pustkowiu.

Webber zrobił zdjęcia litery U pod różnym kątem, a pilot pchnął batyskaf w stronę dziobu łodzi podwodnej.

Kiedy dotarli do przedniego pokładu, pilot wyłączył silnik. Batyskaf unosił się swobodnie.

— To ją zatopiło — powiedział pilot, skupiając światła na ogromnej dziurze w pokładzie. —

Implozja.

Płyty pokładu zostały wgięte do środka, ich krawędzie były pofalowane, jakby uderzył w nie gigantyczny młot.

Kiedy Webber robił zdjęcia, poczuł, że po karku spływa mu pot. Wyobraził sobie ten moment pół wieku temu, kiedy ludzie w łodzi podwodnej nagle zrozumieli, że zaraz zginą. Usłyszał huk wpływającej wody, wrzaski; poczuł zamieszanie, panikę, rosnące ciśnienie, duszenie się, agonię.

— Chryste... — powiedział.

Batyskaf powoli ruszył przed siebie. Światła dotarły do dziury, oświetlając splątane przewody, splecione rury...

— Hej! — krzyknął Webber.

— Co?

— Coś tam jest w środku. Coś dużego. Wygląda jak... sam nie wiem...

Pilot wykonał manewr nad otworem i pochylił dziób batyskafu. Używając kleszczy na końcach przegubowych ramion, oderwał przewody i odsunął rury. Skupił światło reflektorów w pojedynczy strumień i skierował go prosto do wnętrza dziury.

— A niech mnie diabli...

— Wygląda jak skrzynia — ocenił Webber, przyglądając się światłom tańczącym na zielonożółtej powierzchni idealnego prostopadłościanu. — Kufer.

— Albo trumna. — Pilot zamilkł i namyślał się przez chwilę. — Nie. Za duża na trumnę.

Przez dłuższy czas żaden z nich się nie odzywał. Wpatrywali się tylko w skrzynię, puszczając wodze fantazji. W końcu Webber zdecydował:

— Powinniśmy wyciągnąć ją na górę.

— No — skinął głową pilot. — Jedno pytanie: jak? Sukinsyn musi mieć trzy metry długości.

Założę się, że waży tonę. Nie mogę go podnieść batyskafem.

— A wspólnie z drugim pojazdem?

— Nie uniesiemy tysiąca kilogramów. Zresztą może ważyć więcej. Nie damy rady... — Zamilkł.

— Zaraz, zaraz. Wydaje mi się, że na górze w ładowni statku mają osiem kilometrów liny. Gdyby mogli obciążyć ją na końcu i spuścić na dół i gdyby udało nam się zapętlić ją wokół skrzyni, może mamy jakąś szansę... — Wcisnął guzik i powiedział coś do mikrofonu.

Odszukanie obciążonej liny spuszczonej ze statku i opasanie skrzyni pętlą zabrało obu batyskafoom niemal godzinę. Zanim przesłali na statek polecenie, by zacząć podnoszenie, zapas powietrza był już

na ukończeniu. Tak więc, gdy tylko upewnili się, że skrzynia wy dostała się z kadłubu łodzi podwodnej i systematycznie wznosi się ku górze, zrzucili balast i rozpoczęli wynurzenie.

Webber czuł się wyczerpany, ale i podniecony nowym wyzwaniem. Nie mógł się doczekać, aż dotrą na powierzchnię, otworzą skrzynię i przekonają się, co jest w środku.

— Wiesz, co jest w tym dziwnego? — zapytał, obserwując, jak wskaźnik głębokości zapisuje metr po metrze ich podróż w kierunku dziennego światła.

— Wszystko jest dziwne — odrzekł pilot. — Masz na myśli coś konkretnego?

— Ten wrak. Cały był pokryty szlamem. Wszystko miało na sobie szarą warstwę, oprócz tej skrzyni. Była czysta. Pewnie dlatego ją zobaczyłem. Różniła się od całej reszty.

Pilot wzruszył ramionami.

— A szlam przylepia się do brązu? Czy ja wiem...

7

— Nie mogę w to uwierzyć! — krzyczał Weber. — Co oni sobie myślą?

— Co ty, nie znasz biurokratów? — zapytał pilot, siłąc się na współczucie. — Siedzą tylko całymi dniami, dłubiąc palcem w nosie, a teraz, kiedy nagle mają coś do zrobienia, muszą uzasadnić swoje istnienie.

Stali na rufie statku płynącego na zachód, w stronę Massachusetts. Skrzynia spoczywała bezpiecznie na pomoście rufy eliptycznej. Zamontowanie reflektorów na nadbudowie statku zajęło Webberowi kilka godzin. Chciał stworzyć tajemniczą atmosferę, odpowiednią dla momentu otwarcia skrzyni. Wybrał zachód słońca, „magiczną godzinę” fotografów, kiedy cienie są długie, a światło delikatne, bogate i dramatyczne.

A potem, niecałe pół godziny, przed sesją zdjęciową kapitan statku wręczył mu fax z Geographica z dopiskiem „Pilne!”. Miał nie dotykać skrzyni, nie otwierać jej, dopóki statek nie zawinie do portu, żeby ekipa naukowców i historyków oczekująca na brzegu mogła zbadać skrzynię i otworzyć ją w obecności redaktora, wydawcy i ekipy kamerzystów z telewizyjnego programu National Geographic Explorer.

Fotograf był zdruzgotany. Wiedział, co się stanie. Ustawione przez niego reflektory pójdą w zapomnienie, a on sam zostanie splawiony. Będzie musiał ustąpić pierwszeństwa ekipie telewizyjnej, a eksperci zaczną nim pomiatać. Nie dadzą mu zrobić dość zdjęć, by miał obszerne „odrzuty” — fotografie, których nie zechce Geographic i które mógłby sprzedać innym pismom. Jego opinia ucierpi tak samo jak jego konto.

Jednak nic nie mógł na to poradzić, a co gorsza, była to jego własna wina. Powinien stłumić podniecenie i poczekać z zawiadaniem pisma o odkryciu skrzyni.

— Cholera! — wrzeszczał teraz w wieczorny wiatr.

— Daj spokój — poradził mu pilot — zapomnij. Chodźmy do mesy, mam tam przyjaciela, który nazywa się Jack Daniel’s, i umiera z niecierpliwości, by cię poznać.

Siedzieli w mesie i kończyli butelkę Jacka Daniel’sa. Im więcej pilot psioczył na biurokratów, tym bardziej Webber nabierał pewności, że go wykiwano. To on odkrył skrzynię, on sfotografował ją wśród szczątków łodzi podwodnej i właśnie on powinien zrobić pierwsze, najlepsze i jedyne zdjęcia tego, co jest w środku.

O ósmej czterdzieści pięć pilot oznajmił, że spił się do nieprzytomności, i poczłapał do swojej koi.

O ósmej pięćdziesiąt Webberowi zaświtał pewien plan. Poszedł do łóżka i nastawił budzik na północ.

— To jest Montauk Point — poinformował kapitan, wskazując na zewnętrzny pierścień na ekranie radaru — a to Block Island. Gdyby było spokojnie, zakotwiczyłbym koło Woods Hole i zaczął do świtu. — Spojrzał na zegar zamontowany na ścianie kabiny. — Teraz jest pierwsza piętnaście. Za cztery godziny będzie już wystarczająco jasno. Ale ten wschodni wiatr dmucha jak

szalony, więc chcę wejść pod osłonę Block, a potem popłynąć wzdłuż wybrzeża o samym świetle. Nie ma sensu, żebyście wszyscy dostali choroby morskiej, a może jeszcze uszkodzilibyśmy statek.

— W porządku — zgodził się Webber, którego mdliło od litrów kwaśnej kawy chlupoczących mu w brzuchu, gdy statek opadał w dół, a następnie podnosił się krzywo na grzbiety przeczesujących morze fal. Popychany przez ścigające go morze, statek wirował w ciemnościach nocy. — Chyba wróć do siebie i spróbuję się przespać.

— Niech pan sobie ustawi kubek przy koi — podsunął kapitan. — Nie ma nic gorszego niż spać w zarzyganym łóżku.

Webber przyszedł, na pomost nawigacyjny, żeby sprawdzić ilu marynarzy jest na wachcie i znalazł tylko dwóch, kapitana i jego zastępcę. Obaj stali w sterówce i patrzyli w kierunku dziobu. Rufa była pusta, nikt jej nie pilnował.

Wróciwszy do kabiny, Webber wepchnął sobie palec w gardło, zmuszając się do wymiotowania do muszli klozetu. Odczekał pięć minut, znów spróbował wymiotować, ale wypluł samą żółć. Umył zęby i czując się trzeźwiej zarzucił sobie na ramię aparat Nikona z zamontowaną lampą błyskową, podniósł i sprawdził reflektor, a potem wyszedł na pokład rufowy.

Wiatr wiał z prędkością dwudziestu pięciu, trzydziestu węzłów, ale nie padało. Statek płynął z wiatrem z szybkością piętnastu węzłów, co zmniejszało siłę wiatru. Przejście przez płaską, szeroką rufę nie było trudne.

Dwa pięciusetwatowe reflektory zalewały światłem tylny pokład. Batyskafy przysiadły na swoich pomostach jak żuki—mutanty, którym kazano strzec połyskującej zielonożółtej skrzyni leżącej pomiędzy nimi.

Przemierzając trzydzieści metrów pokładu, Webber pozostał w cieniu. Przykucnął obok batyskafu na lewej burcie, upewnił się, że nikt go nie obserwuje z pomostu, w końcu poświecił reflektorem na ścianę skrzyni.

Nie miał pojęcia, jak ciężka jest jej pokrywa. Ważyła setki kilogramów, na pewno więcej, niż mógłby własnoręcznie podnieść. Gdyby musiał, mógłby użyć sprzętu do podnoszenia jednego z batyskafów: dużego stalowego haka przymocowanego do takielunku i napędzanego elektryczną wciągarką. Ale może pokrywa otwierała się dzięki sprężynie, może był tam jakiś zatrzask czy przycisk zwalniający mechanizm.

Wynurzył się z cienia batyskafu, przeszedł przez pokład i uklęknął koło skrzyni. Odwracając się w stronę rufy, by osłonić plecami światło reflektora, przyjrzał się krawędzi pokrywy od końca do końca. Na samym jej krańcu, zaledwie kilka metrów od skraju rufy, za którą pieniał się kilwater unoszącego się i opadającego statku, Webber dostrzegł znak wryty w brązie: małą swastykę. Pod nią znajdował się przycisk. Nacisnął guzik, usłyszał trzask, potem syk i pokrywa skrzyni zaczęła się unosić.

Przez chwilę klęczał zaskoczony, obserwując, jak porusza się do góry niezwykle powoli, wznosząc się nie więcej niż centymetr na sekundę.

Gdy otworzyła się niemal do połowy, wstał, włączył aparat, uniósł go do twarzy, ustawił ostrość i czekał na pisk, sygnalizujący, że lampa błyskowa jest gotowa do pracy.

Pokrywa rzucała cień na wnętrze skrzyni, w przyćmionym świetle obraz oglądany przez obiektyw migotał, był niewyraźny. Skrzynię wypełniała ciecz.

Zastanowił się: czy to twarz? Nie. Ale jest tam coś podobnego do twarzy.

W cieczy zakotłowało się, coś zabłysło jak stal.

Przez ułamek sekundy Webber poczuł ból, potem przypływ gorąca, w końcu wrażenie wciągania pod wodę. A potem, kiedy umierał, miał dziwne uczucie, że jest zjadany.

8

Musiał się pożywić, więc jadło, aż więcej nie mogło. Piło, ssąc łapczywie, nieudolnie, dopóki trzewia nie przestały przyjmować ciepłego, słonego płynu.

Gdy się odżywiło, było nadal zdezorientowane i zagubione. Rozpaczliwie ruszało skrzelami, łapiąc dech, szukając oparcia, którego nie znalazło, dopóki znów się nie zanurzyło.

Impulsy nerwowe przebiegały mu na ślepo przez mózg, przeskakując kolejnymi synapsami, nie potrafiąc uporządkować reakcji. Zostało zaprogramowane, wyposażone w rozwiązania, ale w swym szale nie mogło ich odnaleźć.

Wyczuło, że środki do życia są niedaleko, więc wynurzyło się znów z bezpiecznej skrzyni i zbadało otoczenie.

Tam, właśnie tam. Ciemny, przyjazny świat, do którego musi powrócić.

Brakło mu wiedzy, lecz miało przenikliwy instynkt. Uznawało niewiele imperatywów, ale skłonne było podporządkować się tym, które znało. Jego przeżycie zależało od żywności i schronienia.

Nie miało zdolności twórczego myślenia, ale posiadało ogromną siłę i siłę tę wezwało teraz na pomoc.

Ciągnąc za sobą smugi śluzu i szlamu, przesunęło się na sam koniec skrzyni i zaczęło pchać. Chociaż coraz bardziej brakowało mu tlenu, jego mózg zdołał wytworzyć impulsy elektryczne, które naładowały włókna mięśni.

Dziób statku skrył się pod falą, a rufa uniosła się. Skrzynia przesunęła się naprzód, popychając również stworzenie. Ale potem dziób wspiął się ku niebu, a rufa opadła gwałtownie. Nastąpił krótki moment, w którym pudło stało się nieważkie.

Skrzynia przesunęła się na tył statku, zachwiała na krawędzi rufy i runęła do morza.

Kiedy tylko poczuło chłodne, pokrzepiające dotknięcie słonej wody, jego układy wewnętrzne zareagowały natychmiastową regeneracją. Stworzenie sunęło w głąb poprzez nocne morze, przepełnione prymitywnym odczuciem, że znów jest tam, gdzie być powinno.

Statek podskakiwał na falach, zmierzając ku zawietrznej stronie wyspy. Spryskany krwią aparat Nikona przetaczał się w tę i z powrotem po tylnym pokładzie.

CZEŚĆ TRZECIA

~ 1996 ~

~ WATERBORO ~

9

Simon Chase zbliżył twarz do monitora w kabinie łodzi i osłonił go dłonią. Letnie słońce było wciąż nisko na niebie, jego blask wlewał się przez okna i zmywał wszystkie dane z zielonego ekranu. Wolno poruszająca się biała plamka była ledwie dostrzegalna.

Chase zakreślił palcem linię na ekranie, porównał ją z kompasem i powiedział:

— No i jest. Zwrot o sto osiemdziesiąt.

— Co ona robi? — zapytał jego zastępca, Tall Man Palmer, kręcąc sterem w prawo i kierując łódź na południe. — Była na śniadaniu na Block Island, a teraz wraca do Waterboro na obiad?

— Raczej nie jest głodna — odparł Chase. — Pewnie jest tak pełna wielorybiego mięsa, że nic nie zje przez następny tydzień.

— Albo dłużej — dodał syn Chase'a, Max. Siedział na ławeczce zwrócony w stronę monitora i pilnie spisywał z niego dane na papier milimetry. — Niektóre żarłaczki mogą przeżyć miesiąc bez jedzenia. — Rzucił tę uwagę z wystudiowaną obojętnością, jakby każdy dwunastolatek miał w małym palcu podobne informacje z zakresu oceanologii.

— Och, przepraszam, panie Cousteau — odpowiedział z chichotem Tall Man.

— Nie zwracaj na Tall Mana uwagi, jest po prostu zazdrosny — poradził Chase, dotykając ramienia syna. — Masz rację. — Był dumny i wzruszony, ponieważ wiedział, że chłopiec wyciąga do niego rękę, usiłuje odegrać swoją rolę w budowaniu pomostu, który w innych okolicznościach zostałby zbudowany kilka lat temu. Tall Man skinął głową w kierunku brzegu i powiedział:

— Chodźmy powiedzieć ludziom na plaży, że panienka nie jest głodna. Ubawią się, jak to usłyszą.

Chase spojrział przez okno na kamienistą plażę Watch Hill w stanie Rhode Island. Choć nie było jeszcze dziewiątej rano, na plaży pojawiło się już kilka rodzin z koszykami piknikowymi, piłkami i kołami do pływania. Kilku młodych ludzi w mokrych kostiumach kąpielowych uprawiało surfing, huśtając się na swych deskach i czekając na większe fale, które mogły nigdy się nie pojawić — a przynajmniej nie dziś, bo wiatru nie było nawet w prognozie.

Uśmiechnął się na myśl o panice, jaka nastąpiłaby, gdyby ci ludzie mieli pojęcie, dlaczego ta niewinnie wyglądająca biała łódź krąży w tę i z powrotem niecałe pięćset metrów od brzegu. Ludzie uwielbiają czytać książki o rekinach, ubóstwiają oglądać o nich filmy, szczerze wierzą, że rozumieją rekiny i chcą je chronić. Ale wystarczy im powiedzieć, że gdzieś w promieniu dziesięciu kilometrów w wodzie znajduje się rekin, a zwłaszcza żarłacz biały, a ich uwielbienie natychmiast zmienia się w strach i nienawiść.

Gdyby wiedzieli, że oni płyną właśnie śladem pięciometrowego żarłacza białego, który prawdopodobnie waży tonę lub więcej, ich miłość do rekinów zastąpiłaby żądza krwi. Wrzeszczeliby, żeby go zabić. Później, rzecz jasna, gdy tylko ktoś by go zabił, zaczęliby znów opowiadać jak to kochają rekiny, i że wszystkie stworzenia boże powinno się chronić.

— Rekin wypływa — oznajmił Max, odczytując cyfry na ekranie.

Chase znowu schylił się nad monitorem, osłaniając go ręką.

— Tak, chłodziła się na głębokości pięćdziesięciu metrów, ale jest już tylko na trzydziestu.

— Gdzie znalazła pięćdziesiąt metrów między brzegiem a Block Island? — spytał Tall Man.

— Musi tam być jakiś rów. Mówię ci, Tall, ona zna swój teren. W każdym razie pływa wzdłuż zbocza. — Chase zdjął z haka na ścianie kabiny aparat fotograficzny z obiektywem 85 na 200 mm, zawiesił go sobie na szyi. Zwrócił się do syna: — Chodźmy zobaczyć, czy zechce nam pozować. — I do Tall Mana: — Sprawdź od czasu do czasu monitor, żeby się upewnić, czy gdzieś nie zwiewa.

Podszedł do drzwi i ponownie popatrzył na brzeg.

— Mam nadzieję, że nie wlezie między nas a plażę. Masowej hysterii nam nie trzeba.

— Takiej jak w Matawan Creek — wtrącił chłopiec — w 1916.

— Tak, ale oni mieli powód panikować. Tamten rekin zabił trzech ludzi.

— Czterech — poprawił Max.

— Czterech. Przepraszam. — Chase uśmiechnął się i spojrzał z góry — wciąż mógł patrzeć na niego z góry, choć chłopak miał już metr siedemdziesiąt pięć wzrostu — na drobną kopię samego siebie, identyczną, ale szczuplejszą i przystojniejszą, bo z ostrym nosem i wąskimi ustami swej matki.

Chase zdjął z półki lornetkę i podał ją synowi.

— Masz, idź zobaczyć, czy ją znajdziesz.

Tall Man zawołał do Chase'a:

— Nigdy nie spieraj się z dzieciakiem na temat rekinów. Dzieciaki znają się na rekinach. Na rekinach i dinozaurach.

To prawda, pomyślał Chase, dzieciaki mają fioła na punkcie dinozaurów, a większość dzieciaków ma do tego fioła na punkcie rekinów. Ale nigdy nie widział dziecka, które wiedziałoby na temat rekinów tyle, co Max. Cieszyło go to, a jednocześnie smuciło i bolało, bo rekiny od zawsze były główną, jeśli nie jedyną więzią między ojcem i synem. Przez ostatnich osiem lat nie mieszkali razem, widywali się tylko od czasu do czasu, a — wbrew telewizyjnym reklamom firm telekomunikacyjnych — cotygodniowe rozmowy telefoniczne nie pozwalały wyciągnąć ręki i dotknąć kogoś.

Chase poślubił jego matkę zbyt młodo i zbyt pośpiesznie. Ona była spadkobierczynią producenta drewna, on — ubogim aktywistą Greenpeace'u. Kierowali się naiwną przesłanką, że jej pieniądze i jego idealizm będą doskonale współpracować, przynosząc korzyść planecie i otwierając przed nimi rajskie życie. Jednak wkrótce przekonali się, że mając wspólne cele nie zgadzają się w zakresie środków wykorzystywanych do ich osiągnięcia. Wyobrażenie Corinne na temat działania w pierwszym szeregu ruchu ekologicznego obejmowało wydawanie przyjęć z grą w tenisa, koktajli i szykownych obiadów z tańcami. Dla Simona wiązało się to z przebywaniem całymi tygodniami z daleka od domu, mieszkaniem w cuchnących dziobówkach zaszczurzonych statków i stawianiem czoła bezlitosnym obcokrajowcom na pełnym morzu.

Próbowali pójść na kompromis. Simon nauczył się grać w tenisa i wygłaszać przemówienia, ona nauczyła się nurkować z butlą i odróżniać zębowce od fiszbinowców. Ale po czterech latach oddalania się od siebie, zgodzili się nie zgadzać ze sobą — na zawsze.

Jedynym udanym dziełem ich związku był Max — przystojniejszy niż którekolwiek z nich, inteligentny i wrażliwy.

Corinne uzyskała sądownie prawo opieki nad dzieckiem. Miała pieniądze, dużą, troskliwą rodzinę, dom, a właściwie kilka, w momencie zaś, gdy zakończył się proces rozwodowy, była w trwałym związku z neurochirurgiem, który był najlepszym tenisistą w singlu w całej północnej Kalifornii.

Simon był jedynym synem dawno zmarłych rodziców, nie miał stałego źródła utrzymania ani trwałego miejsca zamieszkania, ale za to miewał przelotne romanse z kobietami, których główną

zaletą była uroda i spora aktywność seksualna.

Corinne zaproponowała byłemu mężowi hojną rekompensatę finansową. Nie była ani okrutna, ani mściwa, pragnęła, by ojciec jej syna mógł pozwolić sobie na przyzwoity dom, w którym odwiedzałby go Max. Ale Chase odmówił w odruchu fałszywej dumy.

Od tej pory kilka razy pożałował tego, co dziś uważał za szaleństwo spowodowane uprzedzeniami. Mógł zrobić z tych pieniędzy dobry użytek, zwłaszcza teraz, kiedy Instytut — jego Instytut — chwiał się na krawędzi bankructwa. Kusiło go, by przemyśleć sprawę, zadzwonić do Corinne i zaproponować, że przyjmie ów ostatni akt dobroczynności. Ale nie mógł się na to zdobyć.

Tym, co go zastanawiało, czego nie mógł sobie wytłumaczyć, był fakt, że w jakiś sposób przez wszystkie te lata, na odległość tysięcy kilometrów, jego syn potrafił przedrzeć się przez pancerz ochronny prywatnych szkół, ekskluzywnych klubów, funduszy powierniczych i podtrzymać obraz swojego ojca jako postaci z książek przygodowych, mężczyzny, do którego nie tylko się tęskni, ale również naśladowuje.

Wychodząc za synem na odkrytą rufę piętnastometrowej łodzi, Chase zsunął z czoła okulary przeciwsłoneczne. Dziś na pewno nieźle przypiecze, będzie 35 stopni nawet tu, na otwartym morzu.

Zanosiło się na jeden z tych dni, które dawniej zdarzały się rzadko, lecz w ciągu ostatnich kilku lat stały się coraz częstsze. Dziesięć lat temu w Waterboro było osiem dni, w których temperatura przekroczyła 30 stopni, trzy lata temu — trzydzieści dziewięć takich dni, a w tym roku meteorologowie przewidywali pięćdziesiąt dni powyżej 30 stopni i aż dziesięć powyżej 40 stopni.

Użył obiektywu jako lunety i zlustrował połyskliwą powierzchnię morza.

— Widzisz coś? — spytał chłopca.

— Jeszcze nie. — Max oparł łokcie na nadburciu, żeby lornetka nie drżała mu w rękach. — Jak ona będzie wyglądać?

— Gdyby wypłynęła wygrzewać się w słońcu tak pięknego dnia, jej płetwa grzbietowa wystawałaby jak żagiel.

Chase zauważył, że na wodzie unosi się opona samochodowa, plastikowa butelka po mleku oraz jedna z zabójczych plastikowych rączek od opakowań po butelkach, które duszą żółwie i ptaki, a także kulki oleju, które będzie się przeklinać jako smołę, kiedy osiadną na brzegu i przylepią się do podeszew dziecięcych stóp. Przynajmniej nie zauważył dziś żadnych części ciała ani strzykawek. Zeszłego lata na miejskiej plaży trzeba było uspokajać kobietę, której czteroletnie dziecko przyniosło w prezencie skarb, jaki znalazło wyrzucony na brzeg — ludzki palec. A pewien mężczyzna odebrał swojemu psu coś, co wyglądało jak gumowa piłka, ale okazało się idealną kulą osadu ze ścieków.

Spojrzał ponad rufą na izolowany przewód przytrzymujący czujnik odbierający sygnały i sprawdził węzeł na kawałku linki utrzymującej sondę na odpowiedniej głębokości. Splot przewodów na pokładzie za nim miał ponad sto metrów długości, ale ponieważ dno było płytkie i wędrujące, trzymali sondę na głębokości zaledwie piętnastu metrów. Linka się przecierała. Wieczorem musi ją wymienić.

— Ciągłe widzisz rekina? — krzyknął do Tall Mana.

Przez chwilę panowała cisza, Tall zerkał na ekran.

— Jest na jakichś piętnastu — powiedział. — Wydaje mi się, że tylko się tak kręci. Ale sygnał jest silny i wyraźny.

Chase przemówił w myślach do rekina, błagając go, by wypłynął, by się pokazał, nie tylko jemu, ale synowi. Przede wszystkim synowi.

Sledzili go od dwóch dni, zbierając dane na temat jego prędkości, kierunku ruchu, głębokości,

temperatury ciała, żądni wszelkich informacji o najrzadszym z wielkich oceanicznych drapieżców, nie widząc go nawet na oczy. Chciał, by mogli go ujrzeć, żeby Max mógł nacieszyć się jego doskonałością, jego pięknem, ale także, aby upewnić się, że rekin jest zdrowy, że nie wdało się zakażenie czy powstał wrzód od przyklepionego elektronicznego sygnalizatora. Został umieszczony bezbłędnie w twardej skórze tuż za płetwą grzbietową, ale ten gatunek zwierząt stał się tak rzadki, że Chase obawiał się nawet najmniejszego prawdopodobieństwa, że go naraził na niebezpieczeństwo.

Odnaleźli go prawie przez przypadek i to akurat w porę, by ocalić go przed losem trofeum na ścianie bufetu.

Chase utrzymywał dobre stosunki z miejscowymi rybakami, ostrożnie nie angażując się w coraz bardziej zagorzały spór na temat ograniczenia połowów ze względu na zmniejszenie się populacji poszczególnych gatunków ryb. Ponieważ nie mógł być wszędzie jednocześnie, potrzebował rybaków, by byli na morzu jego oczami i uszami, by informowali go o wszelkich naturalnych i spowodowanych ludzką ręką incydentach, jak masowe wybijanie ryb, nagłe zakwitanie wodorostów czy wycieki ropy.

Wytrwała neutralność popłaciła w czwartkową noc, kiedy łowiący lufary rybak zadzwonił do Instytutu. Miał dosyć rozsądku, by nie używać radiostacji, którą mogła podsłuchać każda łódź w trzech stanach. Po drodze do domu, opowiedział Chase'owi, że widział martwego wieloryba unoszącego się na wodzie pomiędzy Block Island i Watch Hill. Rekiny już żerowały na trupie, ale były to w większości żarłacze błękitne. Rzadkie i pływające samotnie żarłacze białe nie wyczuły jeszcze pożywienia.

Ale wyczują; te, które wciąż patrolują zatokę pomiędzy Montauk i Point Judith, wkrótce go wyczują.

Więść dotrze do kutrów czarterowych, których kapitanowie zadzwonią do swoich najlepszych klientów i obiecują im za półtora albo dwa tysiące dolarów strzał do jednego z najbardziej poszukiwanych morskich trofeów — najdoskonalszego drapieżcy, największej mięsożernej ryby świata: żarłacza białego. Szybko odnajdą wieloryba, bo jego obraz łatwo złapać na radarze, i będą krążyć wokół niego, podczas gdy ich klienci sfilmują wzbudzające postrach widowisko — wywracającego oczami rekina, jego szczęki oddzierające dwudziestokilogramowe kawały wielorybiego mięsa.

A potem, pijani marzeniem o sprzedaniu szczęk za pięć czy dziesięć tysięcy dolarów, ślepi na fakt, że mogą zarobić jeszcze więcej, jeśli zostawią rekina w spokoju i policzą klientom za przywilej sfilmowania go, zabijają zwierzę harpunami. Bo, powiedzą sobie, jeśli nie zrobimy tego my, zrobi to kto inny.

Nazwą to sportem. Dla Chase'a był to sport nie lepszy od strzelania do jedzącego obiad psa.

Od wielu lat, razem z naukowcami, od Massachusetts przez Florydę po Kalifornię, wywierał naciski, by żarłacza białego oficjalnie uznać za gatunek zagrożony, podobnie jak w niektórych częściach Australii i Republiki Południowej Afryki. Ale żarłacze białe nie były milutkimi ssakami, nie uśmiechały się do dzieci, nie „śpiewały” ani nie nawoływały się czarującym klekotaniem, nie przeskakiwały również przez obręcz dla płacących za widowisko klientów. Były mięsożernymi rybami, które od czasu do czasu, ale rzadko — o wiele rzadziej niż pszczoły, węże, tygrysy czy pioruny — zabijają ludzi.

Wszyscy zgadzali się z faktem, że żarłacze białe są cudem natury, który przetrwał w niemal niezmiętej formie dziesiątki milionów lat, że są niezwykle pod względem biologii i fascynujące z punktu widzenia mechaniki, że pełnią doniosłą rolę w utrzymywaniu równowagi w morskim łańcuchu pokarmowym. Ale w czasach napiętych budżetów i sprzecznych priorytetów opinia publiczna nie interesowała się ochroną zwierzęcia, które postrzegano wyłącznie jako rybę, która pożera ludzi.

Chase wiedział, że już niedługo, może przed końcem tysiąclecia, wszystkie żarłaczki białe wyginą. Dzieci będą podziwiać ich głowy zawieszane na ścianach, oglądać sfilmowane rekiny na Discovery Channel, ale w ciągu jednego pokolenia nie zostanie po nich nawet wspomnienie. Jak po dinozaurach.

Chase po rozmowie z rybakiem, w pierwszym odruchu, chciał zabrać materiały wybuchowe, odszukać wieloryba i wysadzić go w powietrze. Byłoby to rozwiązanie najlepsze, najszybsze i najbardziej skuteczne: wieloryb zniknąłby z radarów kutrów, rekiny by się rozpieczęły. Ale było to również rozwiązanie najniebezpieczniejsze, ponieważ zniszczenie zwłok wieloryba to przestępstwo federalne.

Ustawa o Ochronie Ssaków Morskich była majstersztykiem przeciwieństw. Nikt — naukowcy, laicy, filmowcy ani rybacy — nie mógł zbliżyć się do wieloryba, żywego czy martwego. Nieważne, że cały ruch ochrony wielorybów i sama ustawa zrodziły się dzięki znakomitym filmom nakręconym przez oddanych sprawie profesjonalistów. Nieważne, że zwłoki wieloryba mogły spowodować katastrofę ekologiczną. Jeśli znalazłeś się zbyt blisko wieloryba, byłeś przestępcą.

Dni Chase'a jako czołowego aktywisty ruchów ekologicznych dobiegły końca. Pięć lat temu podjął decyzję, by działać w ramach systemu, a nie poza nim. Przełknął swój gniew, wyczałował kogoś po rękach i wyłudził stypendium, by ukończyć studia. W końcu powrócił do Waterboro, nie mając konkretnych pomysłów, co robić dalej. Mógł wykładać albo kontynuować studia, ale spieszyło mu się, by uwolnić się z sali Block laboratorium, tęsknił do badań naukowych. Mógł ubiegać się o pracę w Woods Hole lub Scripps, albo którymkolwiek z instytutów morskich w kraju, ale do doktoratu wciąż brak mu było napisanej rozprawy i nie miał pewności, czy ktoś go zatrudni.

Jedyną pewną rzeczą w życiu Chase'a było to, że spędzi je nad morzem, na morzu i pod powierzchnią morza.

Kochał je, od kiedy tylko sięgał pamięcią, odkąd w szczenięcych latach ojciec zabrał go na pokład Miss Edny i kazał mu smakować dźwięki i zapachy morza. Nauczył się miłości i szacunku, nie tylko do samego morza, ale również do istot, które je zamieszkują i do ludzi, którzy je łowią.

Szczególnie, a zdaniem ojca obsesyjnie, zafascynowały go rekiny. W owych czasach wydawało się, że rekiny są wszędzie. Wygrzewały się w słońcu na powierzchni morza, atakowały sieci napęczniałe od stłoczonych w nich ryb, płynęły krwawym śladem łodzi, gdy czyszczono ryby i wyrzucano za burtę wnętrzności. Z początku Simona oczarowały stwarzane przez nie pozory zagrożenia, ale później, gdy czytał na ich temat coraz więcej, zaczął na rekiny patrzeć jak na cudowne okazy ciągłości przyrody — niezmiennie od milionów lat, niezwykle sprawne, odporne na prawie wszystkie choroby dotykające inne zwierzęta. Tak jakby natura stworzyła je i pomyślała: „Dobra robota”.

Nadal kochał rekiny i chociaż już więcej się ich nie obawiał, teraz obawiał się o nie. Na całym świecie wyrzynano je lekkomyślnie, bezsensownie — niektóre dla płetw sprzedawanych na zupe, inne dla mięsa, jeszcze inne ponieważ uważano, że przeszkadzają.

Przez przypadek Chase wrócił do Waterboro dokładnie w momencie, gdy małą wysepkę pomiędzy Block Island i Fishers Island wystawiono na licytację. Stan Connecticut przejął wyspę od banku będącego w kłopotach i sprzedawał ją na aukcji jako zastaw podatkowy. Trzydziestopięcioakrowy szmat zarośli i skał był zbyt odległy od brzegu i za mało atrakcyjny, by wykorzystać go handlowo, a ponieważ brak było dostępu do miejskiego zaplecza usługowego, podział na prywatne działki budowlane byłby niepraktyczny.

Jednakże Chase widział w Osprey Island idealne miejsce na badania oceanograficzne. Wyposażony w środki pochodzące ze sprzedaży kutra rybackiego i domu rodziców, wpłacił pierwszą

ratę, znalazł sposób na sfinansowanie pozostałej kwoty i założył Instytut Morski Osprey Island.

Nie miał kłopotu z wyszukaniem problemów, którymi warto by się zająć. Malejąca populacja ryb, ginące gatunki morskie, zanieczyszczenia — to wszystko wymagało badań. Oczywiście, inne ekipy i instytuty wykonywały podobną pracę, więc Chase starał się uzupełniać ich działania swoimi, zawsze znajdując czas i pieniądze, jakie tylko zdołał zebrać, na swoją specjalność — rekiny.

Teraz więc, choć trudno mu było to przyznać, w wieku trzydziestu czterech lat, na stanowisku dyrektora instytutu, był pełnoprawnym członkiem naukowego establishmentu. Za badania nad rekinami zyskiwał poważanie i szacunek w środowisku. Jego artykuły na temat systemów odpornościowych rekinów zostały opublikowane w najpoważniejszych pismach naukowych i przyjęte z zainteresowaniem, mimo kontrowersyjnych tez. Zaś jego samego uważano za naukowca, którego karierę warto obserwować.

Jednak wiedział, że gdyby przyłapano go na wysadzeniu w powietrze martwego wieloryba, natychmiast zostałby skompromitowany, ukarany grzywną, a być może uwięziony.

Dlatego też wybrał kompromis. Przesłał fax do Agencji Ochrony Środowiska w Waszyngtonie i do stanowego Departamentu do spraw Ochrony Środowiska w Hartford, zwracając się o pozwolenie nie na zniszczenie wieloryba, ale na przesunięcie go, zanim zostanie wyrzucony na plażę publiczną. Nie miał pojęcia w jakim kierunku przesuwa się martwy ssak, ale wiedział, że taki argument brzmieć będzie przekonująco. Żaden urząd — federalny, stanowy ani lokalny — nie zechce ugrzęznąć w wydatkach, prawdopodobnie sięgających stu tysięcy dolarów, związanych z usuwaniem z plaży pięćdziesięciu ton rozkładającego się wielorybiego mięsa. Podał niedokładne współrzędne obecnej pozycji wieloryba, umieszczając go w miejscu, dokąd chciał go przeciągnąć, więc gdyby odmówiono mu pozwolenia, mógł utrzymywać, że w ogóle go nie ruszał, zaś gdyby pozwolenia mu udzielono, mógł odciągnąć go nawet dalej, na otwarte morze, gdzie nie odnajdzie go żadna łódź sportowo—rybacka.

Nie czekał na odpowiedź z żadnej instytucji. Razem z Tall Manem załadował na łódź Instytutu zaczepy holownicze i baryłkę ropy i wyruszył na poszukiwanie martwego olbrzyma. Znaleźli go od razu i koło północy, w blasku księżyca, zatopili haki w gnijącym mięsie i zaczęli holować zwłoki w głąb Atlantyku, poza Block Island. Za nimi ciągnął się ohydny smród rozkładu; widzieli rekiny wyskakujące z wody, by oderwać kęs tłustego mięsa.

Wieloryb był młodym długopłetwcem. O pierwszym brzasku zobaczyli, co go zabiło. Sieci rybackie unosiły się jak całun wokół jego paszczy i głowy. Wpadł w wielkie sieci zawodowych rybaków, zaplątał się w nie jeszcze bardziej, miotając się i walcząc, by uciec, aż w końcu udusił się.

Żarłacz biały przybył zaraz po świcie. Była to duża dorosła samica, prawdopodobnie piętnasto — lub dwudziestoletnia, w pełni zdolności rozrodczych. I była ciężarna, co Chase zauważył, kiedy rekin odwrócił się na grzbiet i zanurzył masywny łeb głęboko w różowawym cieple wieloryba, odsłaniając napęczniały brzuch i stek.

Nikt nie wiedział na pewno, jak długo żyją żarłaczki białe, ani kiedy zaczynają się rozmnażać, ale najnowsze teorie przyjmowały maksymalny wiek osiemdziesięciu do stu lat oraz zakładały, że cykl rozrodczy rozpoczyna się mniej więcej w wieku dziesięciu lat i daje jedno lub dwa młode co drugi rok.

Tak więc zabicie tego rekina, żeby powiesić jego łeb na ścianie i sprzedać zęby na biżuterię, nie byłoby zamordowaniem jednego tylko żarłacza białego, ale być może nawet dwudziestu pokoleń potomków.

Szybko i bez kłopotu założyli mu czujnik z radionadajnikiem. Rekin nawet nie poczuł ukłucia, nie przerwał jedzenia. Przyglądali mu się przez kilka minut, Chase zrobił zdjęcia. Potem, przygotowując

się do odpłynięcia, Tall Man włączył radiostację i usłyszał rybaków z kutrów czarterowych, przekrzykujących się na temat wieloryba. Najwyraźniej po zawiadomieniu Instytutu jego informator wybrał się do baru z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku, nie mógł oprzeć się pokusie zdobycia kilku punktów w oczach swoich kumpli i opowiedział im o wielorybie.

Gdzie on się podział? — będą się teraz zastanawiać. Kto go zabrał? Cholerny rząd? Te płaczki z Instytutu? Na wschód. Musieli zabrać go na wschód od Block Island.

Rybacy nadciągali, nadpływali, by zarznąć ciężarnego rekina.

Dla Chase'a i Tall Mana nie było dyskusji. Wyjęli spod pokładu materiały wybuchowe — cegielkę plastiku pozostałą po budowie doków koło Instytutu — i ostrożnie umieścili ładunki w poszczególnych częściach szkieletu wieloryba, jak najdalej od miejsca, gdzie pożywiał się rekin. Zdetonowali ładunki jeden po drugim, rozsadzając zwłoki na kawałki, które natychmiast rozprysły się i zaczęły tonąć. Cel na radarach rybaków zniknął. Teraz nigdy już nie odnajdą szczątków wieloryba, nie znajdą rekina.

Rekin zanurzył się, podążając za resztkami tranu w bezpieczną otchłań.

Jeśli Agencja Ochrony Środowiska albo Departament do spraw Ochrony Środowiska zechcą podać mnie do sądu, pomyślał Chase, to niech im tam. Nie ma żadnych świadków, dowody będą słabe, a jeśli któryś z rybaków jest dość inteligentny, by domyślić się co i dlaczego zrobiłem, a przy tym na tyle głupi, by złożyć skargę, sam się podłoży, przyznając, że miał zamiar zbliżyć się do martwego wieloryba na odległość prawnie wzbronioną.

A co najważniejsze, rekin wciąż był żywy.

Obniżyli czujnik i płynęli jeszcze przez kilka godzin za rybą, która przesuwała się na wschód, na głębszą wodę, a następnie wykręciła na północ.

W normalnych okolicznościach Chase śledziłby rekina bez chwili przerwy, ponieważ oderwanie od niego uwagi oznaczało stracenie go na dobre. Mógł odpłynąć poza zasięg czujnika i mogli go nie odnaleźć, aż baterie nadajnika wyczerpią się, najpóźniej po dwóch, trzech dniach.

Ale wieczorem na lotnisku Groton/New London miał zjawić się Max, który leciał z Sun Valley przez Salt Lake i Boston. Pierwszy raz w życiu miał spędzić cały miesiąc razem z tatą, więc Chase plułby sobie w brodę, gdyby na spotkanie chłopcu musiał wyjść taksówkarz z pobliskiego miasteczka Stonington, a potem jego syn miał płynąć promem, samotnie i w półmroku, na skałę, która w jego oczach wyglądałaby równie pociągająco, co Alcatraz.

Tak więc porzucili rekina, modląc się, by nie zawędrował aż do Hampshire, Maine czy Nantucket. Przy odrobinie szczęścia wrócą na jego trop za sześć godzin. Chase nie miał pojęcia, ile czasu pozostało do porodu, ale elektroniczny czujnik zarejestruje go, gdyby miał nastąpić, prześle zmiany w temperaturze i chemii ciała. Mogą nawet ujrzeć poród, gdyby miał miejsce blisko powierzchni. Nikt, żaden naukowiec ani sportowiec nie był nigdy świadkiem narodzin żarłacza białego.

Max powiedział, że nie musi się rozpakowywać, więc wybiegli z lotniska prosto do furgonetki, na prom, na wyspę i na łódź. Chłopiec był zmęczony, miał podkrążone oczy, ale był też nieprzytomnie podniecony na myśl o zobaczeniu żywego rekina ludojada. Gdy dzwonił do matki z telefonu komórkowego na łodzi, jedynym przymiotnikiem, jaki przychodził mu do głowy, był „świetny”.

Na Corinne nie zrobiło to żadnego wrażenia. Chciała rozmawiać z Simonem, prosiła go o ostrożność. Max rozstrzygnął kwestię. Odebrał ojcu telefon i powiedział:

— Spokojnie, mam, wszystko w porządku. Ludojady nie chcą zrobić ludziom krzywdy.

— Co to znaczy?

Chłopiec zaśmiał się i wyjaśnił:

— Po prostu chcą ich pożreć. — Ale słysząc, że matka sapie ze złości, dodał: — Ja tylko żartuję, mamó. Drobny dowcip o rekinach.

— Masz ze sobą coś ciepłego? — zapytała Corinne.

— Jesteśmy bezpieczni, mamó, naprawdę... Kocham cię. — I wyłączył telefon.

W ciągu godziny ponownie namierzyli rekina, co Chase uznał za przypadkowe potwierdzenie jednej ze swoich ulubionych teorii.

Interesował się szczególnie terytorialnością żarłaczy białych, a nawet zastanawiał nad napisaniem na ten temat doktoratu. Badacze z południowej Australii pracujący w takich miejscach jak Dangerous Reef czy Coffin Bay, gdzie temperatura wody waha się niewiele pomiędzy poszczególnymi porami roku, doszli do wniosku, że występujące na tym obszarze żarłacze białe mają swoje terytoria. Kolonie fok, źródło ich pożywienia, są w miarę stabilne. W ciągu około tygodnia każdy rekin zatacza pełne koło wokół swego terytorium i rozpoczyna je od nowa.

Tu, na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, gdzie temperatura wody w zimie i w lecie różni się aż o dwadzieścia stopni, a zapasy pożywienia pojawiają się i znikają nieprzewidywalnie, terytorialność zdawałaby się niepraktyczna. Choć nikt nie był tego całkowicie pewien, Chase zbierał dowody świadczące o tym, że żarłacze białe mogą mieć naturę migracyjną. Zdawało się, że w zimie udają się na południe, wiosną lub wczesnym latem wracają — niektóre z nich płyną daleko na północ i wschód, aż do Canadian Maritimes — zostają do końca września lub początku października, a potem znów przenoszą się na południe.

Ale najbardziej intrygowało Chase'a to, iż prowadzone od lat obserwacje i znakowanie zaczynały wykazywać, że niektóre rekiny powracają na ten sam obszar rok po roku i, pozostając na nim, wytyczają sobie to samo ogólne terytorium. Gdyby zdołał udowodnić, że istnieją takie powtarzające się cykle, mógłby utworzyć nowe pole badań w zakresie zdolności nawigacyjnych i zapisów pamięciowych żarłaczy białych.

Pod warunkiem, że zostaną jeszcze jakieś żarłacze białe, którymi można by się zająć.

— Znów schodzi w dół — zawołał Tall Man z kabiny.

— Chyba niezła z niej kapryśnica — orzekł z rozczarowaniem Chase. Spojrzał w stronę brzegu. Napatree Point był na trawersie, miasteczko Waterboro tuż za nim. — Dokąd teraz?

— Wygląda na to, że wybiera się do Montauk. Ale bez konkretnych zamiarów. Spaceruje.

Chase wszedł do kabiny, zawiesił aparat i otarł pot z czoła.

— Chcesz kanapkę? — zawołał do syna.

— Tylko nie jedną z tych gigantycznych z sardynkami i cebulą.

— Nie, zostawiłem ci z dżemem i masłem fistaszkowym.

— Otwórz mi piwo — poprosił Tall Man, patrząc na zegarek. — Zegarek może sobie pokazywać dziewiątą piętnaście, ale nie ma zielonego pojęcia, która jest naprawdę godzina. — Przez ostatnie czterdzieści godzin spali na zmianę, po nędzne cztery godziny. — Mój brzuch mi mówi, że jest dokładnie pora piwka.

Chase zrobił krok w stronę drabinki prowadzącej do kuchni pod pokładem, gdy nagle łódź przechyliła się, zachybotała i wytraciła prędkość. Dziób wzniosł się do góry, rufa opadła.

— Co jest, do cholery? — krzyknął. — Uderzyłeś w coś?

— Na trzydziestu metrach wody? — Tall Man zmarszczył brwi nad echosondą.

Usłyszeli dźwięk rozciąganej gumy, piskliwą skargę, a potem monitor i odbiornik sygnałów zaczęły przesuwac się w tył na podstawkach. Podłączony do nich kabel naprężył się w przejściu.

— Cała wstecz! — krzyknął Simon, biegnąc do drzwi.

Tali wrzucił tylny bieg. Przewód zwisał luźno i opadł na podłogę. Wchodząc do kokpitu, Chase zauważył, że zwój kabla zniknął. Sto metrów rozwinęło się i spadło za pokład.

— Sznurek musiał pęknąć — powiedział. — Czujnik zaczepił o coś na dnie.

Wziął kabel do ręki i zaczął ciągnąć. Za jego plecami Max związał przewód na deski pokładu. Kiedy kabel ponownie się naprężył, Chase potrząsnął nim, szarpiąc, popuszczając i naprężając. Bez skutku — czujnik uwiązał na dobre.

— Nie mogę zrozumieć, o co mógł się zaczepić — oznajmił. — Na dole nie ma nic oprócz piasku.

— Może — odparł Tali. Wyłączył silnik i dołączył do nich. Wziął od Simona kabel i złapał go opuszkami palców, jakby próbował odczytać z drgań jakąś wiadomość. — W zeszłym tygodniu ten północno—zachodni wiatr dmuchał czterdzieści węzłów przez półtora dnia i rozpętał pewnie na dnie prawdziwe piekło. Piasek się przesunął. To może być cokolwiek, kamień albo samochód, który ktoś wyrzucił za burtę.

— Albo wrak statku — odezwał się Max.

Chase potrząsnął głową.

— Nie w tej okolicy. Namierzyliśmy wszystkie wraki na tym obszarze. — Odwrócił się do Tall Mana. — Mamy na pokładzie jakieś butle?

— Nie. Nie planowaliśmy nurkowania.

Simon poszedł na dziób, do kabiny i przełączył podziałkę echosondy na największą dokładność. Gdy wrócił, trzymał maskę do nurkowania.

— Trzydzieści metrów — oznajmił. — Mniej więcej tyle tu jest.

— Masz zamiar zanurkować po ten czujnik? — spytał Tall, podnosząc głos. — Bez butli? Zwariowałaś?

— Warto spróbować. Już nurkowałem na trzydzieści metrów.

— Ostatnio, jak miałeś osiemnaście lat. A i to z butlą. Do diabła, Simon, stracisz przytomność na dziesięciu.

— Chcesz sam spróbować?

— Nic z tego. W tym kraju jest już dość martwych czerwonoskórych.

— No to mamy problem, bo niech mnie szlag, jeśli mam zamiar stracić kabel wart trzy tysiące dolców i czujnik warty kolejne trzy tysiące.

— Zostaw boję — poradził Tall Man. — Weźmiemy butle i wrócimy po niego później.

— Do tej pory stracimy rekina na dobre.

— Może. Ale nie stracimy ciebie.

Chase zawahał się. Nadal kusiło go, by spróbować zanurkować po czujnik lub przynajmniej zejść na tyle głęboko, aby można było zobaczyć, co go trzyma. Był ciekaw, czy wciąż jeszcze potrafi zanurkować na taką głębokość. W młodości razem z przyjacielem nurkowali bez butli na sporą głębokość, opływali kadłuby starych kutrów rybackich, wykradali homary z pułapek zastawionych w szczelinach głębokich raf. Ale Tall miał rację — nie jest już nastolatkiem, siłaczem, który może bawić się całą noc i pływać cały dzień. Może dopłynąłby do dna, ale nie udałoby mu się wrócić. Z braku tlenu mózg przestałby funkcjonować i straciłby przytomność, blisko powierzchni, gdyby miał szczęście, na dużej głębokości, gdyby miał pecha.

— Przemów do człowieka, synu — poprosił chłopca Tall Man. — Powiedz mu, że nie przyjechałeś z daleka, żeby zabrać tatusia do domu w skrzynce.

Słyszając, jak Tall mówi bez ogródek, Max wzdrygnął się, położył rękę na ramieniu ojca i rzekł:

— Tato, daj spokój...

Chase uśmiechnął się.

— Dobrze, zostawimy boję — zgodził się.

— Czy możemy zabrać butle, wrócić tu i zanurkować? — zapytał chłopiec. — Fajnie by było.

— Potrafisz nurkować? — Simon poczuł ukłucie, niemal ból, jakby fakt, że syn nauczył się nurkować bez niego, gdzie indziej, od kogoś innego, był naganą za jego rodzicielskie porażki. — Gdzie się nauczyłeś?

— W domu, na basenie. Dziadkowie załatwili mi kilka lekcji.

— Aha — skwitował Chase, czując się lepiej. Przynajmniej chłopak nie nurkował naprawdę, przygotowywał się tylko do odwiedzin u ojca. — Pewnie, wrzucimy cię do wody, ale chyba zaczniemy od mniejszej głębokości.

Tali Man poszedł do kabiny, żeby rozłączyć kable i zabezpieczyć wtyczkę przed działaniem wody za pomocą smaru i gumowej taśmy. Simon uniósł właz w pokładzie rufy i wyciągnął żółtą gumową boję, na której czerwoną odblaskową taśmą wyklejone były inicjały „O.I.”

Jego zastępca przeszedł na rufę, nawijając kabel wokół łokcia i ramienia. Zdjął przepoconą koszulę. Mięśnie gigantycznego torsu lśniły jak naoliwione, poruszając się pod cynobrową skórą. Miał dwa metry wzrostu, ważył około stu kilo, a jeśli miał gdzieś tłuszcz, jak mawiała jego matka, wciskając w niego jedzenie, to chyba między uszami.

— O rany! — zawołał chłopiec. — Połączenie Rambo z Terminatorem. Codziennie ćwiczysz?

— Ćwicz? — odezwał się ze śmiechem Chase. — Jedyne jego ćwiczenia to jedzenie i picie, a jego dieta składa się w stu procentach ze smażonego tłuszczu. Jest chodzącą niesprawiedliwością.

— Jestem zemstą Wielkiego Ducha — wyjaśnił Tall. — Musiał coś zrobić, żeby wyrównać pięćset lat ucisku przez białego człowieka.

— Nie wierz mu — powiedział Simon. — Równie dobrze możesz wierzyć w dobre wróżki. Jego Wielkim Duchem jest Ronald McDonald.

— No to co? — parsknął śmiechem Tall. — Trzeba się do kogoś modlić.

Chłopiec uśmiechnął się, podobało mu się to. To była męska rozmowa, rozmowa dorosłych, do której go dopuszczano, pozwalano mu w niej uczestniczyć, pozwalano mu być dorosłym.

Przez całe życie słuchał opowieści o Tall Manie, najlepszym przyjacielu ojca od dziecka, a ogromny Indianin stał się dla chłopca postacią mityczną. Prawie bał się spotkania z nim, obawiał się, że rzeczywistość zniszczy twój wyobraźni. Ale okazało się, że ten człowiek dorasta do swojego mitu.

Przyjaciele rozstawali się kilka razy. Gdy Chase poszedł do szkoły średniej, Tall Man służył w marynarce, kiedy Simon był na studiach, Tall próbował swych sił jako robotnik w hucie w Albany.

Ale ich ścieżki znów się zbiegły, gdy Chase założył Instytut. Wiedział, że potrzebny mu będzie asystent biegły manualnie i uzdolniony technicznie, bo takich umiejętności jemu samemu brakowało. Odnalazł przyjaciela, który naprawiał silniki diesla w punkcie obsługi ciężarówek. Taka praca mu nie zawadzała, jak powiedział Simonowi, a dwadzieścia dolarów za godzinę nie było złą płacą, choć nie znosił, gdy ktoś mówił mu, kiedy ma przyjść do pracy, a kiedy z niej wyjść, tak samo nie lubił przebywać w zatłoczonych pomieszczeniach. Chociaż Chase nie mógł mu zaproponować stałej pensji ani dać żadnych gwarancji na przyszłość, natychmiast rzucił swoją pracę i dołączył do personelu Instytutu.

Jego stanowisko nie obejmowało żadnych konkretnych obowiązków, robił więc wszystko, czego potrzebował Simon i cokolwiek jeszcze sam znalazł do zrobienia, od konserwacji łodzi do testowania aparatów do nurkowania. Lubiał pracować ze zwierzętami i wydawało się, że ma niemal magiczny dar porozumiewania się z nimi, uspokajania ich, zdobywania ich zaufania. Ptaki wodne z haczykami wędkarskimi tkwiącymi w dziobach pozwalały mu zająć się sobą. Delfin, którego ogon

zaplątał się w sieć z włókna sztucznego i został przez nią poharatany, zbliżył się do Tall Mana na płytkiej wodzie i leżał spokojnie, gdy ten usuwał pasemka plastiku i wstrzykiwał zwierzęciu antybiotyki.

Miał w sobie wolność i odpowiedzialność i na obie był jednakowo wrażliwy. Przychodził do pracy wcześnie, wychodził późno, pracował we własnym tempie i odczuwał wielką, choć nigdy nie wypowiedzianą dumę z bycia równorzędnym partnerem w prowadzeniu prac Instytutu.

Gdy zwój kabla był już przymocowany do boi, wyrzucili go za burtę i przez chwilę obserwowali, by się upewnić, że kabel nie splącze się i że boja utrzyma jego ciężar. Przewód był ciężki, ale w wodzie miał prawie neutralną pływalność — każde dziesięć metrów ważyło półtora kilograma, boja zaś mogła utrzymać ładunek ponad stu kilogramów.

— No i po kłopotcie — powiedział Tall Man.

— Jeśli nikt jej nie ukradnie...

— Pewnie że nie. Po co komu sto metrów kabla?

— Wiesz równie dobrze, jak ja. Ludzie zrywają lampy z budynków, żeby zdobyć mosiądz, przetapiają słupy od latarni na aluminium, kradną z łazienek armaturę dla miedzi. W naszej cywilizacji, zwłaszcza dzięki tłumom, jakie twoi bracia krwi sprowadzili do swojego kasyna w Ledyard, każdy mądry człowiek chodzi po ulicy z zamkniętymi ustami, żeby mu nie ukradli plomb.

— Znów to samo — Tall Man zwrócił się z uśmiechem do Maxa. — Rasista, obwinia o wszystko biednych Indian.

Chase zachichotał i poszedł na dziób, żeby uruchomić łódź.

10

— Ptaki! — zawołał z pomostu nawigacyjnego Tall, wskazując ręką na południe.

Chase z chłopcem stali na pokładzie dziobowym, Max na końcu dwumetrowego drewnianego pulpitu wysuwającego się poza dziób, zza którego wpatrywał się w wodę, mając nadzieję zobaczyć delfina.

Chase osłonił oczy i spojrzał na południe. Stado ptaków — mew i rybitw — krążyło nad obszarem o powierzchni pół akra, który wydawał się kipieć od żywych istot. Ptaki pikowały, rozpryskiwały wodę szybkimi ruchami skrzydeł i znów się wznosiły. Ich głowy kołysały się, gdy pośpiesznie przełykały zdobycz, chcąc już zanurkować po następną. Południowo—zachodni wiatr niosł szaleńcze piski.

— Co one robią? — spytał Max.

— Jedzą — odpowiedział Chase. — Wyjadają drobne rybki. Coś atakuje narybek od spodu, gnając go ku powierzchni. — Spojrzał na Tall Mana. — Przyjrzyjmy się temu.

Skręcili na południe, zostawiając odległy szary grzbiet Block Island na północ, a bliższy, ale mniejszy i niższy profil Osprey Island na wschód od łodzi.

Kiedy zbliżyli się do wzburzonej powierzchni, Tall powiedział:

— Lufary.

— Jesteś pewien? — spytał Chase. Miał nadzieję, że przyjaciel ma rację. Duża ławica wygłodzonych lufarów byłaby dobrym znakiem, oznaką tego, że ryby mają się lepiej. Ostatnio ich liczba zmniejszała się. Padły ofiarą nadmiernych połowów i zanieczyszczenia środkiem PCB, pestycydami i fosforanami spływającymi z pół, a wiele z ryb, które przeżyły, prześladowały nowotwory, wrzody, a nawet najdziwniejsze mutacje genetyczne. Niektóre rodziły się z żołądkami, które przestawały funkcjonować po jakimś roku, więc ryby umierały z głodu. Instytut i rozmaite organizacje ekologiczne uczestniczyły w oczyszczaniu rzek, mających swe ujścia w zatokach oceanu, więc ilość zanieczyszczeń została znacznie zmniejszona, chociaż na pewno nie wyeliminowana.

— Jeśli lufary znów się mnożą... Cóż, jest to mały krok, ale przynajmniej krok naprzód, a nie wstecz.

— To muszą być one — zapewnił Tall Man. — Co innego wyrzucaloby w górę taką fontannę krwi?

Jeden z ptaków oderwał się od stada i uniósł wysoko ponad łódź. Chase ujrzał niewątpliwe oznaki rzezi dokonywanej przez drapieżców — białe pióra na brzuchu ptaka były splamione czerwienią rybiej krwi. Lufary miały się w amoku pośród wielkiej ławicy panikującej zdobyczy, tnąc i siekając w ślepej furii, farbując wodę na kolor purpury.

Tall Man zdławił silnik, by nie płoszyć ławicy. Łódź zaczęła dryfować we względnej ciszy.

— I to spore, łajdaki — powiedział. — Po dwa, trzy kilo.

Drapieżne ryby wirowały, skakały, rzucały się, ich metaliczne ciała połyskiwały w promieniach słońca, zaś ptaki nurkowały lekkomyślnie pomiędzy nie, wyskubując narybek ze skrwawionej wody.

— Świetne! — szepnął oczarowany Max. — Czy możemy im się przyjrzeć?

— Przyglądasz się przecież.

— To znaczy, czy możemy założyć maski i zejść do nich?

— Oszalałeś? — zaprotestował Chase. — W żadnym wypadku. Te ryby rozdarłyby cię na strzępy. Nie chciałeś zabrać mnie do domu w skrzynce, a podobałoby ci się, gdybym posłał cię matce do domu w torbie na odpadki?

— Lufary atakują ludzi?

— W takim szale atakują wszystko. Kilka lat temu na Florydzie ratownik siedział sobie na desce surfingowej, kiedy nadpłynęła głodna ławica. Stracił cztery palce u nóg. Mają małe trójkątne ząbki, ostre jak brzytwa, i kiedy są głodne...

Tali Man przerwał mu:

— ...są jednym wielkim złośliwym sukinsynem.

Jak na zawołanie, duża mewa zanurkowała, sięgnęła dziobem po rybią przynętę, chybiła, zahamowała skrzydłami i wylądowała na wodzie. Schwyciła rybę i zaczęła rozpędzać się do lotu, gdy nagle obok niej zawirowało niebieskie ciało. Mewa zatrzymała się, szarpnęła do tyłu i przeraźliwie pisnęła — lufar trzymał ją za nogi. Ptak bezskutecznie zatrzepotał skrzydłami i wygiął szyję do tyłu, starając się dziobnąć prześladowcę.

Wtedy musiał złapać go następny lufar, ponieważ ptak przechylił się na bok, zanurzył i wystrzelił z powrotem na powierzchnię. Znowu wydał z siebie wrzask, uderzył skrzydłami, ale kolejne ryby wyczuły zapach nowej ofiary i rzuciły się z wody prosto na przesycone krwią pióra.

Ciało ptaka zostało wciągnięte pod powierzchnię ogonem do przodu. Przez chwilę było jeszcze widać żółty dziób ptaka, wycelowany w niebo.

Chase spojrzał na syna. Oczy chłopca wciąż wpatrywały się w punkt na wodzie, gdzie przed momentem znajdował się ptak. Twarz mu zbladła, nabierając zielonkawego odcienia.

Płynęli dalej w stronę wyspy. Max i Chase stali na pokładzie dziobowym, Tall Man prowadził łódź z pomostu nawigacyjnego. Od czasu do czasu Simon dawał przyjacielowi sygnał, żeby zwolnić, brał sieć, zanurzał ją w wodzie i wyciągał coś, aby pokazać synowi: kępę wodorostów, w której chroniły się małe skorupiaki — krewetki i kraby — zanim nie osiągnęły dojrzałego wieku, kiedy samodzielnie radziły sobie na dnie; żeglarza portugalskiego — meduzę rozmiarów pięści z przeświecającą różową błoną, wyglądającą jak żagiel, i długimi, zwisającymi mackami, którymi, jak wyjaśnił Chase, zakłuwała ofiarę na śmierć. Zafascynowany chłopiec dotknął jednej z macek i odskoczył z krzykiem, gdy ukłuła go w palec.

— Wcześniej jak na nie — zdziwił się Tali. — Woda musi się szybko nagrzewać.

Kiedy byli pół kilometra od wyspy, Chase wskazał małą boję należącą do Instytutu, kołyszącą się po prawej burcie łodzi. Tall Man wyłączył bieg, by łódź swobodnie dopłynęła do boi, a Simon podniósł kotwicę i przełożył ją przez burtę. Zaczepił o boję i wyciągnął ją na pokład. Boja umocowana była do liny sporej długości.

— Ciągnij — polecił synowi.

Chłopiec schwycił linę i zaczął wciągać ją na pokład.

— Co to jest? — zapytał.

— Eksperyment — odparł Chase, rzucając kotwicę i pomagając mu ciągnąć linę. — Poważnym problemem są w tej okolicy zagubione pułapki na homary. Śruby napędowe łodzi odcinają boje albo zabiera je sztorm lub też liny po prostu gniją i rozpadają się. W każdym razie, na dnie pełno jest takich zagubionych pułapek.

— I co?

— Są zabójcze. Najrozmaitsze stworzenia, nie tylko homary — ryby, kraby, ośmiornice —

wchodzą do nich, zwabione przynętą, i nie mogą się wydostać. Umierają i same stają się przynętą, więc coraz więcej stworzeń wchodzi do środka i ginie. Pułapki napełniają się przez całe lata.

Pułapka uderzyła o burtę łodzi. Chase wychylił się za burtę i wciągnął ją przez krawędź nadburcia. Była to prostokątna druciana klatka, wzmocniona drewnianymi listewkami. Z jednej strony miała druciany lejek — wejście, z drugiej strony — kwadratowe drzwiczki wykonane ze słabej siatki, zabezpieczone sznurkiem.

— Razem z Tallem — wyjaśnił — próbujemy zaprojektować samoniszczące się drzwi. Pułapki powinno się wyciągać przynajmniej raz na tydzień, najlepiej dwa razy, więc szukamy taniego materiału na drzwiczki, które rozpadłyby się po jakichś dziesięciu dniach. Łowcy homarów mogą wymieniać drzwiczki co tydzień, a jeśli pułapka się zgubi, stworzonka mogą uciec, zanim zginą.

Max nachylił się nad pułapką i z bliska zajrzał do środka.

— Jest pusta — stwierdził.

— Nie włożyliśmy do środka przynęty — wytłumaczył mu ojciec. — Nie próbujemy łapać zwierząt, staramy się je ocalić. — Lekko szarpnął siatkę przy drzwiczkach, kilka pasemek pękło.

— Ta mieszanka bawełny może być dobra — zawołał do przyjaciela. — Całkiem nieźle się rozpada.

Nie słysząc odpowiedzi, spojrział w stronę pomostu i zobaczył, że Tall pochyła się, trzymając dłoń przy uchu, nasłuchując. Nagle wyprostował się.

— Mamy kłopoty, Simon — powiedział. — Paru narwańców gada na kanale szesnastym, że właśnie złapali na haczyk szczęki.

— Cholera! Czy potrafisz powiedzieć, gdzie są?

— Wygląda na to, że jakieś pięć kilometrów na północny wschód, po tej stronie Block Island.

— Płyniemy — zdecydował Chase. Zepchnął pułapkę na homary za burtę, za nią wyrzucił linę i boję.

Tall wrzucił bieg, pchnął dźwignię gazu, a gdy łódź skoczyła przed siebie, zawrócił ciasnym łukiem i skierował ją ku Block Island.

Max przytrzymał się balustrady i zgiął kolana, kiedy dziób uderzył o fale.

— Myślisz, że to nasz rekin? — krzyknął do ojca.

— Mogę się o to założyć. To jedyny, jakiego widzieliśmy.

Łódź wyrównała, ślizgając się po powierzchni. Grzbiet Block Island szybko rósł im w oczach, a na powierzchni morza uformowała się mała biała plamka, która wkrótce zmieniła się w kadłub łodzi.

— Co chcesz zrobić? — zapytał chłopiec. — Co możesz zrobić?

Nie jestem pewien, — odpowiedział Chase, ponuro uśmiechając się w przestrzeń. — Ale coś na pewno.

— To dwa dzieciaki — oznajmił Tall Man, patrząc przez lornetkę. — Szesnaście, może osiemnaście lat. Wędkują z sześciometrowej łódki. Głupie barany. Niech się lepiej modlą, żeby nie trafić na rekina, bo poszatkuje tę łódź na drzazgi.

Gdy zbliżyli się do nich, Tall wyłączył bieg i zdławił silnik. Łódź unosiła się na wodzie trzydzieści czy czterdzieści metrów od lewej burty małej łódki.

Jeden z chłopców siedział na krzeselku na rufie, trzymając koniec wędki wciśnięty we wgłębienie między nogami. Kij wygiął się tak, że groził złamaniem, a żyłka prowadziła prosto za łódź. Rekin znajdował się blisko powierzchni, wciąż jednak w odległości pięćdziesięciu lub więcej metrów. Drugi chłopak stał przy pulpicie sterowniczym, kręcąc kołem sterowym i manipulując biegami, by utrzymać łódź rufą w stronę rekina.

— Czy on naprawdę może złapać aż tak wielkiego rekina? — spytał Max. — Na wędkę?

Jeśli będzie wiedział, co robić — odpowiedział Chase. — Używa wędki na tuńczyki, pewnie ma żyłkę, która utrzyma trzydzieści czy czterdzieści kilo i stalowy przypon.

— Ale powiedziałeś, że rekin waży tonę.

— Mimo to można go zmęczyć. Żarłacze białe nie są wielkimi wojownikami. Po prostu ciągną, ciągną i w końcu się poddają.

Gdy mu się przyglądali, chłopak z wędką usiłował nawinać część linki, ale ciężar był zbyt wielki, bębenek kołowrotka ślizgał się pod zwojem żyłki. Dlatego chłopak przy pulpicie sterowniczym włączył wsteczny bieg, cofając łódź w stronę rekina, co poluzowało linkę i pozwoliło wędkarzowi nawinać ją na kołowrotek.

Jak obawiał się Simon, chłopcy wiedzieli, co robić.

— Podpłyn bliżej — poprosił. — Chcę z nimi porozmawiać.

Tall Man wykonał manewr, przysuwając rufę łodzi na odległość dziesięciu metrów od ich burty. Chase przeszedł na rufę i stanął obok poprzecznicy.

— Co tam macie? — zapytał.

— Szczęki, człowieku — odparł chłopiec zza koła sterowego. — Największego cholernego rekina ludojada, jakiego w życiu widziałeś.

— Co chcecie z nim zrobić?

— Złapać... Sprzedać szczęki.

— Jak chcecie wciągnąć go na pokład takiej małej łódki?

— Nie musimy. Zabijemy go, a potem będziemy holować.

— Zabijecie? Jak? To wielki, wściekły rekin.

— Tym. — Chłopak sięgnął pod pulpit i wyjął dubeltówkę. — Wystarczy tylko, że zbliżymy się do niego na tyle, by oddać jeden czysty strzał.

Chase zamilkł, namyślając się, po czym zapytał:

— A wiecie, że to samica?

— Co?

— Samica, w dodatku ciężarna. Oznakowaliśmy ją i obserwujemy. Jeśli ją zabijecie, to nie zamordujecie jej samej. Zabijecie ją, jej dzieci i dzieci jej dzieci.

— To tylko ryba — machnął ręką chłopak. — Czemu miałbym się przejmować?

— Ponieważ żarłacze białe są bardzo rzadkie, a nawet zagrożone wyginięciem. Zrobię z wami interes. Wy odetniecie tego rekina...

— Spieprzaj! — krzyknął chłopiec z wędką. — Ja sobie łamię grzbiet...

— ...a ja podam wasze nazwiska gazecie z podziękowaniem za pomoc udzieloną Instytutowi. Będziecie mieć większy powód do chwały, niż gdybyście zabili rekina.

— Nie ma mowy. — Chłopiec z wędką wrzasnął przez ramię: — Cofnij jeszcze trochę, Jimmy. Znowu ciągnie żyłkę.

Chłopiec za pulpitem wrzucił wsteczny bieg i Chase ujrzał, że kąt, pod jakim żyłka dotyka wody, rośnie w miarę jak łódź zbliża się do rekina.

— Tato — powiedział Max — musimy coś zrobić.

— Tak — odparł Chase, opierając się o nadburcie i czując, jak narasta w nim wściekłość. Problem tkwił w tym, że nie mógł nic zrobić, w każdym razie nic legalnego, ponieważ chłopcy nie łamali prawa. A jednak wiedział, że jeżeli na to pozwoli, nigdy sobie tego nie wybaczy. Odwrócił się i zszedł pod pokład.

Kiedy wrócił, trzymał maskę do nurkowania i parę płetw, a za pasek szortów miał wetkniętą parę

szczypców do metalu.

— Jezu, Simon... — odezwał się Tall Man z pomostu nawigacyjnego.

— Gdzie ona jest?

Tall wskazał kierunek.

— Jakies dwadzieścia metrów w tamtą stronę, ale nie...

— Jest tak wyczerpana i dezorientowana, że nie zwróci na mnie najmniejszej uwagi. Ostatnia rzecz, jaką chce jej się robić, to kogoś zjeść.

— Wiesz coś o tym, prawda?

— Pewnie — oznajmił Simon z wymuszonym uśmiechem i naciągnął płetwy. — A przynajmniej mam taką nadzieję.

— Tato! — jęknął Max, który nagle zdał sobie sprawę z zamiarów ojca. — Nie możesz...

— Zaufaj mi. — Naciągnął maskę na twarz i zeskoczył w tył z nadburcia.

Prowadzący łódkę chłopak zobaczył, że woda rozpryskuje się w miejscu, gdzie wpadł do niej Chase, i krzyknął:

— Ej! Co on chce zrobić, do cholery?

— To, co wy powinniście zrobić już dawno temu — odpowiedział Tall.

Chłopak złapał strzelbę i potrząsnął nią w górze.

— Każ mu wrócić, bo...

— Odłóż to, ty mała gnido — polecił Tall Man głosem spokojnym i twardym jak stal — albo przyjdę tam i każę ci ją zjeść.

Chłopiec spojrział na wysokiego, ciemnego mężczyznę górującego nad nim z pomostu nawigacyjnego znacznie większej łodzi i opuścił dubeltówkę.

Chase zlokalizował żyłkę prowadzącą z góry, z łódki, i prześledził ją wzrokiem, dopóki nie zobaczył rekina. Wziął dwa czy trzy głębokie wdechy na powierzchni, zatrzymując powietrze w płucach, i rzucił się w dół, uderzając płetwami wodę.

Żarłacz przestał walczyć, bo w pierwszych ruchach zaplątał się w przypon i w samą żyłkę. Teraz był otoczony paskami sztucznego włókna, wpijającymi mu się w ciało. Kołysał się na boku, być może odpoczywając przed ostatnią daremną próbą ucieczki, być może pogodziwszy się już ze śmiercią.

Simon podpłynął do niego, trzymając się z daleka od splątanej linki, dopóki nie dotarł do rekina na wyciągnięcie ręki.

Nigdy dotąd nie pływał na otwartym morzu w towarzystwie żarłacza białego. Widział je z bezpiecznego wnętrza klatki, dotykał ich ogonów, gdy ocierały się o kraty zwabione zawieszoną na nich przynętą, zachwycał się ich siłą, ale nigdy nie był w wodzie sam na sam z tym najgroźniejszym drapieżcą.

Pozwolił sobie przez moment przesunąć ręką wzdłuż gładkiej jak stal skóry grzbietu, potem z powrotem, przez ziarnistą, ząbkowaną skórę, która w dotyku przypominała papier ścierny. Odnalazł czujnik z małym nadajnikiem, nadal tkwiący bezpiecznie w skórze za płetwą grzbietową. Potem nachylił się nad rekinem, którego oczy przyglądały mu się bez strachu czy wrogości, lecz z pustą, niczego nie rozumiejącą neutralnością.

Wokół rekina oplecionych było sześć pętli — jedna stalowa, sześć z plastikowego włókna, pierwsza zaraz przed ogonem, ostatnia tuż za płetwami piersiowymi. Chase uniósł się nad rybą, prawie opierając się na jej grzbiecie, wyjął zza paska szczypcę do metalu i przeciął pętle jedną po drugiej. Gdy kolejne grupy mięśni torpedowatego ciała wyczuwały wolność, zaczynały drzeć i falować. Kiedy ostatnia pętla zniknęła, rekin zakołysał się w przód, przytrzymywany jedynie linką w

paszczy, prowadzącą do haczyka w brzuchu. Chase sięgnął ręką ku paszczy żarłacza i ciął linkę.

Rekin był wolny. Zaczaj opadać ogonem do góry i przez moment Chase bał się, że już nie żyje. Ale wtedy ogon zamachał, rekin przewrócił się na brzuch i otworzył paszczę, wciągając do skrzelii wodę. Nie spuszczać wzroku z Chase'a, zatoczył koło i podpłynął do niego.

Zbliżał się powoli, nieubłaganie, bez podniecenia ani strachu, z półotwartą paszczą.

Chase nie odwrócił się, nie uciekł, nie poruszył do tyłu. Stawił żarłaczowi czoła, spojrzał mu w oczy, wiedząc dobrze, że jedynym ostrzeżeniem przed nadciągającym atakiem będzie przewracanie oczami — instynktowna obrona przed zębami czy szponami ofiary.

Słyszał, jak krew pulsuje mu w skroniach, poczuł przyływ adrenaliny.

Rekin zbliżał się, dopóki nie był o metr od Chase'a, wówczas nagle przekręcił się na bok, eksponując śnieżnobiały brzuch rozdęty od młodych, wystrzelił pod kątem w dół jak przechylający się przy skręcie myśliwiec i zniknął w zielononiebieskiej głębinie.

Chase przyglądał się do momentu, gdy żarłacz zniknął. Potem wypłynął na powierzchnię, złapał kilka gwałtownych haustów powietrza i wrócił do łodzi. Wyszedł z wody, a kiedy siadał, żeby zdjąć płetwy, zauważył, że pulpity łodzi Instytutu unosi się nad kadłubem małej łódki. Usłyszał, jak Tall Man mówi:

— A więc umowa stoi, nie? Historyjka jest taka: złapaliście na hak rekina, zauważyliście, że ma obrączkę i powiadomiliście nas. My powiemy gazetom jacy z was wspaniali obywatele.

Chłopcy stali posepnie na rufie łódki, jeden z nich wybąkał:

— No dobra...

Tali obejrzał się w dół, zobaczył, że Chase jest na pokładzie i wrzucił wsteczny bieg.

— Dzięki! — zawołał do chłopców.

Simon podał synowi płetwy i wspiął się przez drzwiczki w poprzecznicy.

Chłopiec wyglądał na zagniewanego.

— To było naprawdę głupie, tato — orzekł. — Mogłeś...

— To było wyliczone ryzyko, Max — odparł. — Na tym właśnie polega praca z dzikimi zwierzętami. Byłem zupełnie pewien, że mnie nie ugryzie. Oceeniłem sytuację i stwierdziłem, że warto podjąć ryzyko, by ocalić życie ciężarnej samicy rekina.

— A co by było, gdybyś się pomylił? Czy życie żarłacza jest warte tyle, co twoje własne?

— Nie o to chodzi. Chodzi o to, że wiedziałem, co muszę zrobić. Biblia mówi, że człowiek ma panować nad zwierzętami, ale to nie znaczy, że mamy prawo zmieść je z powierzchni ziemi.

Max stał na końcu pulpitu, Chase za nim, na pokładzie dziobowym. Przepływali przez pas głębokiej wody pomiędzy wyspami.

Nagle chłopiec krzyknął:

— Tato! — i wskazał na wodę.

Znikąd pojawił się delfin. Płynął w kilwatrze łodzi, podążając za nią bez wysiłku. Widzieli jego błyszczący szary grzbiet, ostry pysk, pomarszczony otwór oddechowy na szczycie głowy. Słyszeli dźwięki, słabe klekotania i trele, dochodzące skądś wewnątrz zwierzęcia.

— On mówi! — zdumiał się podekscytowany Max. — Tak rozmawiają delfiny! Ciekawe, co on gada.

— Pewnie tylko paple. Może wzywa swoich kumpli, może mówi coś takiego, jak „Uuu!”

Przez kilka chwil ciało delfina prawie się nie poruszało, pozwalał się nieść pędowi łodzi. Później z jakiegoś powodu przyspieszył, bijąc poziomym ogonem w górę i w dół, i wyprzedził łódź. Zwolnił, poczekał, aż łódź go dogoni i od nowa rozpoczął przejażdżkę.

— Przyjrzyj się ogonowi — poradził Chase.

Max przechylił się nad pulpitem.

— Co takiego?

— Z lewej strony. Popatrz na te blizny.

Chłopiec zauważył pięć głębokich, białych cięć w ogonie delfina, w odległości trzech, pięciu centymetrów od siebie.

— Kto to zrobił? — zapytał.

Ten delfin został przez coś zaatakowany — odparł Chase. — Powiedziałbym, że miał szczęście i udało mu się uciec.

— Przez rekina?

— Nie, tego nie zrobił rekin. Jego ugryzienie byłoby półkoliste.

— Orka?

— Nie, zobaczyłbyś nakłucia albo blizny po stożkowatych zębach, a nie takie ostre ciecia. — Simon zmarszczył brwi. — Wyglądają jak blizny po szponach, tygrysich albo niedźwiedzich.

— Co mieszka w oceanie i ma pięć szponów?

— Nic. O niczym podobnym w życiu nie słyszałem.

11

Dok został wybudowany w zatoczce na północno—zachodnim krańcu wyspy. Gdy łódź płynęła w jego kierunku, Simon trącił syna łokciem, wskazał palcem w górę i uśmiechnął się. Para rybołówów leciała wysoko ponad wodą, szukając jedzenia dla swoich małych, które chroniły się bezpiecznie w budkach wybudowanych przez Chase'a.

— Kiedyś rybołowy były prawie na wyginięciu — wyjaśnił. — Z jakiegoś powodu ich jajka stały się tak słabe, że pękały, zanim kurczęta mogły się wykluć. Pewien naukowiec zainteresował się, co jest tego przyczyną i odkrył, że to DDT. Pestycydy dostawały się do wody i zatruwały cały łańcuch pokarmowy, tak więc ryby, którymi żywiły się rybołowy, niszczyły ich jajka. To odkrycie dało początek Fundacji Ochrony Środowiska. Po pewnym czasie od wprowadzenia zakazu używania DDT, rybołowy zaczęły wracać. Teraz są w całkiem niezłej kondycji.

Jednonoga czapła modra stała na warcie w basenie nieopodal doku.

— Witaj, Wódzu! — zawołał do niej Tall Man. Popatrzył na Chase'a i dodał: — Wódz jest wkurzony. Obiad się spóźnia.

— To Wódz Joseph — wyjaśnił synowi Simon. — Jakieś dzieci znalazły go na plaży miejskiej. Miał złamane skrzydło. Weterynarz, do którego go zabrały, powiedział, że skrzydło jest zbyt poważnie uszkodzone, by je leczyć. Chciał go uśpić, ale powiedziałem: „Nie, proszę tylko amputować skrzydło, zaopiekujemy się nią”. Stał się istną primadonną. Dwa razy dziennie spaceruje po płyciźnie, przez resztę czasu stoi tu i skarży się, że nie dajemy mu dosyć jedzenia.

— Dlaczego nazwaliście go Wódz Joseph? — spytał Max.

— Tall go tak nazwał, na pamiątkę wodza Nez Perce. Wiesz, bitwa o Góry Bear Paw. Stwierdził, że czapła z jednym skrzydłem przypomina mu, co Wódz Joseph powiedział po bitwie: „Nie będę walczył już nigdy”.

— Czy Wódz jest przyjacielski?

— Tak, jeśli masz jedzenie. Jeśli nie, cholernie się naprzykrza.

Chłopiec uśmiechnął się.

— Może ja też znajdę jakiegoś wyjątkowego zwierzaka, któremu mógłbym nadać imię i zaopiekować się nim.

— Pewnie — powiedział Chase. — Możesz znaleźć.

Tall Man wprowadził łódź na pochylnię między dwie mniejsze łódki, Whalera i Mako. Simon zeskoczył do doku i wyciągnął cumy. Rzucił cumę rufową i szpring przyjacielowi i wrócił na pokład, żeby pokazać synowi, jak umocować cumę dziobową.

Potem, gdy Tall poszedł po jedzenie dla czapli, Chase i Max wspięli się na wzgórze.

Osprey Island stanowiła prywatną własność rodzinną przez niemal sto lat, lecz rodzina rosła z pokolenia na pokolenie, aż przestała się mieścić w pięciu budynkach mieszkalnych, na postawienie których zezwolił lokalny zarząd gruntami. Co pewien czas jacyś członkowie rodziny usiłowali odkupić własność od innych, ale wpłatywali się tylko w prawne zawilości.

Wyspa o powierzchni trzydziestu pięciu akrów leżąca tuż przy brzegu, teoretycznie warta była

fortunę, a stan i miasto odpowiednio ją opodatkowały. W ciągu ubiegłych dwudziestu lat podatki wzrosły dwukrotnie, potem znów się podwoiły, aż w końcu koszt utrzymania enklawy osiągnął wysokość stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Członkowie rodziny odkrywali jeden po drugim, że za przysługujące im dwa tygodnie spędzane każdego lata na wyspie płacą więcej, niż wynosi koszt wynajęcia porządnego domu w Nantucket albo Martha's Vineyard na dwa miesiące.

Próbowali sprzedać wyspę, ale okazało się, że nie jest w rzeczywistości wiele warta, ponieważ nikt — włączając w to członków rodziny — nie chce zapłacić ceny równej jej szacunkowej wartości.

Tak więc, w zaplanowanym akcie zemsty przeciwko lokalnym „podatkokratom”, rodzinna korporacja, stworzona wyłącznie w celu zarządzania wyspą, zaciągnęła największy dług hipoteczny, na jaki zgodził się lokalny bank — połowę szacunkowej wartości wyspy — rozdzieliła uzyskane pieniądze pomiędzy dwanaście rodzin należących do klanu... a następnie rozwiązała się i opuściła wyspę, pozostawiając zastaw, koszty jego utrzymania i podatki w rękach banku.

Bank i miasto przyjęli Simona Chase'a jako nowego właściciela wyspy z otwartymi ramionami. Zapuścił w lokalnej społeczności głębokie korzenie i, mimo że Instytut jako instytucja nie przynosząca zysków nie musiał płacić lokalnych podatków, niektóre z przedsięwzięć Chase'a mogły przynieść mieszkańcom miasteczka znaczne korzyści. Na przykład mógł wymyślić, w jaki sposób uruchomić przemysł przetwórstwa mięczaków. Od wielu lat populacje przegrzebek i omułków wokół Waterboro były tak zatrute zanieczyszczeniami, że nikomu nie wydawano pozwolenia na zbieranie, czy sprzedaż jakichkolwiek mięczaków. Może Chase będzie umiał znaleźć sposób na oczyszczenie środowiska, w jakim żyły.

Co więcej, lokalni kupcy wiedzieli, że Instytut nie będzie dla żadnego z nich konkurencją. A poza tym, wspaniałe plany Chase'a dotyczące wyspy obiecywały pobłogosławić okolicę tym, czego było jej najbardziej brak: miejscami pracy.

Ograniczenia wydatków zbrojeniowych spowodowały spadek zatrudnienia u największego pracodawcy w południowo-wschodnim Connecticut, firmie Electric Boat z siedzibą w Groton. W efekcie podupadło wiele innych zakładów, co zdziesiątkowało sektor usługowy. Restauracje i sklepy spożywcze, bary i sklepiki z upominkami zamykały drzwi. Gdzeniegdzie zastępowały je sklepy z antykami i galerie sztuki. Waterboro kostniało, zaś Instytut dawał nadzieję przywrócenia społeczności do życia. Setki osób dostanie zatrudnienie przy jego budowie, zakładaniu instalacji elektrycznej i wodociągowej, a kiedy zostanie ukończony, dziesiątki innych znajdzie pełnoetatową pracę w samym Instytucie albo w jednym z wielu obsługujących go zakładów.

Przez rok wydawało się, że marzenie się spełni. Chase wziął się do wysyłania podań o dofinansowanie i otrzymał sto tysięcy dolarów dotacji, za które kupił łodzie i podstawowe wyposażenie naukowe. Otrzymał również wstępną obietnicę od rządu federalnego, stanu Connecticut i kilku prywatnych fundacji, dofinansowania przedsięwzięć związanych z ratowaniem zagrożonych gatunków zwierząt, rybołówstwem handlowym i badaniami medycznymi. Jedna z dotacji umożliwiłaby mu wyjaśnienie zaskakującego faktu, że rekiny, nie mając kości, są odporne tak na raka, jak i na artretyzm i potrafią wywierać niezwykły, bo sięgający trzech ton na centymetr kwadratowy, nacisk szczęki zbudowanej wyłącznie z chrząstek. Inny sponsor pozwoliłby mu rozpocząć badania nad nie udowodnioną tezą, że sproszkowane chrząstki rekinów posiadają własności zwalczające raka. Lekarze z Kuby stwierdzili ustąpienie nowotworów u czterdziestu procent pacjentów, którym podawano duże dawki chrząstek.

Lecz później, pod koniec 1995 roku, gospodarka przebiła dno. Dług narodowy wzrósł do sześciu bilionów dolarów, prezydent i Kongres, opętani myślą o kolejnych wyborach, odmówili podjęcia radykalnych decyzji, niezbędnych do poradzenia sobie z deficytem budżetowym. Niemcy, Japończycy

i Arabowie, wspierający od ponad dziesięciu lat „amerykański styl życia”, przyjrzeni mu się przez ocean, zdegrustowani ogłosili, że Stany Zjednoczone są faktycznie skończone jako światowa potęga i wycofali swoje pieniądze.

Inflacja zaczęła szaleć, stopy procentowe sięgnęły dwucyfrowych liczb, rynek giełdowy spadł o tysiąc punktów i jak dotąd nie wykazywał oznak odbicia się od dna. Bezrobocie w całym kraju wynosiło 11 procent, co czwarta rodzina żyła teraz poniżej progu ubóstwa.

W ciągu jednego tygodnia odmówiono Chase’owi wszystkich dotacji. Przebudowa wyspy była ostatnią rzeczą, na którą miał pieniądze. Z trudem opłacał trzyosobowy personel, z trudem mógł utrzymać się przy życiu. Gdyby nie udało mu się uzyskać dla Instytutu zwolnienia z podatków, musiałby już dawno pójść w ślady swych poprzedników i opuścić wyspę.

Wciąż jeszcze mógł zostać zmuszony do spakowania manatków i wyniesienia się, jeśli z ostatniego rzutu kośćmi wyjdą nici.

Kilka miesięcy temu zadzwoniła do niego doktor Amanda Macy z Kalifornii. Prowadziła pionierskie badania na polu wykorzystania uchatek kalifornijskich do filmowania wielorybów w ich naturalnym otoczeniu. Znane ze swej płochliwości wale szare nie dają się sfilmować nurkom, a nawet jeśli komuś uda się zarejestrować kilka metrów taśmy, nie można ustalić, czy zachowanie wielorybów było naturalne, czy też wpłynęła na nie obecność nurka. Jako że uchutki często towarzyszą wielorybom w ich naturalnym otoczeniu, według teorii Amandy Macy, wieloryby powinny je tolerować, nie zmieniając swojego zachowania. Tak więc wytrenowała uchutki do noszenia kamer wideo podczas pływania u boku wielorybów. Jak mówił raport, doktor Macy zrewolucjonizowała wiedzę naukową na temat wielorybów szarych.

Teraz chciała wypróbować tę samą technikę z innym gatunkiem wieloryba, długopłetwcem. Usłyszała o nowym instytucie, przeczytała niektóre z prac Chase’a na temat rekinów. Wiedziała, że ma łódzie, zapał i doświadczenie w pracy z wielkimi zwierzętami głębinowymi. Wiedziała też, że każdego lata długopłetwce przepływają blisko wschodniego brzegu wyspy w drodze na północ. Zaproponowała, że wraz ze swą drużyną uchatek przybędzie na wyspę na trzy miesiące. Gdyby zabrał ją na morze i pomógł w badaniach, zapłaciłaby, powiedzmy, dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie.

Simon zgodził się natychmiast, usiłując stłumić podniecenie w głosie. To mogło być zbawienie, nie tylko finansowe, ale również intelektualne — wspaniałe przedsięwzięcie, o dobrym zapleczu finansowym, prowadzone wspólnie z uznanym naukowcem.

Jedynym problemem było to, że doktor Macy miała przybyć za kilka dni, Chase wydał sporo pieniędzy — pieniędzy, których nie miał — budując basen dla jej uchatek, a jak dotychczas pierwszy czek doktor Macy jeszcze do niego nie dotarł. Jeśli zmieniła plany, jeśli zdecydowała się odwołać przyjazd i nie pofatygowała się, by do niego zadzwonić...

Mózg Instytutu mieścił się w wyłożonym drewnem wiktoriańskim gmachu o dwudziestu dwóch pokojach, stanowiącym dawniej główny budynek wyspiarskiego klanu. Choć nie zmieniła się jego konstrukcja, pełnił dziś odmienną funkcję. Wykorzystywano go jako sypialnię, jadalnię, biuro i centrum łączności Instytutu. Był zniszczony i mało praktyczny, więc pierwotne, imponujące plany Chase’a obejmowały wyburzenie go i wzniesienie nowego kosztem ponad miliona dolarów. Teraz jednak zadowolony był z tego, że budynek pozostał nietknięty, naprawdę bowiem go pokochał. Jego biuro było wielkie, wysoko sklepienie, wyposażone w działający kominek i przeszklone drzwi, które dawały mu widok na Fishers Island, a w bezchmurne dni na Long Island.

Kiedy weszli do biura, Pani Bixler polerowała cynowe naczynia i oglądała The Weather Channel.

— Dzień dobry, Pani B. — powiedział Simon.

— Dzień zaczął się już dawno — odparła Pani Bixler — a wy wyglądacie, jakbyście byli na trzydniowym szaleństwie. — Czy naprawdę zabrał pan tego chłopca na rekiny?

— Tak, a on świetnie sobie poradził. Dzięki kanapkom, które pani przysłała.

— Mieliście szczęście — orzekła Pani Bixler, marszcząc brwi i wracając do swojego polerowania. — Mieliście szczęście, to jasne jak słońce. Powiadam wam, nie nadużywajcie swego szczęścia.

Teoretycznie Pani Bixler była sekretarką Chase'a. W praktyce była majordomusem Instytutu i jego samozwańczą dozorczynią. Sześćdziesięcioletnia wdowa była członkiem rodziny, która dawniej posiadała wyspę. Jej dzieci przeniosły się gdzieś na zachód kraju, a ona mieszkała tu przez okrągły rok od czasów wojny w Korei, kursując pomiędzy wyspą i kontynentem na swojej łódce, drewnianym ślizgaczu z 1951 roku, który trzymała we własnej zatoczce.

Początkowo, kiedy rodzina opuściła wyspę, Pani Bixler przeniosła się do małego domku nad wodą w pobliżu Mystic, ale gdy tylko wyspę przejął Chase — który, jak się okazało, dzwonił do niej codziennie po porady w sprawie budynków, systemu kanalizacyjnego, generatorów prądu, studni — poprosił ją, by wróciła na wyspę i pracowała dla Instytutu. Wróciła więc, na własnych warunkach, obejmujących odnowienie jej czteropokojowego apartamentu obok kuchni w głównym budynku.

Kolekcja cynowych naczyń, muzealnej wartości zbiór siedemnasto — i osiemnastowiecznych dzbanków, flakonów, talerzy, świeczników i zastawy stołowej, była własnością Pani Bixler, wartą zapewne kilkaset tysięcy dolarów. Mogła ją sprzedać, upchnąć gdzieś w piwnicy albo trzymać w swoich pokojach, ale jej tradycyjne miejsce było w pokoju, który teraz stał się biurem Simona, i gdzie, jak mu powiedziała Chase'owi, kolekcja nadal pozostanie.

— Dlaczego pani to ogląda? — zapytał Max, wskazując na telewizor wstawiony do biblioteczki.

— Nigdy nie można być zbyt ostrożnym — pouczyła go Pani B. — Jednym nie jest się nigdy — zbyt ostrożnym.

Pani Bixler była nastawiona katastroficznie. Miała trzy lata, kiedy w 1938 roku kolosalny huragan spustoszył Nową Anglię. Twierdziła, że pamięta, jak domy przelatywały nad Napatree Point i spadały do morza. Na wyspie przeżyła sześć następnych huraganów. Gdy w 1991 roku huragan Bob wyrócił parę drzew, wybił kilka okien i rzucił na trawnik domu łódkę do połowu homarów, wzięła z banku pożyczkę na zakup anteny satelitarnej, by mieć włączony The Weather Channel o każdej porze dnia i nocy i być gotową na kolejny duży podmuch.

— Co się dzieje? — spytał Chase.

— Nic wielkiego, nawet żaba nóg nie przemoczy. Ale na wschód od Puerto Rico tworzy się głęboki niż z aktywnym frontem.

— Miałem na myśli interesy. Czy przyszło coś z Agencji Ochrony Środowiska albo Departamentu do spraw Ochrony Środowiska? Czy dostaliśmy zgodę na ruszenie wieloryba?

— Nie było ani słówka. Zadzwoiłam do obu, ale połączyłam się z automatem, który życzył mi miłego dnia.

Chase przerzucił stertę listów na biurku.

— Czy dostaliśmy czek od doktor Macy?

— Jeszcze nie. Na pańskim miejscu powiedziałabym tej kobiecie, że zamierzam zrobić z jej uchatek dwa futra i parę rękawiczek, jeśli nie spłaci swoich rachunków. — Pani Bixler zamilkła. — Jeszcze jedno. Pojechałam do miasteczka po pocztę. Andy Santos powiedział mi, że Finnegan chce zabrać się za pański status podatkowy.

— Cholera! — krzyknął Simon. — Nigdy się nie podda, co?

— Nie, dopóki pana stąd nie wyslizga. Albo dopóki sam się pan nie potknie i nie sprzeda mu

wyspy.

— Prędej wysadzę ją w powietrze.

Pani Bixler uśmiechnęła się.

— To samo powiedziałam Andy'emu.

Brendan Finnegan spekulował ziemią, miał doskonałe rozeznanie, tyle, że zwykle o rok spóźnione. Zbił fortunę w latach siedemdziesiątych, stracił ją na początku lat osiemdziesiątych, odzyskał pod koniec lat osiemdziesiątych, ale dobiły go ostatnie zmiany. Obecnie jego imperium chwiało się na krawędzi bankructwa, a on sam pilnie potrzebował dużej wygranej.

Miesiąc po tym, jak Chase zakończył operacje związane z kupnem Osprey Island, Finnegan dostał cynk od jednego z saudyjskich książąt, który niepokoił się nagłym wskrzeszeniem islamskiego fundamentalizmu i poszukiwał bezpiecznego schronienia dla kilku milionów dolarów. Nie ufając rynkom i bankom, chciał nabyć trwałe dobra i uważał, że, mimo kłopotów, w jakich znalazła się Ameryka, nadmorska własność na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych należy do najtrwalszych dóbr na świecie. Jej wartość może stanąć w miejscu, może nieznacznie spaść, ale nigdy się nie załamie, ponieważ 70 procent ludności tego kraju mieszka w promieniu pięćdziesięciu mil od brzegu, a coraz więcej ludzi ucieka co dzień z wnętrza kraju. Za tę cenę można było znaleźć domy na sprzedaż od Północnej Karoliny do New Hampshire, ale nie wyspę, książę zaś był zawołanym paranoikiem, potrzebującym odosobnionej reputy.

Brendan dojrzał w księciu swoją wielką wygraną — jeśli tylko potrafi znaleźć wyspę, którą mógłby mu sprzedać. Nie chciał samej tylko prowizji pośrednika, pożądał również zysku sprzedającego. Dlatego właśnie musiał mieć wyspę na własność.

Problemy finansowe Simona nie były tajemnicą. Opinia publiczna знаła cenę, jaką zapłacił za wyspę, wszyscy wiedzieli o trudnościach, jakie miał w pokrywaniu codziennych wydatków.

Początkowo Finnegan zaproponował Chase'owi sumę jaką ten zapłacił za kupno wyspy. Ignorując jego upór, podnosił stawkę za każdym razem o dziesięć procent. Ostatnią ofertą było 180 procent ceny kupna, czyli prawie dwie trzecie szacunkowej wartości majątku.

Simon próbował mu to wyperswadować. Jak powiedział Brendanowi, kiedy byli jeszcze we względnie dobrych stosunkach, nareszcie odnalazł coś, co kocha, co chce ocalić i czym chce się zajmować.

Finnegan przestał być miły. Zaczął wnosić skargi — do zarządu gruntami, do Straży Wybrzeża, do Agencji Ochrony Środowiska. Żadnej ze skarg nie uznano, ale na każdą musiał odpowiedzieć sam Chase lub jego prawnik, liczący sobie dwieście dolarów za godzinę.

— Jakie podstawy wydumał sobie tym razem? — zapytał Panią Bixler.

— Mówi, że nie uprawia pan tu żadnej prawdziwej nauki, twierdzi, że pańskie eksperymenty nie dały do tej pory nic konkretnego, więc dlaczego podatnicy mieliby pana utrzymywać.

— Argumentacja ma pewną siłę przekonywania. Doktor Macy przyjeżdża w samą porę...

Kawaleria przybywa na odsiecz.

— Jeśli tylko zapłaci rachunki.

Max zdawał się nie zwracać uwagi na rozmowę, śledząc monotony szum raportów pogodowych. Lecz teraz odezwał się nagle:

— Nie stać cię na to wszystko? Stracisz wyspę?

— Nie — zapewnił go Chase z wymuszonym uśmiechem. — Chodźmy teraz wziąć kilka butli do nurkowania i próbą lekcję, zanim wrócimy zanurkować po czujnik.

— Mało prawdopodobne — wtrąciła Pani Bixler. — Kompresor nie działa.

— Na Boga... Co znowu? — zawołał Simon, widząc, jak ramiona syna opadają w geście

rozczarowania.

— Gene powiedział, że to chyba pierścienie. Ale na pana miejscu poprosiłabym Talla, żeby się tym zajął.

— Dobrze — zgodził się. Odczuwał lekką panikę. Teraz mieli kłopoty z kompresorem, co popsuje się potem? Najbardziej ze wszystkiego pragnął się przespać.

Ale był tu Max więc chciał, żeby chłopiec dobrze się bawił. Uśmiechnął się i zaproponował:

— Pójdziemy porozmawiać z Tallem. Pomożemy mu nakarmić Wodza Josepha, a potem sprawdzimy stojaki z butlami. Może zostało jeszcze kilka pełnych.

Tall Man był już w komórce ze sprzętem, pracował nad kompresorem, w którym na szczęście zawiesił się tylko zawór. Powiedział, że naprawi to do wieczora, a jutro rano butle będą pełne.

Chase nie wiedział, jak syn zareaguje — może będzie ponury, zrezygowany — ale nigdy nie spodziewałby się entuzjazmu. Zaskoczyło go więc i ucieszyło, kiedy chłopiec powiedział:

— Cudowną stroną przebywania tu przez miesiąc jest to, że zawsze jest jakieś jutro. — Machnął ręką. — Chodź, tato, oprowadź mnie po całej wyspie.

Na wyspie znajdowały się jeszcze trzy inne budynki. Wszystkie były kiedyś zamieszkałe, wszystkie z nich planowano wyburzyć, zamiast czego prowizorycznie zamieniono je w laboratoria, składy sprzętu, a jeden — w tymczasowy lazaret.

Z saloniku największego domu usunięto meble i wykładziny, podłogę wyłożono płytkami, a ściany ponownie otynkowano. Na środku pokoju znajdował się przymocowany do podłogi, oświetlony z sufitu ogromnymi świetlówkami, cylinder o długości sześciu i wysokości dwóch metrów, z okrągłym włazem z jednej strony i małym iluminatorem pośrodku. Plastikowe rury i izolowane kable biegły od cylindra do tablicy sterowniczej na jednej ze ścian.

— To nasza komora dekompresyjna — wyjaśnił Chase. — Nazywamy ją „doktor Frankenstein”.

— Do czego służy?

— Cóż, przekonajmy się, ile się nauczyłeś na lekcjach nurkowania. Jakie są największe niebezpieczeństwa grożące nurkowi, oprócz głupoty i paniki, które są najgroźniejsze, choć rzadko się o nich mówi?

— Łatwe. Po pierwsze, zatory — powstają od wstrzymywania oddechu przy wynurzeniu. Czyli choroba kesonowa. I... zapomniałem, jakie jest drugie.

— Niektórzy nazywają to „euforią nurka” — powiedział Simon. — Euforią głębokości. — Poprowadził Maxa do małej lodówki, z której wyjął dwie puszkę coli. Podał mu jedną i zapytał: — Byłeś kiedyś pijany?

Max zarumienił się.

— Ja?

— Nieważne, na to pytanie nie musisz odpowiadać. Chodzi mi o to, że tak zwana „euforia” przypomina upicie się pod wodą. Naprawdę to odurzenie azotem. Kiedy wdychasz pod wodą sprężone powietrze, w tym, co wciągasz do wnętrza ciała, jest duży procent azotu, zaś azot może wywołać zatrucie, zupełnie jak alkohol. Dotyka to ludzi na różnych głębokościach i w różnym stopniu. Niektórym nigdy się nie zdarza, innym — tylko raz w życiu i nigdy więcej, jeszcze innym tak często, że są do tego prawie przyzwyczajeni. Niektórzy z tego powodu giną.

— Dlaczego?

— Bo upicie się pod wodą to... no... prawdziwy odłot. Najgorsze jest to, że najczęściej nie wiesz, co się w ogóle dzieje. To przyjemny, senny rodzaj upojenia. Zapominasz, gdzie jesteś, nic cię nie obchodzi, ta głęboka rafa na dole, sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią jest taka śliczna, że

chyba popłyniesz przyjrzeć się jej przez chwilę, a jeśli nawet pamiętasz, żeby sprawdzić wskaźnik głębokości albo zapas powietrza, to okazuje się, że nie możesz ich odczytać. Cyfry rozmazują się, ale ty się nie przejmujesz. I tak zejdziesz.

Przeprowadzano testy na nurkach i okazało się, że z reguły na głębokości siedemdziesięciu pięciu metrów, dwudziestopięcioletni mężczyzna w doskonałej kondycji fizycznej nie może wykonać prostych zadań, do których go wcześniej nie przygotowano.

— Na przykład?

— Na przykład rozwiązać łamigłówki, jaką miałeś w dzieciństwie, w której wkłada się okrągły przedmiot do okrągłego otworu, a kwadratowy do kwadratowego. Nie potrafi tego zrobić, nie rozumie polecenia. Traci całą swą zdolność twórczego myślenia. Nie może zmienić planu nurkowania. Jeśli zdarzy się awaria, jeśli skończy mu się powietrze albo ustnik rurki wysunie się z automatu, przeżyje tylko dzięki instynktowi i odruchom wykształconym przez doświadczenie i trening. Albo nie przeżyje.

— Zabijają ich awarie?

— Nie zawsze. Czasami sami się zabijają. Pomyślałbyś, że to samobójstwo, gdybyś nie wiedział, co się naprawdę stało.

— To znaczy?

Chase wziął głęboki oddech i spojrzał w przestrzeń, przypominając sobie coś.

— Dziesięć lat temu ubezpieczałem przy nurkowaniu faceta, który chciał sfilmować czarne korale na rafie Little Cayman. Bardzo głęboko, sześćdziesiąt metrów, siedemdziesiąt pięć, prawie na krawędzi bezpiecznego nurkowania z butlą ze sprężonym powietrzem.

— A można stosować coś innego niż powietrze? — spytał Max.

— Tak, jeśli trzeba pracować na jeszcze większej głębokości, używa się mieszanki gazów, na przykład helu z tlenem. W każdym razie, podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności.

Spuściliśmy obciążoną linę na siedemdziesiąt pięć metrów, ustawiliśmy nurków z zapasowymi butlami co piętnaście metrów, żeby cały czas ktoś czuwał nad kamerzystą i żeby miał duży zapas powietrza do stopniowej dekompresji przy wynurzaniu się. Ja tkwiłem na głębokości trzydziestu metrów, pode mną był jeszcze jeden facet, na czterdziestu pięciu. Kamerzysta niósł dwie osiemdziesiątki napompowane do dwustu pięćdziesięciu atmosfer — duże butle, więc nie mogło mu zabraknąć powietrza. Twierdził, że nigdy nie wpadł w euforię, więc nikt się nie przejmował.

Ustawiliśmy się na stanowiskach. Kamerzysta wskoczył do wody i zaczął schodzić. Przepłynął obok mnie i pomachał, to samo przy następnym facecie, potem złapał linę na głębokości sześćdziesięciu metrów i zatrzymał się, żeby nastawić kamerę i włączyć lampy. Woda była czysta jak spirytus, więc wszystko widziałem. Wyglądał w porządku, kontrolował sytuację, bąbelki powietrza wypływały regularnie, co znaczyło, że oddycha bez problemu. Żadnych oznak niepokoju, paniki, nic.

Duży granik wypłynął z otworu w rafie i zawisł, przyglądając się kamerzyście, który nakręcił trochę filmu. Potem granik znudził się i zaczął schodzić w dół rafy.

No i zupełnie niespodziewanie kamerzysta patrzy w górę na faceta pode mną, macha ręką, zdejmuje maskę — własną maskę, na Boga! — odrzuca ją i zaczyna ścigać granika w dół rafy.

Rzuciłem się za nim, tak samo facet pode mną, i to pełnym pędem, ale nie było siły.

Zatrzymaliśmy się na siedemdziesięciu pięciu metrach, widzieliśmy tylko jak światła kamery schodzą coraz głębiej w ciemność, aż w końcu wyglądały jak główki od szpilki.

— Jak tam było głęboko?

— Trzy kilometry. Myślę, że facet dalej tam leży.

— Trzy kilometry! — krzyknął Max. — Czy czułeś ją... tę euforię?

— Przede wszystkim byłem w szoku. Ale przez jakąś sekundę odczuwałem pewną dziwną zazdrość o to, co ten facet widzi na dole, w otchłani. Gdy tylko ją poczułem, wiedziałem czym jest i przeraziłem się, więc złapałem drugiego nurka i wyciągnąłem nas obu na górę, gdzie znów poczuliśmy się normalnie.

— A choroba kesonowa? Przeżyłeś ją kiedyś?

— Dzięki Bogu, nie i mam nadzieję, że nigdy nie przeżyję. — Chase wskazał ręką pokój. — Kiedy tu siedzimy — wyjaśnił — na każdy centymetr kwadratowy naszych ciał działa ciśnienie powietrza wielkości jednego kilograma. Tak? To jest tak zwana jedna atmosfera. Schodząc podczas nurkowania o każde dziesięć metrów dostaje się kolejną atmosferę i o tyle spręża się powietrze w butli. Więc na głębokości dziesięciu metrów masz dwie atmosfery, na głębokości dwudziestu metrów — trzy, i tak dalej. Rozumiesz?

— Jasne.

— Przypomnij sobie teraz, jak powiedziałem, że im głębiej schodzisz, tym więcej azotu wdychasz. Znowu pojawia się azot — nasz czarny charakter. Jeśli zostaniesz zbyt długo pod wodą i wynurzysz się zbyt szybko, nie dając mu szansy na wydostanie się z twojego organizmu przez powolne obniżanie ciśnienia, bańka azotu może zagnieździć ci się w kręgosłupie, albo w mózgu. To jest choroba kesonowa. Można przez nią zginąć, nabawić się na całe życie kalectwa lub czegoś, co wygląda jak zapalenie stawów. — Chase wskazał stalowy cylinder. — Dlatego mamy komorę dekompresyjną, gdyby ktoś nabawił się choroby kesonowej. Szanse na coś takiego w naszej okolicy są raczej małe, biorąc pod uwagę niewielkie głębokości na których nurkujemy, ale kiedy marynarka wojenna zaproponowała nam komorę, którą mieli na zbyciu, capnąłem ją.

— Jak ona działa?

— Jeśli ktoś zbyt szybko się wynurzy, wsadza się go do środka, pompuje do komory pełno powietrza i spręża je do ciśnienia odpowiadającego głębokości, na której według tabel powinien znaleźć się nurek, żeby rozpocząć bezpieczną dekompresję — trzydziści metrów, sześćdziesiąt. Możemy sprężyć powietrze w komorze do ciśnienia odpowiadającego trzystu metrom. Ciśnienie wypycha azot z powrotem do krwi w krwiobiegu nurka, więc bąbelki znikają i nurek wraca do siebie. Zazwyczaj. Ale zależy to od tego, jak długo pozostawał bez pomocy.

A potem ciśnienie w komorze zmniejsza się stopniowo, co przypomina wyciąganie nurka z głębin bardzo powoli, niemal centymetr po centymetrze, żeby azot miał szansę wydostać się z tkanek. Czasami zajmuje to nawet cały dzień.

— A co się dzieje, jeśli wynurzy się zbyt szybko?

— To znaczy, naprawdę za szybko? Umrze.

Wrzucili puszki po coli do kosza na śmieci i wyszli na zewnątrz.

Na południowo—wschodnim krańcu wyspy do form umocowanych w lejach, wysadzonych w skale rafowej, zostało wylane wielkie betonowe koło o średnicy piętnastu metrów. Koło zostało napełnione wodą, a we wnętrzu pozostawiono naturalne skały, tworzące tarasy i grotty.

— Wygląda jak domek dla fok w zoo — skomentował Max.

— Trafieś. To właśnie taki domek. Kazałem go specjalnie wykonać dla uchatek doktor Macy.

— Czy będę mógł się z nimi pobawić?

— Nie widzę przeciwwskazań. — Chase popatrzył na zegarek. — Ale teraz muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych. Chcesz pójść ze mną?

— Czy mogę pójść i poprosić Tall Mana o ryby? Może spróbuję nakarmić Wodza Josepha.

— Pewnie. — Simon zrobił kilka kroków i przystanął. — Ale pamiętaj... To jest wyspa... Woda, wszędzie wokół jest woda.

Max skrzywił się.

— Tato...

— Wiem, wiem, przepraszam — uśmiechnął się Chase. — Ale musisz pamiętać, że jestem nowicjuszem w całym tym ojcowaniu.

Chase siedział przy biurku, wpatrując się w wydruk faxu, potwierdzający przelew bankowy. Pieniądze doktor Macy będą do podjęcia z konta Instytutu w miejskim banku jutro rano. Zapłaci Pani Bixler, Tall Manowi i dozorczy, Gene. Ureguluje rachunki na stacji benzynowej i w sklepie spożywczym. Zdoła nawet opłacić na czas składkę ubezpieczeniową, po raz pierwszy od kilku miesięcy unikając karnych odsetek.

Powinien chyba oprawić fax w ramki i zawiesić go na ścianie, tak jak inni oprawiają pierwszego dolara, którego zarobiła ich firma. Te dziesięć tysięcy naprawdę ocaliło mu życie, było pierwszym krokiem ku pełnej wypłacalności Instytutu. Gdyby tylko udało mu się gościć tu doktor Macy i jej uchatki przez pełne trzy miesiące. A dlaczego by nie? Pogoda zapowiada się dobra, wieloryby będą pływać w tę i z powrotem do końca września. Zarobiłby trzydzieści tysięcy dolarów, dość, by utrzymać się na powierzchni do końca roku. Może do tej pory zmiękną i przyznają mu dotację na badanie biodynamiki rekinów, może uda mu się wyłudzić kilka zleceń od telewizji kablowych, pokazujących rewię rekinów i wielorybów, może... Może wygra na loterii.

Tak, skopiuje fax i oprawi go w ramki. Kiedyś, w lepszych czasach, patrzenie nań będzie mu sprawiać przyjemność.

Zastanowił się, czy doktor Macy ma pojęcie, jak istotne jest dla niego tych dziesięć tysięcy. A co dla niej znaczy dziesięć patyków? Pewnie nic. Stanowy system uniwersytecki w Kalifornii pochłania rocznie setki milionów dolarów dotacji. Dziesięć tysięcy to dla niej pewnie drobne wydatki.

Zastanowił się też, jaka będzie sama doktor Macy. Mógł się założyć, że stuprocentowo naturalna, organiczna, ekologiczna, żadnych środków konserwujących. Jedna z tych kobiet, które pachną owczym tłuszczem, bo ich swetry są zrobione z surowej nowozelandzkiej wełny, które noszą małe okrągłe okulary i mają brudne paznokcie u stóp od chodzenia w ortopedycznych sandałach i które odmawiają spożycia wszystkiego, co kiedykolwiek żyło.

Znał je dobrze ze swych dni w Greenpeace. Odkrył wtedy, że są albo nie do zniesienia obłudne i zadowolone z siebie, albo... niebezpiecznie naiwne.

W każdym razie, nie obchodziło go to. Jej pieniądze są niezłe, tak jak i jej przedsięwzięcie. Wizerunek Instytutu — propaganda była elementem pracy, którego nienawidził i w którym nie był biegły — może zyskać na współpracy z nią. Dobre zdjęcia wideo długopłetwców, zwłaszcza gdyby miały to być zdjęcia przełomowe, takie jak doktor Macy podobno zrobiła szarym wielorybom kalifornijskim, będą namacalnym dowodem prowadzenia poważnej pracy naukowej. W gazetach i telewizji pojawią się relacje. Brendan Finnegan będzie musiał przełknąć swoje pretensje i znaleźć sobie inną ofiarę.

12

Stopa Maxa poślizgnęła się na gładkim otoczaku. Zanim zdołał odzyskać równowagę, zjechał po jego powierzchni i znalazł się po kostki w wodzie. Rzucił kilka przekleństw i pobnął przez płytką wodę, dochodząc do miejsca, gdzie skały były mniejsze. Wspiął się i podjął na nowo obchód wyspy, skacząc ostrożnie z głazu na gład, rozumiejąc nareszcie prawdę przekazaną mu przez Tall Mana: po odpływie skały są śliskie.

Tall dał mu dwie ryby, by nakarmił czaplę. Podeszedł do ptaka ostrożnie, bo ten był spory, miał długi, ostry dziób, a jego czarne oczy śledziły go jak potencjalną zdobycz.

Max upuścił pierwszą rybę, obawiając się o całość swych palców, a czapla pochwyciła ją z wody, wyciągnęła szyję i połknęła ją w całości. Gdy ptak spostrzegł drugą rybę, zrobił krok w jego kierunku. Zmusił się, by stawić mu pola, trzymając zwisającą rybę w ręce. Wódz wyrwał mu ją z precyzją chirurga, dziób minął palce chłopca o kilka milimetrów. Max próbował dotknąć ptaka, ale ten odwrócił się i odmaszerował na środek własnego baseniku.

Chłopiec nie miał nic konkretnego do roboty, ponieważ ojciec i Tall Man byli zajęci, więc zdecydował wybrać się na wyprawę. Tall powiedział mu, że przy niskiej fali można obejść wyspę dookoła po skałach. Przeszedł już prawie pół drogi, docierając do odległego, południowego krańca wyspy, kiedy pośliznął się na pokrytym szlamem otoczaku i przemoczył sobie trampki.

Doszedł do małego baseniku, a właściwie sporej kałuży, skąd fala odpływowa wycofała się za skały. Przyklęknął i schylił się nad wodą. Zobaczył maleńkie kraby przemykające między kamieniami i przegrzebki przywierające do dna nieruchomo, jakby cierpliwie czekały na kolejny przyptyw. Przez chwilę przyglądał się im, zastanawiając się co też takiego robią, że mają aż tak zaaferowany wygląd — jedzą? walczą? uciekają? Wreszcie wstał i poszedł dalej.

Większe skały były upstrzone ptasim łajnem i zaśmiecone skorupami krabów i małży, upuszczonych z góry przez ptaki, które następnie rzucały się w dół, by wydziobać ze zmiażdżonych skorup soczyste mięso. Mniejsze skałki bliżej wody porośnięte były glonami i chwastami. W szparach pomiędzy nimi dostrzegł pudełka od zapalek, plastikowe rączki od opakowań po butelkach i aluminiowe wieczka puszek. Pozbierał te, które mógł dosięgnąć, i wepchnął je do kieszeni.

Dotarł do miejsca, gdzie skały były tak omulone i śliskie na powierzchni, że nie mógł bezpiecznie na nich stanąć, więc wspiął się na zbocze i przeszedł dwadzieścia czy trzydzieści metrów po wysokiej trawie, dochodząc do największego otoczaka, jaki kiedykolwiek widział. Miał co najmniej cztery, cztery i pół metra wysokości, jakieś sześć metrów długości, był pozostałością po cofających się lodowcach z końca ostatniej ery lodowcowej. Obszedł skałę dookoła, przyglądając się jej z podziwem, i zaczął szukać zejścia na skały w dół zbocza.

Przeszedł między zaroślami, badając stopą grunt, i zaczął schodzić w dół.

Jego wzrok przyciągnęło coś w wodzie, niedaleko, nie więcej jak dziesięć metrów od niego. Przyjrzał się lepiej, ale nic nie zobaczył. Spróbował uświadomić sobie, co zauważył — ruch, zmianę kształtu lustra wody, jakby pod samą powierzchnią płynęło coś dużego. Wpatrywał się dalej w nadziei, że ujrzy płetwę grzbietową delfina albo migotliwe drgania wody wywołane przez ławicę pożywiających się ryb.

Nic. Poszedł powoli dalej, uważnie stawiając stopy między mokrymi kamieniami.

Za sobą usłyszał dźwięk, plusk, ale dziwny, chlupoczący, jakby jakieś zwierzę wynurzyło się z wody i znów zanurzyło. Odwrócił się i spojrzął, i tym razem coś spostrzegł — rozchodzące się po wodzie kręgi, wybiegające z miejsca tuż przy brzegu. Na powierzchni wody widniało niewyraźne wybrzuszenie, ale gdy na nie patrzył, zniknęło.

Zastanowił się, czy w okolicy są jakieś żółwie. Albo foki. Cokolwiek tam było, chciał to zobaczyć.

Ale znów nic nie widział. Przeszedł kilka kolejnych metrów i rozejrzał się, by zorientować się w terenie, który miał przed sobą. Skały po tej stronie wyspy zdawały się mniejsze, przypominały bezładne rumowisko. Były na nich boje od pułapek, duże kawały plastiku i...

Co to jest? Dziesięć czy piętnaście metrów dalej coś uwięzło między skałami, na pół zanurzone w wodzie, na pół z niej wystawało. Jakieś zwierzę. Martwe zwierzę.

Podszedł bliżej i zobaczył, że to jeleń, czy raczej resztki jelenia, bo zwierzę było rozszarpane na strzępy. Nie czuło się mdlącego smrodu zgnilizny, wokół nie roiły się jeszcze muchy, co powiedziało chłopcu, że jeleń jest martwy od niedawna. To świeża ofiara. Nie miał pojęcia, co mogło zabić tak wielkie zwierzę. Myśliwi? Poszukał na ciele ran postrzałowych, ale nie znalazł ich.

Miał się już odwrócić, gdy w głowie jelenia spostrzegł coś dziwnego. Zrobił krok, nachylił się, wyciągnął rękę. Poślizgnęła mu się stopa. Wyrzucił w bok ramiona i usiłował się wyprostować, by złapać równowagę, ale przechylił się za bardzo i znów wpadł do wody.

Nie była głęboka, miała zaledwie metr. Wstał.

Nagle wyczuł coś za sobą — ruch, zmianę ciśnienia, jakby wprost na niego sunęła wielka masa wody. Odwrócił się i ujrzał znów to samo niewyraźne wybrzuszenie na powierzchni. Tym razem przesuwało się w jego stronę.

Uderzył dłońmi w wodę, próbując je odstraszyć, ale wciąż się zbliżało.

Ogarnęła go fala paniki. Odwrócił się w stronę brzegu i zaczął płynąć. Metr, dwa metry, wreszcie zaczął gramolić się na czworakach na zbocze, wyrzucając za siebie kamienie i żwir. Odepchnął się nogami i wyciągnął rękę, by się czegoś przytrzymać. Natrafił dłonią na głowę jelenia, chwycił się jej. Coś ostrego wbiło mu się głęboko w dłoń, przecinając skórę, ale nie puścił, podciągając się.

Dotarł do suchych skał, stanął na nogi i zaczął biec. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł na szczyt zbocza. Łapiąc oddech, spojrzął w dół na wodę. Wybrzuszenie zniknęło, kręgi ginęły na gładkiej powierzchni.

Max pobiegł w stronę domu, drżąc z zimna i strachu. Przebył połowę drogi, zanim uczył klucie w dłoni. Spojrzął na rękę i zobaczył, że to, co go zraniło, tkwi poniżej kciuka.

Chase podniósł wzrok znad biurka i zobaczył, że w drzwiach stoi przemoczony Max. Na podłodze wokół jego mokrych tramppek tworzyła się kałuża wody. Chłopiec dygotał. Jego twarz miała siny kolor, a usta były niemal niebieskie. Wyglądał na przerażonego.

— Max! — Chase wyskoczył zza biurka, wywracając krzesło na ścianę, i przebiegł przez pokój.
— Nic ci nie jest?

Chłopiec pokręcił głową.

Chase przyklęknął i zaczął rozwiązywać synowi trampki.

— Co się stało? Spadłeś ze skał?

— Jeleń — wydusił z siebie Max.

— Jeleń? Jaki jeleń?

Chłopiec próbował coś powiedzieć, ale słowa zdławił skurcz, jaki przebiegł mu przez klatkę piersiową i ramiona. Zaszczekał zębami.

— Hej — powiedział Chase. — Wszystko w porządku. — Zdjął synowi trampki, skarpetki, dżinsy i bieliznę, zwinął je w kłęb i wyrzucił przez drzwi na trawnik. Z szafy w hallu wyjął dwa ręczniki, wytarł jednym chłopca, owinął w drugi. Potem zaprowadził go na sofę w biurze i tam go posadził.

— Przyplływają tu jelenie — poinformował. — Zwykle z Block Island, ale czasami z samego miasteczka. Nie wiem, po co się fatygują, nie ma tu dla nich nic, czego by nie znalazły gdzie indziej. Bardzo się naprzykrzają, zjadają wszystko, co Pani Bixler posadzi i przynoszą mnóstwo kleszczy. Mają...

Chase zamilkł, gdy ujrzał, jak chłopiec kręci głową.

— Co?

— Był martwy — zaszczekał zębami.

— Co? W wodzie? Utonął. Tak, one...

— Coś go zabiło... Próbowano pożreć... Zjadło go, większą część. — Max mówił z przerwami, gdyż nadal drżał. — Byłem na skałach w miejscu... blisko tego wielkiego otoczaka, o którym Pani Bixler mówiła, że jej rodzina nazywała go zawsze Dziadkiem Skałą... Zobaczyłem w wodzie coś tkwiącego między skałami... Zobaczyłem jego głowę i część tułowia... Podszedłem bliżej...

Zobaczyłem, że nic z niego nie zostało odtąd — Max dotknął swojej klatki piersiowej. — Pomyślałem, że może dorwały go lufary. Tak jak tego ptaka.

— To możliwe, jeśli krwawił. Jeden z nich mógł go ugryźć, a wtedy reszta zobaczyła jakie to łatwe, wpadły w szal i...

— Nie. — Chłopiec znów potrząsnął głową. — Pomyślałem, że może to rekin, ale kiedy podszedłem bardzo blisko, zobaczyłem... że jeleń nie ma oczu. Wszystko dookoła oczu było doszczętnie wyżarte. Rekin by tego nie zrobił... Nie mógłby.

— Nie. Więc wcześniej miałeś rację. To pewnie lufary.

Syn nie zwrócił na niego uwagi.

— Zobaczyłem, że coś wystaje mu z boku pyska... Coś błyszczącego... Próbowiałem dosięgnąć, ale nie mogłem, więc zrobiłem krok i poślizgnąłem się... Wpadłem do wody.

— Co to było?

Max otworzył prawą pięść. Rana w dłoni była mała i płytka, przestała już krwawić. Podał ojcu błyszczący przedmiot.

— Wygląda jak ząb rekina — powiedział Chase, biorąc go do ręki.

— Ja też tak pomyślałem.

Lecz kiedy Chase podszedł do lampy stojącej na biurku i przyjrzał się trzymanemu w świetle przedmiotowi, drgnął i poczuł, że serce bije mu szybciej.

Rzeczywiście, wyglądało to jak ząb rekina, ząb żarłacza białego, być może skamieniały, bo przybrał szary kolor. Był trójkątny, miał około centymetra długości, z dwóch stron były drobno ząbkowane krawędzie. Kiedy przejechał po nich palcem, przecięły mu skórę łatwo jak skalpel. Trzecia krawędź była nieco grubsza i miała płaską podstawę. Na obu końcach podstawy znajdowały się dwa małe haczyki z wąsem, zwrócone ku sobie. Jeden z nich był ułamany tuż powyżej wąsa.

Chase wyjął z biurka linijkę i zmierzył trójkątny przedmiot. Miał pięć ósmych cala długości — dokładnie pięć ósmych. Był znakomicie wyprodukowanym, absolutnie dokładnym trójkątem równobocznym.

Chase potarł go kciukiem i palcem wskazującym. Szary nalot w dotyku przypominał muł. Kiedy

go pocierał, nalot przeniósł mu się na skórę palców.

Chwilę później ząb, czy cokolwiek innego to było, świecił jak szlifowana stal.

Chase spojrzał na Maxa.

— Czy to jakiś dowcip? — spytał. — Powiedz, że się ze mnie nabijasz.

— Dowcip? — Max zadrżał i wskazał guzy i siniaki na ramionach i nogach, ranę na dłoni. — Też mi dowcip.

— No więc... jakie zwierzę ma zęby z nierdzewnej stali?

13

Gdy Buck i Brian Bellamy wypłynęli z doku, była druga piętnaście, prawie dwie godziny później, niż Buck chciał wyruszyć, więc chłopak był wściekły. Kazał bratu napełnić dwie butle do nurkowania, ale jego brat był tak zajęty, pomagając swojej dziewczynie przygotować kostium na procesję organizowaną w Waterboro z okazji uroczystości poświęcenia łodzi, że nie mógł się zebrać, by to zrobić. Kazał Brianowi dopilnować, żeby bak łodzi był pełen, ale ten zapomniał, więc musieli czekać w czterdziestominutowej kolejce w doku stacji benzynowej, podczas gdy jakiś bogaty sukinsyn pakował benzynę za dwa tysiące dolarów do swojego Hatterasa, który był tak wielki, że zatarasował wszystkie stanowiska.

Ale Buck gryzł się w język. Objechanie brata nic by nie dało. Był nieczuły na nagany. Po okresie spędzonym w wojsku, całych dwóch latach w Teksasie, blisko granicy z Meksykiem, z tanią trawką, tequilą i Bóg jeden wie czym jeszcze, był ogólnie dosyć znieczulony na życie. Nic do niego nie trafiało, nigdy mu na niczym nie zależało. Ostatnim razem gdy Buck wydarł się na niego za to, że zapomniał wziąć przynęty, kiedy wybrali się na ryby, Brian powiedział tylko: „E tam, olej to”, wyskoczył za burtę i zaczął pływać. Byli już dwadzieścia kilometrów od brzegu.

Ale Buckowi nie było wszystko jedno. Był cholernie podniecony, bo mógł to być najwspanialszy dzień jego życia. A więc zamiast powiedzieć bratu coś złośliwego, poprosił go tylko grzecznie, żeby usiadł na poduszce skrzyni na śródkręciu, by łódka się nie chybotąca, i zapuścił silnik. W zatoce roilo się od żaglówek jak od much, między nimi przepychały się małe szalupy pełne ludzi, którzy przyjechali z południowo—wschodniego Maine i z wybrzeża Jersey, żeby obejrzyć poświęcenie łódek. Ale Buck miał to wszystko w nosie. Jeśli jest gdzieś w pobliżu gliniarz ze Straży Morskiej, to niech spróbuje ich złapać. Na wodzie niewiele było łodzi, które dopędziłyby Zippo. Buck kupił standardowy korpus Mako i fajnie go sobie przerobił, a potem zamontował silnik turbo o mocy czterystu pięćdziesięciu koni, który sprawiał, że łódź zrywała się i szła jak burza.

Wypłynął z Waterboro Point z prędkością jakichś trzydziestu węzłów, przyhamował, żeby nie uszkodzić sobie cennego kadłuba przy przecinaniu kilwatrów większych łodzi wpływających i wypływających z kanału Watch Hill, potem znów dał kopa turbo, kierując się w stronę Napatree. Wskazówka szybkościomierza drżała w okolicach 60 węzłów.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dziś z testowaniem, a jutro ze spotkaniem, w połowie tygodnia będzie mógł dodać ładnych kilka zer do swoich widoków na przyszłość i powiedzieć facetom z firmy Waterboro Lumber, żeby znaleźli sobie innego frajera do rozprowadzania dykty i farby wśród zarozumiałych klientów. Jeśli Brian zechce przyłączyć się do niego w zbijaniu fortuny, to mu na to pozwoli. Wszystkie korporacje mają na liście płac braci—przygłupów. Chociaż, gdyby miał się zakładać o pieniądze, to dałby głowę, że Brian wolałby zostać tutaj, zbierając napiwki na stacji benzynowej.

Łódź sunęła bez kłopotu, więc Buck utrzymał prędkość, opływając Napatree i kierując się na południowy wschód, w kierunku przerwy między wyspami Block i Osprey.

— Gdzie jedziemy? — spytał Brian, przekrzykując warkot silnika.

— Do Helen J.

— Daleko.

— Masz lepszy pomysł?

— Nie — odpowiedział pochylając się nad lodówką. — Chyba strzelę sobie piwko z pianką.

— Później. Mamy do zrobienia ważną rzecz.

— Do diabła, Bucky... — Brian usiadł z powrotem.

Miał rację, wrak starego szkunera Helen J był dosyć daleko, ale był to jedyny przyzwoity wrak w okolicy, nadający się do sfilmowania. Znajdował się płytko pod powierzchnią, więc światło będzie dobre, był w miarę nietknięty, więc niezłe się prezentował. Buckowi potrzebna była ładna sceneria do filmu demonstracyjnego, jaki miał zamiar nakręcić i pokazać bossom z Oregonu. Pewnie, mógł przeprowadzić testy w jakimś basenie, ale nie wyszłyby najlepiej, na pewno nie dość dobrze, by zrobić wrażenie na specach z grubymi portfelami. Prezentacja musiała być bez zarzutu, włączając w to najmniejsze szczegóły, bo Buck Bellamy był pedantem.

— Zobacz — powiedział Brian, wskazując coś za prawą burtą. Buck popatrzył i ujrzał dużą żółtą boję z jakimiś literami.

— I co? Boja.

— Nigdy takiej nie widziałem. Ciekawe, co jest pod spodem.

— Nie mamy czasu sprawdzać. Straciliśmy kupę czasu.

— Może to łódź — zastanawiał się Brian. — Tydzień temu była burza, może ktoś stracił łódź i zostawił boję, żeby ją odnaleźć. Mógłbyś zrobić świetne zdjęcia.

— Marne szanse — odparł Buck. Jednak przepływając obok boi, pomyślał: A może zobaczyć? Poświęcę pięć minut, a jeśli to łódź, niedawno zatopiona łódź, to tych pięć minut zaoszczędzi mi dwie godziny. Pociągnął dźwignię i zawrócił łódkę małym łukiem.

— Dobry pomysł — powiedział. — Myślisz, Brian.

Brat uśmiechnął się.

— Potrafię myśleć, jak się do tego przyłożę. — Przechylił się przez dziób, chwycił boję i wciągnął ją na pokład, wyęzając siły pod ciężarem splątanego kabla.

— Kabel energetyczny — stwierdził Buck.

— Co to znaczy „O.I.”?

— Nieważne. Na dole coś jest. Załóż butlę i zobacz co, a ja tymczasem przygotuję sprzęt.

— Dobra, zobaczę.

— Ale tylko zobacz, Brian. Na dół, do góry i koniec. Nie chcę, żebyś zużył całą butlę, zabawiając się jakąś pułapką na homary.

Brat skinął głową.

— Nurkowanie na sprężynie. Uwielbiam to.

— I jesteś w tym dobry — orzekł Buck. Może komplementy coś osiągną, jeśli wyrzuty nie skutkowały.

— Też prawda. — Założył uprząż od butli na koszulkę i zapiął pasek, u którego zawsze miał uczepionych pięć kilogramów obciążenia w ołowianych ciężarkach. Wziął pochwę z nożem i zaczął przypinać ją przy łydce.

— Myślisz, że zje cię jakiś potwór? — zapytał z uśmiechem Buck.

— Nigdy nic nie wiadomo, Bucky, taka jest prawda. — Brian naciągnął płetwy, splunął na maskę i opłukał ją za burtą. Usiadł na burcie łódki, naciągnął maskę na twarz, założył ustnik i przekoziółkował tyłem do wody.

Buck przyglądał się, jak brat czyści maskę i zaczyna schodzić w dół, w szarzielony mrok, w otoczeniu pęcherzyków powietrza. Następnie otworzył wyściełaną skrzynkę ustawioną przy pulpicie

sterowniczym.

W skrzyni, w styropianowych opakowaniach, znajdowały się dwie pełne maski do nurkowania. Wyglądały jak połówki hełmu od kombinezonu kosmonautycznego. Zawierały automat do regulacji dopływu powietrza, mikrofon i słuchawkę. Z tyłu masek umieszczone było małe pudełko wielkości paczki papierosów, pokryte gumą i zabezpieczone paskami. To pudełko stanowiło o jego przyszłości.

Buck wynalazł bowiem niedrogi, autonomiczny, niewielkich rozmiarów system podwodnego porozumiewania się. Jego urządzenie nie było pierwszym umożliwiającym nurkom prowadzenie rozmów pod wodą, nie miał nawet takich złudzeń. Ale wszystkie istniejące systemy miały dwie główne wady: rozmowy musiały być przekazywane przez urządzenie odbiorczo—nadawcze na łódce lub platformie umieszczonej na powierzchni, a sam sprzęt kosztował kilka tysięcy dolarów, co ograniczało jego użycie do kręgów profesjonalistów: rybaków i naukowców. Za pomocą systemu Bucka mogło ze sobą rozmawiać bezpośrednio, jak podczas telekonferencji, dwóch czy trzech, lub pięciu, albo i dziesięciu nurków, a urządzenia można było produkować za mniej niż dwieście dolarów od sztuki. Przeciętny nurek—sportowiec wydaje na sprzęt dużo ponad tysiąc dolarów, więc kilkaset dolarów więcej, zwłaszcza za coś egzotycznego, wspaniałego i prawdopodobnie mogącego ocalić życie, to istne grosze.

Powtarzał liczby tyle razy, że wryły mu się w pamięć. Podobno w samych Stanach jest około czterech milionów nurków. Gdyby jego system produkowano masowo, koszt jednostkowy mógłby zmniejszyć się o połowę. Do tego dochodzi jeszcze pięćdziesiąt dolarów na dystrybucję i reklamę. Gdyby współpracował z jakąś operatywną firmą, liczącą sobie podwójną cenę za każdą sztukę, gdyby sprzedali jego urządzenie jednej czwartej nurków w Stanach i gdyby pobierał brutto dziesięcioprocentowe honorarium, miałby przed sobą trzydzieści milionów dolarów.

I wszystko dzięki przypadkowemu odkryciu... Nie, nieprawda, nie wierzył już w przypadek po dziesięciu latach dłubania w sprzęcie audio i wideo w garażu ojca. W każdym razie, wszystko dzięki odkryciu nowej kombinacji przewodów, tranzystorów i przekaźników.

Pozostał mu tylko do zrobienia porządny trzyminutowy film wideo dla facetów, którzy mieli przylecieć z Oregonu. Film o wysokiej jakości krystalicznie czystego dźwięku, demonstrujący jak on i Brian rozmawiają przez dwadzieścia czy trzydzieści metrów wodnej przestrzeni. A gdyby faceci wciąż nie byli przekonani, wtedy przywiózłby ich tutaj i kazał im samym spróbować. To był kolejny wielki plus: jego system był tak prosty, że używać go mógł każdy. Nawet jego brat.

— Bucky! — Brian wyprysnął spod powierzchni i złapał się niskiego nadburcia na rufie łodzi. — Tam na dole jest trumna!

Słowa brata dotarły do niego dopiero po dłuższej chwili.

— Bzdury, Brian... Daj spokój...

— Przysięgam! Albo trumna, albo skrzynia ze skarbami. Musisz zejść i ją zobaczyć.

— Brian... Nurkowaliśmy tutaj tysiące razy. Są tu kutry rybackie, wraki samochodów, barka holownicza, kilka pustych baryłek i Helen J. Nie ma żadnej cholernej trumny! Nie ma żadnej skrzyni ze skarbami. Poza tym, nie rozpoznałbyś skrzyni ze skarbami, nawet gdybym ci ją podetknął...

— Teraz jest, Bucky. I to duża... Wygląda, jakby była zrobiona z brązu.

Brian był wolny w myśleniu, ale nie miał zbyt wielkiej wyobraźni, nie zmyślał. Jeśli na dole jest duża skrzynia i ma coś w środku...

— Ciekawe... — zamyślił się Buck. — Ta burza...

— Tak właśnie myślałem. Pewnie ją odsłoniła.

Pochylił się i pomógł bratu wejść na pokład.

— Zejdziemy po nią — zdecydował.

Zmontował maski, podłączył Brianowi jego kable i przypomniał mu, jak trzeba oczyścić szybkę. Potem wsunął kamerę wideo do statywu, doczepił podpórkę na dwie dwustupięćdziesięciowatowe lampy i podłączył kabel ze statywu do własnej maski. Włączył taśmę na kilka sekund, filmując brata w łodzi, potem obejrzał fragment w podglądzie by upewnić się, że wszystko działa. Obraz był ostry, dźwięk idealny.

Usiedli po dwóch stronach łodzi i na znak klapnęli za burtę.

Buck zszedł pierwszy, uderzając z całej siły nogami i prowadząc wolną ręką po kablu. Woda była mroczna i w pewnym momencie znalazł się zawieszony w zielonej mgłę, nie widząc ani powierzchni, ani dna. Złapał za kabel i zatrzymał się.

— Sprawdziłeś głębokość? — słowa Bucka odbiły się głuchym echem w jego własnej masce.

— Nie schodziłem na sam dół — odparł Brian, który był kilka metrów wyżej. — Podpłynąłem tylko tyle, żeby się dobrze przyjrzeć.

Słyszał każde słowo tak wyraźnie, jakby stał obok brata na powierzchni.

Dźwięk w tym urządzeniu jest po prostu fantastyczny — orzekł.

— Jesteś teraz na piętnastu — oznajmił Brian. — Opuść się jeszcze trzy, pięć metrów.

Buck wypuścił powietrze i rzucił się w dół, bijąc nogami, pchając przed sobą kamerę wideo.

To, co zobaczył, wyglądało najpierw jak żółtozielona plama w zielonkawych ciemnościach, ale kiedy podpłynął bliżej, przybrało kształt idealnego prostopadłościanu o długości co najmniej dwóch i pół, może trzech metrów szerokości i wysokości około metra. Gdy Buck znalazł się trzy metry nad nim, odnalazł go w wizjerze kamery, włączył światła i wolno zatoczył wokół niego koło, cały czas filmując.

Usłyszał, że brat mówi:

— To musi być coś niezłego, jeśli się fatygowali, żeby zostawić boję.

— Nie tyle zostawili boję, co zaczepili o to. Zobacz, jakiś czujnik zaplątał się pod spód, pomiędzy to coś i skałę. — Buck podpłynął bliżej. — Chyba nie wiedzą nawet, co znaleźli.

— Więc to może być naprawdę niezłe.

— Może... Albo wcale nie... Tylko kupa brązu, którą ktoś wywalił za burtę.

— Po co miałyby to robić? Można sprzedać brąz za niezłą sumę.

— Bo ludzie to dupki. W każdym razie, nie dowiemy się, zanim jej nie otworzymy.

— Chcesz ją otworzyć?

— Pomyśl o taśmie, Brian. Nawet, jeśli ci faceci z Oregonu wystawią nas do wiatru, pomyśl o taśmie, którą będziemy mieć. Pierwsi faceci, którzy otworzyli dawno zagubioną skrzynię z brązu. Mówię ci, możemy to sprzedać do Eyewitness News za... nie wiadomo ile.

— A co, jeśli jest w niej ciało. To by nie było...

— Nie ma żadnego ciała, chyba że samego King Konga. Popatrz na rozmiary tego cholerstwa. Musiało spaść ze statku i pewnie jest to coś cennego, jeśli robili sobie kłopot, żeby zapakować to w brąz. — Wyłączył kamerę i podryfował na piaszczyste dno. Złapał równowagę, nastawił lampy i auto fokus. — Dobra, podpłyn do niej i siądź na wierzchu, żebyś mógł cię sfilmować i pokazać, jaka jest wielka.

— No, nie wiem... — zawahał się Brian, ruszając wolno nogami, by utrzymać pozycję na wysokości dwóch czy trzech metrów nad skrzynią.

— No już... Nie chcesz być sławny?

14

W skrzyni ciśnienie cieczy było stałe, ale w polu elektromagnetycznym gdzieś blisko nastąpiła zmiana. Wyczuło ją. Niedaleko była istota żywa, istota o znacznych rozmiarach i masie.

A później dźwięk — choć nie rozpoznało dźwięku jako takiego, tylko jako minimalne napięcie błony bębenkowej po obu stronach głowy.

Potem dźwięk zanikł.

Było potwornie wygłodniałe. Kiedy wszystkie substancje odżywcze, pochodzące z posiłku spożytego w obcym i groźnym otoczeniu na górze, zostały zużyte, opuściło swoją skrzynię i zapolowało.

Okazało się, że w pobliżu nie ma jedzenia. Wynurzyło się i chciało się pożywić tymi niezliczonymi drobnymi zwierzętami, do których przywykło, ale nie znalazło ich. Zdezorientowane, pływało w górę i w dół, poszukując życia, jakiegokolwiek życia, które podtrzymałoby jego istnienie.

Widziało istoty żywe, ale były zbyt szybkie, zbyt ostrożne i łatwo mu się wymykały. Zraniło jedną czy dwie, ale nie potrafiło ich schwytać.

Coraz bardziej rozpaczliwie płynęło przed siebie, na oślep, pchane sygnałami, które odczuwało jako nakaz. Znalazło jedzenie — trochę, niedużo, ledwie tyle, by utrzymać się przy życiu. Była i mała istota, która nagle pojawiła się nad nim, rzucając się w panice, więc złapało ją, zabrało na dół i pożarło.

Była także większa istota, prawie tak duża jak ono samo, też powyżej, na obcym sobie terenie. Schwyciło ją od spodu, ściągnęło w dół i próbowało zjeść. Ale była zbyt wielka, by mogło zjeść ją od razu, a nie zjedzona część odpłynęła z prądem. Podążało za ciałem, dopóki fala nie zabrała go z wody, spoza jego zasięgu.

Potem kolejna żywa istota, powolna i niezgrabna, wpadła do wody, była prawie osiągalna, ale uciekła.

Program mówił mu, że musi wkrótce zapolować i to skutecznie, inaczej na pewno przestanie istnieć.

Wiedziało, że niedaleko pojawiła się teraz żywa istota.

Pożre ją.

15

— Usiądź na skrzyni okrakiem — zażądał Buck — jak na koniu.

— Nie mogę, jest za szeroka.

— To usiądź bokiem. Pozuj. Udawaj, że jesteś w Playgirl.

Ostrożnie, niezgrabnie, Brian przerzucił nogi przez brzeg skrzyni.

By złapać równowagę w pchającym go prądzie morskim, chwycił się jedną ręką ciężkiego czarnego kabla, prowadzącego na powierzchnię. Jest wystraszony, pomyślał, obserwując brata przez wizjer kamery. Za chwilę czmychnie na łódkę. By odwrócić jego uwagę spytał:

— Jak twoje powietrze?

Sięgnął po wskaźnik, podniósł go do maski.

— Tysiąc pięćset. Jak długo jesteśmy na dole?

— Nieważne, mamy jeszcze dziesięć, piętnaście minut.

Brian schylił się nad krawędzią skrzyni i przejechał ręką wzdłuż skraju pokrywy.

— Jak ją chcesz otworzyć? — zapytał. — Nie wygląda na to, że ma gdzieś uchwyt.

— Jeśli będziemy musieli, popłyniemy na górę po drążek i podważymy wieko.

— A co, jeśli w środku jest coś żywego, jakiś okaz?

Buck roześmiał się.

— Ta skrzynia może tu być od lat. Co do cholery miałoby w niej żyć? — Skończył filmować, wyłączył kamerę i zostawił ją zwisającą na rzemyku u nadgarstka. — Zobaczmy teraz, czy uda nam się dostać do środka.

Brian ześlizgnął się ze skrzyni. Kiedy stawał na dnie, jego płetwy wzburzyły drobny piasek, wzbijając do góry chmurę mułu. Zauważył, że coś podnosi się w kłębach szlamu, a potem znów osiada kilka metrów dalej.

— Co to? — zapytał.

— Coś zobaczyłeś? — spytał Buck podpływając powoli.

Brian opadł na kolana i przejechał palcami po powierzchni piasku, aż dotknął czegoś twardego. Podniósł przedmiot i przyjrzał się mu.

— Kość — orzekł.

— Jaka kość?

Uniósł ją na wysokość oczu. Miała jakieś dziesięć centymetrów długości, była zakrzywiona.

— Wygląda jak żebro. Nie wiem czyje.

— Sądząc po rozmiarach, powiedziałbym, że psa.

— Co robi na dnie kość psa?

— Poddaję się, nie wiem — stwierdził Buck. — Zobacz, czy jest ich więcej.

Uklęknął obok i razem zaczęli kopać.

Wyczuło ciche dźwięki dochodzące z pobliskiej łachy piasku. Zdobył.

Poszukało przycisku wieka. Nacisnęło go. Pokrywa zaczęła się powoli unosić.

— Spójrz na to — powiedział Buck. — Kość szczękowa. To na pewno pies. Coś go zjadło. — Uniósł szczękę i wskazał podłużne nacięcia na kości. — Ślady zębów.

Dostrzegł coś ciemnego w popielatym mule i wyciągnął rękę. Było okrągłe, czarniawe, twarde, mniej więcej wielkości śliwki. Przeciągnął palcem po powierzchni, wpierw w jedną stronę, potem w drugą.

— Niech mnie szlag, Brian... To kulka futra, taka jak wypluwka sowy.

Podniósł się na nogi i zrobił krok w tył. Podniósł kamerę i włączył ją.

— Pstryknę dwa razy i znikamy — zdecydował. — Przytrzymaj parę kości i tę kulkę futra. Jak chcesz, to możesz wrócić do łodzi, a ja otworzę skrzynię.

Wypluło ze skrzyni i osiadło na piasku. Ponieważ jego ciało nie miało przestrzeni powietrznych, nie było w wodzie nieważkie, miało ujemną pływalność i tonęło. Ale ponieważ jego skład chemiczny, jak w wypadku całego gatunku, zawierał ponad 90 procent wody, miało tylko kilka kilogramów ujemnej pływalności. Mogło unosić się prawie bez wysiłku, a dzięki błonie pławnej pomiędzy wystającymi częściami ciała potrafiło pływać bardzo szybko, właściwie lecieć przez wodę.

Teraz oderwało się od dna i zbliżyło do krawędzi skrzyni.

Buck ustawił idealną scenę. Kadr wypełniał klęczący brat, trzymający dwie kości w jednej ręce i kulkę futra w drugiej. Całość ładnie kontrastowała z białym piaskiem. Wcisnął guzik nagrywania.

— Dobra robota, Brian — powiedział. — Uśmiechnij się teraz, jakbyś sprzedawał coś w reklamie telewizyjnej. — Ujrzał jak brat próbuje się uśmiechnąć, spogląda w obiektyw kamery.

Nagle rozszerzyły mu się oczy. Upuścił wszystko i coś krzyknął.

— Brian! — powiedział Buck. — Do cholery!

Były dwie istoty, nie jedna. Duże, powolne i bardzo niedalekie.

Odepchnęło się od dna i rzuciło w przód, bijąc wodę tylnymi płetwami jak morświn. Przebyło niewielki dystans w niecałą sekundę.

Z któregoś miejsca w jego otępiałym mózgu dotarło jakieś wspomnienie na temat tych istot, rozpoznanie, a wraz ze wspomnieniem nadeszło poczucie celu. Jego misja to zabić je.

Choć było głodne, zaspokoiłoby głód zjadając tylko jedną. Było jednak zaprogramowane, by zabić obie.

Schwyciło pierwszą z nich i zagłębiło szpony w miękkim ciele.

Brian przetoczył się w tył po piasku i w szoku patrzył, jak chmura krwi — na tej głębokości ciemnozielona — wybucha z arterii grzbietowej brata. Nogi Bucka zatrzepotały, wyrzucając w górę chmurę szlamu, ręce uniosły się.

Nie mógł dostrzec, co dopadło brata, ale było to duże, białawe i przypląnęło gdzieś zza skrzyni z brązu.

Widział w mroku, jak srebrne błyskawice rozdzierają raz po raz gardło Bucka, aż jego głowa trzyma się tylko na kościach i ścięgnach.

Zaczął uciekać w tył, ale zdał sobie sprawę, że bezpieczeństwo kryje się nie w ucieczce w poziomie, lecz w pionie. Odepchnął się od dna i powiosłował do góry, w panice szukając ręką czarnego, izolowanego przewodu, prowadzącego do boi na powierzchni. Znalazł go i zaczął podciągać się w górę.

Ale kabel wygiął się pod naporem fali, a ciężar Briana tylko ściągał luźny przewód. Zamiast podciągać się do góry, zbierał w dół kabel. Zaczepiony pod skrzynią czujnik, uwolniony teraz od napięcia z góry, wysunął się i odbijał po piasku. Łódź na powierzchni dryfowała luzem, ciągnąc za sobą czujnik i Briana.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak ciało Bucka opada na piasek, wciąż krwawiąc.

Wówczas stworzenie obróciło się w jego stronę.

Miało oczy białe jak kreda, bezbarwne.

Odepchnęło się od piasku jak rakietka. Zdawało się, że leci wprost na niego.

Nadal wiosłując nogami, wciąż ciągnąc kabel jedną ręką, sięgnął po nóż przywiązany paskiem do łydki. Palce manipulowały przy gumowej opasce, utrzymującej nóż w pochwie. Rozciągnęła się, z powrotem zatrzasnęła, znów rozciągnęła i odpadła. Brian wyszarpnął nóż z pochwy.

Stworzenie nadal wznosiło się w górę, wiosłując jak delfin, nie wydając żadnego dźwięku, nie wypuszczając baniek powietrza. Do Briana wyciągnęły się szpony, dziesięć pazurów, każdy zakrzywiony jak mała kosa.

Zerknął w górę. Powierzchnia była niedaleko, widział słońce. Jasne promienie pionowo przecinały zieloną wodę.

Potem spojrzał na dół. Stworzenie już go dopadło. Paszcza otworzyła się, a błysk światła słonecznego roziskrzył kilka rzędów trójkątnych zębów, które zalśniły jak srebrne gwiazdki.

— Nie! — krzyknął do wnętrza maski. Ale nikt go nie słyszał.

Szpony zagłębiły się w jego kostce i ściągały go w dół.

Podniósł nóż i machnął nim na ślepo. Coś złapało go za nadgarstek, stalowe drzazgi przecięły mu żyły i ścięgna. Nóż wypadł mu z dłoni.

Wypuścił kabel i uderzył drugą ręką, ale i ta została schwytana. Jego ramiona zostały rozłożone szeroko, głowa wyrzucona w tył.

Próbował krzyczeć, ale kiedy otworzył usta, coś uderzyło w maskę, ogłuszając go.

Wtedy poczuł na swoim gardle zęby.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była chmura własnej krwi kłębiąca się w żółtych promieniach słońca — pomarańczowa mgła.

Wyczuło, że istota nie żyje. Przytrzymując ofiarę w szponach i zębach, popłynęło po spirali w dół w powolnym balecie śmierci.

Kiedy dotknęło dna, zaniosiło ofiarę do miejsca, gdzie na piasku leżała druga zdobycz, turlając się w prądzie morskim. A potem zaczęło się pożywiać.

Mała łódka na powierzchni została pochwycona przez nadciągający przyływ. Przesuwała się szybko, kręcąc leniwe, bezcelowe kółka, ciągnięta przez ciężki izolowany przewód, zwisający z dzioba. Na krótko osiadła na płytkiej rafie, ale fala wytworzona przez przepływający w oddali statek podniosła ją łagodnie, przeniosła nad rafą i posłała w kierunku wybrzeża.

Chase skierował dziób Whalera w stronę wolnej pochylni w jednym z doków pływających, naprzeciwko małego klubu jachtowego na zachodnim krańcu miasta. Nie należał do klubu, nie grał w tenisa, nie ścigał się żaglówkami, ani nie nosił pastelowych spodni ozdobionych kaczkami, ale od kilkudziesięciu lat znał większość członków i lubił wielu z nich, a oni nigdy nie wymawiali mu, że korzysta z jednej z zazdrośnie strzeżonych pochylni.

Lustro wody było spokojne o tak wczesnej porze, jakby wiatr nadal nie zdecydował, w którą stronę ma tego dnia wiać. Ptactwo morskie nie zaczęło się jeszcze pożywiać, więc ławice narybku wywoływały zaledwie słabiutkie fale, przemykając bez celu pomiędzy zakotwiczonymi jachtami.

Chase ustawił dźwignię zmiany biegów w neutralnej pozycji i przekręcił kluczyk, wyłączając silnik. Łódź wślizgnęła się cicho na pochylnię. Popatrzył na syna stojącego na dziobie, gotowego do odepchnięcia ściany doku i powiedział sobie: trzymaj język za zębami, nie ostrzegaj go znowu, żeby uważał, by nie zgmiotło mu palców między łodzią a ścianą doku, nie powtarzaj mu znów, by nie stracił równowagi i nie spadł za burtę.

Max zgiął kolana, zebrał się w sobie i idealnie odepchnął od ściany. Wskoczył do doku z faleniem w rękę i zacumował jak prawdziwy ekspert.

Simon nic nie powiedział, kiedy jego syn zamocował cumę rufową, nie pogratulował mu, ani nawet nie skinął głową, doceniając dobrze wykonaną robotę. Ale pogratulował samemu sobie, widząc mały, dumny uśmiešek na ustach chłopca, bowiem zrozumiał, że uczy się czegoś tak trudnego, jak bycie ojcem.

Podał synowi jego plecak, wspiął się na dok i poszli razem w kierunku parkingu.

Samotna mewa piszczała w oddali, gdzieś w miasteczku zaszczekał pies. Poza tym, najgłośniejszym dźwiękiem, jaki słyszeli, było delikatne szuranie ich własnych stóp po zroszonej trawie.

Potem dobiegło ich niesione ponad szczytami drzew, stłumione bicie kościelnych dzwonów, które zadźwięczały sześć razy.

— Szósta — odezwał się Max, rozglądając się jakby ze zdziwieniem. — Nigdy dotąd nie byłem na nogach o szóstej rano. Nigdy. To znaczy, jeśli pamiętam.

— O tej porze dnia wszystko jest świeże i czyste — powiedział Chase. — To pora wiary w kolejną szansę.

— Powinienem przyjść tu z tobą wcześniej. — Chłopiec chciał powiedzieć coś więcej, zawahał się, wreszcie wziął głęboki wdech i zapytał: — Martwisz się o pieniądze, prawda? Że możesz stracić wyspę?

— Nie, o szóstej rano się nie martwię. — Uśmiechnął się. — Nie można martwić się o pieniądze o szóstej rano.

Dotarli do parkingu. Chase oparł się o ścianę budynku klubowego i rozciągnął mięśnie ud i łydek, zaś Max rozpiął plecak i rozłożył na chodniku swój sprzęt.

Przez pierwsze dni pobytu syna na wyspie Simon chodził biegać sam, budząc się, jak zwykle, o piątej albo o wpół do szóstej i obiegając wyspę sześć razy, przebywając dystans mniej więcej trzech

kilometrów. Miał czas wziąć prysznic, ogolić się, ubrać i zjeść śniadanie, i siedział już za biurkiem albo w jednym z laboratoriów, zanim syn wstawał o ósmej czy dziewiątej, w złym humorze, niekomunikatywny, dopóki Pani Bixler nie napełniła go glukozą i proteinami.

Zeszłej nocy, bez żadnego konkretnego powodu, chłopiec zapytał, czy może pójść rano z ojcem.

— Jasne — odpowiedział Chase. — A dlaczego?

— Nie chcę niczego stracić.

— Co tu jest do stracenia? Tylko dyszę i stękam.

— I świetnie się czujesz, prawda?

— Tak, w dobre dni. Pompujesz do mózgu beta—endorfinę i czujesz się świetnie.

— Więc chcę pójść z tobą.

Nie zniechęcał chłopca, bo nagle, dzięki Bogu, zrozumiał, co Max naprawdę próbuje mu powiedzieć: że ma miesiąc na przebywanie z ojcem i — choć pewnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że ich szuka — na odkrycie prawd, znalezienie odpowiedzi, rozwiązanie zagadek o sobie samym. Trzydzieści dni na nadrobienie ośmiu lat. Jak archeolog kopiący w poszukiwaniu wskazówek o wymarłym narodzie, koniecznie chciał zdrapać narosłe od lat warstwy i dowiedzieć się, kim jest i skąd przyszedł.

Jedyny kłopot tkwił w tym, że Max nie chciał tak naprawdę biegać, tylko jeździć na wrotkach, ponieważ jego trener hokejowy powiedział, że to idealny sposób udoskonalenia jazdy na łyżwach, dzięki któremu nadchodzącej zimy mógłby zostać przyjęty do najlepszej szkolnej drużyny hokejowej. Znaczyło to, że muszą pojechać do miasta, bo na Osprey Island nie było wyasfaltowanej powierzchni.

Namyślał się, czy nie namówić chłopca na wspólne biegi po wyspie, tłumacząc, że tracenie benzyny w poszukiwaniu asfaltu zamiast biegania po naturalnej trawie i skałach jest moralnie niesłuszne. Ale kiedy ułożył w głowie zdania, zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak prawiąca morały zrzęda.

Wzięli więc Whalera, opuścili wyspę o wschodzie słońca i popłynęli do Waterboro.

Gdy ślizgali się po gładkiej powierzchni wody, odczuł dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, czegoś brak, coś jest nie na miejscu albo po prostu... nie tak. Nie wiedział co to, ale czaiło się to gdzieś w jego umyśle.

Boja. Chodzi o boję. Tę, którą razem z Tall Manem zostawili kilka dni temu, żeby oznaczyć głowicę czujnika. Mieli zamiar wrócić i zanurkować po czujnik, ale do kompresora trzeba było sprowadzić jakąś część z New London, więc nie mieli powietrza. Byli zajęci innymi sprawami — przecież czujnik nie mógł nigdzie odpłynąć.

Ale gdzie się podziała boja? Powinien ją widzieć, gdy zbliżali się do Napatree Point, ale nie zauważył jej. Teraz minęli już Napatree, a kiedy popatrzył na wschód, oślepiły go promienie wschodzącego słońca.

Odsunął od siebie tę myśl. Boja na pewno tam jest, znajdą ją w drodze powrotnej.

Skończył rozciągać mięśnie i udał, że jest zajęty sznurowaniem butów do biegania i wykonywaniem przysiadów, ale przyglądał się, jak syn zakłada skomplikowany strój: nakolanniki, poduszki na łokcie, kask i w końcu parę czarnych sznurowanych butów na grubej podeszwie, do której przymocowane były żółte gumowe kółka. Chłopiec wyglądał jak robot z kiepskiego filmu.

Chase zapytał tylko:

— To chyba bezpieczne, co?

— Pewnie.

— Więc po co ci te wszystkie poduszki?

— No... może być trudno wyhamować.

— A więc jesteś jak uciekający pociąg. — Chase uśmiechnął się. — Dobra, ty draniu, dajemy czadu.

— Dokąd?

— Nie widziałeś jeszcze miasteczka. — Wskazał palcem kierunek. — Zrobimy kółko.

Pobiegniemy Beach Street aż do końca cypla, potem z powrotem po Oak Street i wrócimy tutaj. To trochę ponad półtora kilometra. Jeśli będziesz jeszcze czuł się na siłach, możemy strzelić po Route One i z powrotem.

— Dobra. — Max stanął na trawie, drżąc jak nowonarodzony cielak, i pokuśtykał na asfalt. Stopa, którą uderzył o twardą nawierzchnię, wyślizgnęła się w przód, chłopiec zachwiał się, zamachał ramionami, zachybotał się, przechylił i odzyskał równowagę. Uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział: — Trochę się zaniedbałem.

— I to ma być sport? — krzyknął Simon z udawanym przerażeniem. — Jezu, może po śniadaniu zagramy sobie w rosyjską ruletkę.

— No to uważaj — rzekł syn, nachylił się, odepchnął jedną nogą, zrobił kilka długich, zamasztych kroków, rozpostarł ramiona i na oczach zaskoczonego Chase'a zakreślił po parkingu zgrabne kółko. W triumfie wyrzucił do góry pięść i odjechał w kierunku drogi prowadzącej do miasteczka.

Chase chciał wykrzyknąć ostrzeżenia o samochodach, pieszych, o wszystkich niebezpieczeństwach zbyt szybkiego dorastania, ale nic nie powiedział. Wziął kilka głębokich wdechów i zaczął biec.

Wspinając się na łagodne wzgórze prowadzące do miasta, poczuł zapach cynamonowych bułeczek i smażonego bekonu, dochodzący z dwóch restauracji na Beach Street, które obsługiwały tutejszych mieszkańców pracujących na pierwszej zmianę w fabryce Electric Boat.

O tak wczesnej porze nie jeździły jeszcze samochody, więc pobiegł środkiem Beach Street, machając do Sally układającej warzywa na straganie miejskiego bazaru, i do Lestera, który wypakowywał kartony piwa z ciężarówki zaparkowanej na tyłach sklepu z alkoholami, i do Earla, który sprzedawał gazety, pisma, papierosy, gumę do żucia i książki w tym samym sklepie od lat, zanim jeszcze Chase przyszedł na świat.

Każdy mu odmachał, każdy miał dla niego dobre słowo. Nagle pożałował, że nie przyjeżdża do miasteczka częściej. To jest jego dom, dom, czyli ludzie. Zastanowił się, czy namiętność żywiona przez niego dla wyspy nie stała się niezdrowa, nie zmieniła go w odludka.

Przebiegł obok Veterans Square, mijając stary budynek banku, na którym nadal wisiała ta sama wystrzępiona flaga, która powiewała na cyplu, gdy Brytyjczycy w napadzie złości ostrzelali Waterboro w czasie wojny 1812 roku.

Spotkał Maxa na końcu cypla, gdzie stali przez moment, podziwiając wschód słońca. Potem odwrócili się i ruszyli krętymi, bocznymi uliczkami, chłopiec klucząc jak szukający bomb saper, w tyle jego ojciec. W końcu wydostali się na Oak Street i minęli okazałe domy kapitańskie zbudowane we wspaniałych latach wielorybnictwa.

Oak Street była szeroka, prosta, przestronna i pusta.

— Daję w rurę — powiedział Max. — Zobaczmy się koło klubu.

— Dawaj. Tylko bądź...

Ale już go nie było. Uderzył nogami o nawierzchnię, rozłożył ramiona, opuścił głowę, nachylił się, gumowe kółka zagrały na asfalcie.

Pobiegł za nim sprintem, raczej dla wprawy niż w nadziei dotrzymania mu kroku, ale gdy minął

dwa budynki, zmęczył się, więc zwolnił do normalnego dla siebie rytmicznego tempa.

Syn oddalał się, najpierw o jeden budynek, potem o dwa, w końcu stał się tylko plamką pędzącą po ocienionej ulicy.

Chase zobaczył dziewczynę pierwszy. Ujrzał, jak wychodzi z drzwi domu, odwraca się, żeby zatrzaskać drzwi, przechodzi przez chodnik, patrząc nie na ulicę, ale do torby na zakupy i wchodzi na jezdnię.

Krzyknął, ale jego słowa zagłuszył wiatr.

Max chyba wcale jej nie zauważył, bo miał opuszczoną głowę. Na pewno w ogóle jej nie usłyszał, bo poduszki wewnątrz kasku przywierały mu ściśle do uszu.

Simon ujrzał, jak torba spada dziewczynie z ramienia, a ręce unoszą się do twarzy.

Wtedy Max musiał ją wyczuć, w jakiś sposób odebrać jej obecność, bo gwałtownie się wyprostował i usiłował skrócić w prawo. Jedna stopa uderzyła chyba o drugą albo o nią zaczepiła, bo nogi chłopca nagle się zatrzymały, a korpus został wyrzucony w przód. Jedno z wyciągniętych ramion uderzyło dziewczynę i odrzuciło ją na zaparkowany samochód. Odbiła się od auta i upadła na ulicę w trzepocie niebieskiej bawełnianej spódnicy.

Chase ujrzał, że syn przez moment leci przed siebie w zwolnionym tempie i pada jak postrzelony ptak, uderzając o ziemię najpierw kolanami, potem łokciami, w końcu głową. Przekoziółkował raz i legł bez ruchu.

Simon przyspieszył do sprintu, przeklinając i modląc się w duchu, z trudem łapiąc oddech.

Zobaczył, jak dziewczyna chwyta się zderzaka samochodu i podnosi na nogi. Podeszła do leżącego, przyklękła i dotknęła jego twarzy. Chłopiec usiadł, popatrzyli na siebie. Powiedział coś, a dziewczyna potrząsnęła głową.

Chase ujrzał, że dziewczyna odwraca się w jego stronę, dostrzega go i nagle zrywa się na nogi, łapie torbę i, rzucając ostatnie spojrzenie na chłopca, znika w alejce pomiędzy domami.

Zanim dobiegł do syna, dziewczyna zniknęła.

Max był na czworakach. Wyciągnął w górę rękę, Simon złapał ją i podciągnął go na nogi, podtrzymując ramieniem, by nie stracił równowagi.

— Wszystko w porządku?

— Pewnie. — Chłopiec uśmiechnął się blado. — Po to te ochraniacze. — Wskazał na kolana.

Materiał pokrywający poduszki był podarty.

— Co z dziewczyną?

— Nic jej nie jest... Trochę wstrząśnięta.

— Tak powiedziała?

— Nie... niezupełnie. — Syn zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, co mówiła dziewczyna.

— Więc skąd wiesz, że nic się jej nie stało?

— Nie wiem... Po prostu wiem.

— Max... — Chase poczuł narastający gniew i powstrzymał się, by nie wyrzucić z siebie złości.

— Słuchaj, poturbowałeś to dziecko. Może jest zraniona i nic o tym nie wie. Może właśnie szuka lekarza.

— Nie — odparł stanowczo chłopiec.

— Dlaczego uciekła?

— Nie wiem.

— Co powiedziała?

— Nic.

— Co znaczy nic? Musiała coś powiedzieć, na przykład „Nic mi nie jest” albo „Czy coś ci się

stało?” czy „Uważaj jak jeździsz”.

— Nie. Nie powiedziała ani słowa. Podeszła do mnie, ja powiedziałem: „Bardzo mi przykro. Wszystko w porządku?”, a ona tylko dotknęła mojej twarzy i uśmiechnęła się. Ale to było tak, jakby coś mówiła, jakbym w głowie słyszał jej słowa.

— Jakie słowa?

— Nie jestem pewien, może to nie były nawet prawdziwe słowa, ale raczej jakieś uczucie, coś w rodzaju „Nie martw się” i „Dobrze, że nic ci się nie stało”. — Zamilkł. — A potem zobaczyła ciebie i uciekła.

— Chryste, nie wiemy nawet kim jest. Nie zauważyłem, z którego domu wyszła. — Spojrzał wzdłuż alejki, jakby oczekując, że zobaczy dziewczynę, ale alejka była pusta. Odwrócił się więc do syna. — No — powiedział wskazując na wrotki — chcesz je zdjąć i pójść z powrotem do klubu?

— Nie, nic mi nie jest, biegnijmy dalej. To przez ten kask, wszystko dlatego. W ogóle jej nie słyszałem.

— Więc trzymaj się blisko mnie, będę twoimi oczami i uszami.

— Dobrze — zgodził się. — Będę cię okręzał, jakbyś był obrońcą.

Chase uśmiechnął się.

— Doskonale, może dostaniemy wspólną salę na intensywnej terapii. — Ruszył.

Gdy dotarli do końca ulicy, musiał dokonać wyboru. Mogli biec dalej przed siebie, wrócić do klubu, wsiąść do łodzi i popłynąć z powrotem na wyspę, mogli też zostać dłużej, więcej poćwiczyć, klucząc po bocznych uliczkach we wschodniej części miasteczka.

Biegając w miejscu, popatrzył na syna, który z zadowoleniem jechał tyłem, udając, że odbija hokejowy krążek nieistniejącym kijem. Zdecydował, że chłopcu rzeczywiście nic nie jest i że przyda mu się męczące ćwiczenie. Skręcił więc w prawo od Oak Street i pobiegł w kierunku dużego budynku z czerwonej cegły, który kiedyś był miejską szkołą, a obecnie został podzielony na mieszkania.

Obok budynku ulica kończyła się ślepo kamiennym murem, sięgającym do ramion. Zazwyczaj Chase zawracał kilka metrów przed końcem ślepej uliczki, ale w zatoczce w oddali zobaczył stado żerujących rybitw, a słoneczne refleksy na ich białych ciałach i na wodzie, która rozpryskiwała się, gdy ptaki nurkowały, wyglądały jak fontanna diamentów. Biegł dalej w stronę muru, pokazując synowi ptaki. Chłopiec wyprzedził go, zakreślił kółko i zatrzymał się.

Przyglądali się przez chwilę rybitwom, po czym odwrócili się, żeby wracać, ale gdy oczy Simona oderwały się od wody, zauważył coś na skałach na krawędzi lądu. Zatrzymał się.

— Co? — spytał Max.

— Nie jestem pewien. — Chase przyjrzał się znów, badając wzrokiem wąski pas żwiru i kamieni. Chłopiec oparł się o murek obok niego.

— Na co patrzysz?

— Na ten kłęb wodorostów — odparł, wskazując palcem.

Fala uniosła kępę wodorostów i przesunęła ją kilka metrów w stronę brzegu.

— Tato! — krzyknął Max. — To jest ręka!

Palce były zgięte jak szpony, jakby ich właściciel usiłował wdrapać się na coś, czegoś złapać albo walczyć w momencie śmierci.

— Zostań tu — polecił Chase, podciągając się na murek, przerzucając górą nogi i zeskakując na pas kamieni.

— Ale tato... — Max rozwiązywał już buty.

— Zostań tu! — Idąc w stronę kępy wodorostów, próbował sobie przypomnieć, czy słyszał, żeby ktoś zaginął. Potem zastanowił się, po jakim czasie topielec wynurza się na powierzchnię. Wiedział, jak to się dzieje — po pewnym czasie w ciele gromadzą się gazy, i ciało wypływa.

Ogromna kępa wodorostów rozpościerała się daleko. Chase nie chciał dotykać ręki. Co będzie, jeśli to wszystko, co zostało, albo jeśli jest tego więcej, tak przegniło, że rozleci się na kawałki? Butem odsunął więc na bok, przypominające gumę, nitki wodorostów.

Wtedy zobaczył głowę, a raczej to, co zostało z twarzy. Żółć podniosła mu się do gardła i wlała do ust. Upadł na kolana, kaszląc i plując.

Czaszka bez oczu, uszu i warg pokryta bladą skórą. W wodorosty wplątała się reszta ciała. W poszarpanym na strzępy białym mięsie, przeplecionym kauczukowymi nitkami kombinezonu do nurkowania, nie było krwi.

— Zadzwoń po policję — zawołał do syna. — Idź na Beach Street do sklepu z gazetami i powiedz Earlowi, żeby wezwał policję.

— Kto... kto to jest?

— Nie wiem.

— Co się stało?

— Idź już! — krzyknął i niemal natychmiast usłyszał turkot wrotek po asfalcie.

Kiedy uznał, że znów może spojrzeć bez odczuwania mdłości, podpełzł bliżej. Twarzy nie można było rozpoznać, ale w ręce było coś znajomego.

Zegarek. Zegarek na nadgarstku ręki zastygłej w szponiastej pozycji, jeden z tych zegarków dla nurków, które robią prawie wszystko z wyjątkiem prania skarpetek: pokazują godzinę we wszystkich strefach czasowych, mają okienka na czas spędzony pod powierzchnią, fazy księżyca. Ten zegarek należał do kogoś, kto miał kota na punkcie gadżetów. Chase widział go już. Ale gdzie?

Przypomniał sobie: sklep Waterboro Lumber, ręka trzymająca puszkę WD—40. Zrobił uwagę na temat zegarka, a właściciel uparł się, że wyjaśni mu wszystkie funkcje i powiedział, jak taki zegarek zamówić.

Buck Bellamy — to był on. Czy to możliwe, że tylko tyle zostało z Bucka? Ale dlaczego? Buck miał doświadczenie w prowadzeniu łodzi, był dyplomowanym nurkiem, a w szkole średniej był jednym z najlepszych pływaków.

Nurkował — kombinezon był tego dowodem. Co mogło go zabić? Może miał złe powietrze? Ludzie czasami nie uważają, czym napełniają butle i umierają z powodu zatrucia tlenkiem węgla. Może dostał ataku serca albo pocięła go śruba napędowa, albo... Bóg wie, co jeszcze.

Ściągnął z ciała kolejną warstwę wodorostów i ujrzał drugą rękę. Między ramieniem i łokciem

nie było mięsa, w kości ramieniowej widniały głębokie cięcia, jakby wielka ryba albo mały rekin złapał ramię, potrząsał nim w tę i z powrotem i ogryzł je, jak pies ogryza kość zbyt wielką, by ją zmiążdżyć.

Wokół nadgarstka znajdował się rzemyk, a do rzemyka przymocowana była kamera wideo.

— Ty mi to powiedz, Simon — powiedział Roland Gibson, szef miejskiej policji. — Ty jesteś ekspertem od rekinów. Jaki rekin mógł zrobić coś takiego?

— Żaden — odpowiedział Chase. — Żaden znany mi rekin. Nie w naszej okolicy.

Siedzieli w biurze Gibsona w komisariacie na Route One. Na biurku rozłożone były zdjęcia polaroidowe resztek Bucka Bellamy'ego, a kamera wideo Bucka została podłączona do telewizora w bibliotece.

Samochód policyjny nadjechał w ciągu pięciu minut, karetka pogotowia chwilę później. Zanim ciało sfotografowano, włożono do plastikowej torby i zabrano na sekcję do New London, przy kamiennym murku zgromadził się mały tłum.

Na prośbę Gibsona, Chase i Max pojechali na komisariat, gdzie złożyli zeznania. Teraz Max siedział na korytarzu, a Chase rozmawiał z szefem policji.

— Fajnie, Simon — zakpił Gibson. — Najpierw mi mówisz, że to wygląda na atak rekina, a potem, że w okolicy nie ma rekinów atakujących ludzi.

— Rollie, nie powiedziałem, że zaatakował go rekin, tylko że to wygląda, jakby pogryzł go rekin, już po śmierci.

— Dlaczego tak uważasz?

— Ataki rekinów wszędzie są rzadkie, a tutaj w ogóle się o nich nie słyszy. Jest większe prawdopodobieństwo, że ktoś zostanie zabity przez świnię albo dzikiego kota niż przez rekina. Po pierwsze, w tych wodach jest cholernie mało niebezpiecznych rekinów. Rekiny szare żywią się na dnie, nigdy nie ścigają pływaków, na pewno nie nurków, ale mogłyby ogryźć martwe ciało na dnie. Ostronosy są rzadkie i żyją samotnie w głębokiej wodzie polując na ryby pelagiczne. Szansa na to, że ostronos zapaści się na płytką wodę, jest jedna na milion. Możliwe, że to był żarłacz błękitny. Taki może rzucić się na kogoś, kto krwawi, a ich stado może zapolować na człowieka i rozerwać go na strzępy. Ale zobaczylibyśmy tego dowody — ślady ich zębów są nie do pomylenia.

— A żarłacz białe? Sam mi mówiłeś, że są w okolicy.

— Czasami — powiedział, nie chcąc informować Gibsona o dużym żarłaczku białym, którego oznaczył z Tall Manem zaledwie tydzień wcześniej. Najmniej życzył sobie masowego odwetu na żarłaczach białych, poprowadzonego przez gromadę żądnych krwi szaleńców. — Ale bardzo rzadko, prawie nigdy. Do diabła, gdyby żarłacz biały chciał pożreć Bucka, toby go pożarł. I kropka. Gdyby rzucił się na niego przez pomyłkę, na przykład myśląc, że to foka — na powierzchni nurkowie w kombinezonach wyglądają dla rekinów jak foki — to Buck byłby pewnie przegryziony na pół. Znaleźlibyśmy drugą połowę albo nie, ale jeśli tak, to ślady byłyby jednoznaczne: duże, brzydkie półksiężyce. Na pewno nie okazałoby się, że ma wyrwane gardło i mięso wyzarte tu i tam, jakby podano go na bankiecie.

Gibson milczał przez chwilę...

— Musimy chyba poczekać na wyniki sekcji. Może, tak jak twierdzisz, Buck po prostu umarł. Niektórym się to zdarza.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł policjant.

— Znaleźli brata Bucka, szefie — powiedział. Zawahał się i dodał: — Przy Seagull Point.

— Co się stało? Wyglądasz okropnie.

— Też nie żyje. Zjedzony do połowy. Jak Buck. Jedyna różnica, że do nogi miał przywiązaną pochwę od noża.

— Samą pochwę? — zapytał komendant. — Bez noża?

— Nie, noża nie było. Pochwa miała taki gumowy pierścień zabezpieczający, więc nóż nie mógł po prostu wypaść.

— Co znaczy, że Brian wyjął go i miał w ręku. — Gibson spojrział na Chase'a. — To tyle jeśli chodzi o przyczyny naturalne, nie uważasz? — Skinął głową w kierunku policjanta. — Dzięki, Tommy.

— Jest tu Nate Green, chce się z panem widzieć.

— Cholera, wiedziałem, że ta pieprzona prasa wpakuje się do tego. — Gibson westchnął. — Możesz go tu wpuścić, inaczej rozgłosi w całym Connecticut, że Hanibal Lecter jest na wolności i pożera ludzi. — Kiedy policjant wyszedł, zwrócił się do Chase'a: — Przynajmniej to Nate, a nie jakiś narwaniec w poszukiwaniu Pulitzera. Mogę go trzymać na sznurku dzięki jednej czy dwóm wyłącznym wiadomościom i kilku szklankom szkockiej.

Nate Green, reporter z Waterboro Chronicle, był od trzydziestu lat miasteczkowym weteranem. Kiedyś chciał pracować dla dziennika w wielkim mieście, ale ostatecznie pogodził swoje skromne talenty z wygodnym życiem na wybrzeżu.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Miał pięćdziesiąt parę lat, był okrągły, miał nadwagę, a pijackie żyłki przecinające mu nos i policzki wyglądały jak mapa samochodowa.

— Słyszałem, że mamy jakąś aferę—uśmiechnął się do Chase'a, podał Gibsonowi dłoń i usiadł na pustym krześle naprzeciwko biurka.

— Może i tak — odparł Gibson. — Nate, wyświadczyć mi przysługę. Nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków.

— Słyszałem, że Buck miał z sobą kamerę wideo.

Policjant zawahał się i powiedział:

— Tak, ale zalała ją woda i taśma się zamoczyła. Może zrobił to jeden z moich geniuszy wyjmując ją, nie wiem. W każdym razie, nie ma na niej zbyt wiele.

— Mogę zobaczyć?

— Tylko dlatego, że ci ufam. — Gibson uczynił gest w kierunku Chase'a, który wstał, włączył telewizor i wcisnął przycisk uruchamiający wideo. — Ale zatrzymaj wszystko dla siebie. Nie wiemy dokładnie, co tu się stało.

— Znasz mnie, Rollie — rzekł Green.

Na ekranie pojawił się zamazany obraz Briana Bellamy'ego. Migotał i skakał, jakby sygnał nie utrzymał się na taśmie. Wydawało się, że Brian podnosi coś w kierunku kamery. Usłyszeli głos Bucka, nakazujący bratu uśmiechnąć się. Potem twarz Briana zmieniła się. Oczy rozszerzyły się, usta otworzyły, chłopak upuścił to, co trzymał i krzyknął coś nieskładnie.

— Wygląda, jakby coś zobaczył — skomentował Green.

— Tak — odparł Chase. — Ale co?

Usłyszeli jak Buck krzyczy:

— Brian! Do cholery!

— Posłuchajcie tego — poprosił Gibson. — Buck go przeklina, jakby Brian zaczął się wygłupiać albo... cholernie przestraszył.

Nagle kamera opadła na piaszczyste dno i ekran zalała ciemność. Słysząc było wrzaski i krzyki, kamera znów podskoczyła do góry, kręcąc się w kółko w kłębach mułu. Wydawało się, że woda przybiera zielonkawy odcień.

— Co to? — spytał Green.

— Może krew — odparł Simon — to zależy, jak byli głęboko. Poniżej kilkunastu metrów krew ma zielony kolor.

Kamera znowu upadła na dno, wolniej, jakby została upuszczona. Ekran wypełniała tylko woda. Słysząc było jeszcze tylko jedno słowo, głos krzyczący:

— Nie!

Green zapytał:

— Kto to był?

Chase odpowiedział mu:

— Nie wiemy.

— Puść mi to jeszcze raz, Simon — poprosił policjant.

Chase przewinął taśmę i włączył odtwarzanie. Gdy się skończyło, Gibson rzekł:

— Dla mnie wygląda to tak, jakby na przykład Brian zabił Bucka.

— A co zabiło Briana? — spytał Simon.

— Może zabili się nawzajem.

Green potrząsnął głową.

— To nie ma sensu. Byli sobie tak bliscy, jak tylko mogą być bracia. Brian uwielbiał Bucka.

Dlaczego miałby go zabić?

— Narkotyki — odparł policjant. — Miał za sobą przejścia. Może miał nawrót i dostał szału.

— Nie, Brian śmiertelnie bał się narkotyków. Przychodził na każde spotkanie Anonimowych Narkomanów, jakie tylko mógł znaleźć, a jeśli nie mógł, chodził do Anonimowych Alkoholików. Pamiętam, że kiedy któregoś dnia tankowałem benzynę, powiedział mi, że stracił już tyle komórek w mózgu, że dba o każdą, jaka mu została. Jedyne, na co sobie pozwalał, to piwo od czasu do czasu.

Chłopcy mieliby się wzajemnie zamordować? Nie, Rollie, to nie ma żadnego sensu.

— Masz lepszy pomysł? — Gibson odchylił się w tył na krześle i wgapił w sufit.

— Chyba taki, że to ogromna zagadka — odparł dziennikarz. — Zagadkowa śmierć zawsze dobrze się sprzedaje.

— I napędza wszystkim cholernego stracha — dodał Gibson.

Po dłuższej chwili szef policji demonstracyjnie spojrział na zegarek i wstał.

— Jeśli już mowa o traceniu komórek w mózgu... Jest dopiero dziewiąta trzydzieści rano, a już mamy za sobą kurewsko długi dzień. — Wyjął z kieszeni klucz, otworzył dolną szufladę w szafce z aktami, wyciągnął z niej butelkę szkockiej whisky i kilka papierowych kubków i wrócił do biurka. Nalał do kubka whisky na dwa palce, podsunął kubek Greenowi, nalał do drugiego i podał go Chase'owi, który potrząsnął głową. Przełknął haust whisky i znów przechylił się na krześle. — Nate, przyjeżdża do ciebie rodzina na poświęcenie łodzi?

— Siostra z dziećmi. Wymyślą pewnie jakiś pretekst, żeby zostać na tydzień. — Dziennikarz popijał whisky. — Jezu.

Simon nie wiedział, dlaczego Gibson zaczął nagle mówić o święcie, ale nie miał ochoty tego słuchać. Chciał wrócić na wyspę i zabrać się do pracy. Przechylił się w przód, jakby miał zamiar wstać, zaczął coś mówić, ale policjant mu przerwał.

— Mówią, że to będzie największe święto w historii. Ludzie zjeżdżają się ze wszystkich stron, zwłaszcza teraz, kiedy kasyno da im zajęcie na deszczowe dni i w nocy.

— Tak mówią — odezwał się Green.

— Może nam dać prawdziwy zastrzyk pieniędzy.

— No.

Chase zrozumiał wreszcie, do czego dąży Gibson i wiedział, że musi zostać i słuchać.

— Nate — zaczął policjant — wiem, że musisz czymś zapełnić te metry kolumn, więc może pozwolisz, że ja i Simon podsunie ci kilka uwag.

— Dobra.

— Po pierwsze, niemożliwe, żeby to był atak rekina. Simon, tak jakby, zapewnił mnie o tym. Prawda, Simon?

— Mniej więcej — odparł Chase. — Powiedziałem, że...

— Teraz taśma — rzekł Gibson do Greena. — Pamiętaj, jesteś jedyną osobą, jaka ją widziała, masz na nią wyłączność i musisz przyznać, że wygląda to zupełnie tak, jakby Brian nagle oszalał.

— Albo zobaczył coś, co sprawiło, że oszalał.

— Co zobaczył? Ducha Zeszłego Bożego Narodzenia?

— No, to jest pytanie.

— Moim zdaniem na dole nic takiego nie można zobaczyć. Jedyńm wnioskiem, do którego dojść może każda w miarę rozsądna osoba, jest to, że Brian miał nawrót kwasowy, czy coś w tym rodzaju, rzucił się na brata i w trakcie walki sam zginął.

— Skąd wzięła się ta krew?

— Nóż Briana.

— Miał nóż?

— Jasne — odparł szef policji. — Nie mówiłem ci? Przywiązany paskiem do nogi. Ale kiedy go znaleziono, noża nie było. To kolejna wiadomość wyłącznie dla ciebie.

Green postawił kubek na biurku i odwrócił się, by spojrzeć na Chase'a.

— Co o tym myślisz, Simon?

— Sam nie wiem, co myśleć — odpowiedział. — Ale to wszystko wydaje mi się trochę...

— Potrafisz znaleźć lepsze wytłumaczenie? — warknął na niego policjant.

— Nie — odparł Chase, bo nie potrafił. Mógł tylko przysiąc, gdyby kiedyś musiał, że żadnego z chłopców nie zabił rekin... A przynajmniej, żaden rekin, o którym słyszał.

— No więc proszę, Nate — powiedział policjant. — Jesteś zbyt dobrym dziennikarzem, żeby wypisywać jakieś niezrozumiałe, głupawe domysły.

Green milczał przez chwilę, zanim się odezwał:

— Dasz mi znać o wynikach sekcji?

— Jak tylko potwierdzi przyczynę śmierci. — Gibson dolał whisky do kubka dziennikarza. — Ale postawię dolara do dziesięciu, że okaże się, że śmierć spowodowało ostre narzędzie. Wydaje mi się, że lekcja, jaką masz przekazać swoim czytelnikom, brzmi następująco: narkomani i wariaci nie powinni nurkować.

Do drzwi znowu zapukał policjant. Otworzył je i zwrócił się do Chase'a:

— Telefon do pana.

— Odbiorę na zewnątrz — odparł wstając.

— Już nie trzeba — powiedział policjant. — To była Pani Bixler. Kazała panu powtórzyć, że przyjechała Mała Syrenka.

— Dobrze. Dzięki, Tommy. — Chase zwrócił się do Gibsona: — Więzienie za długi zawieszono na trzy miesiące... mam nadzieję. — Odwrócił się do wyjścia.

— Simon... — odezwał się Gibson, zatrzymując go. — Wszyscy trzej się zgadzamy, prawda? To znaczy, gdyby jeden z tych półgłówków, reporterów telewizyjnych zadzwonił do ciebie i chciał rozpętać burzę...

— Jasne, ROLLIE.

— Dobrze. — Komendant uśmiechnął się. — Twój instytut zdobywa całkiem niezłą reputację. Nie chcesz chyba mieszać jej z błotem, wtrącając się w sprawy policji.

Chase opuścił pokój z niejasnym odczuciem, które zmieniło się w pewność, zanim dotarł do głównego korytarza: właśnie mu grożono.

W korytarzu razem z Maxem czekał policjant, gotów zawieźć ich do łodzi.

— Jakies sto metrów od miejsca, gdzie znaleziono Briana, była wasza boja — powiedział policjant — mnóstwo izolowanego kabla i jakieś elektroniczne urządzenie na końcu. Kazałem to zostawić, może pan je zabrać po drodze do domu.

— Dzięki — odpowiedział Chase. — Musiało uwolnić się spod tego, o co zaczepiło.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Max przechylił się w przód na tylnym siedzeniu i odezwał do ojca:

— Znalazłem ją.

— Kogo?

— Dziewczynę. Tę, na którą prawie wpadłem.

— Co znaczy, znalazłeś ją?

— W gazecie, na komisariacie, jak czekałem. Było jej zdjęcie, wygrała jakąś nagrodę.

Wiedziałem, że musi być powód, dla którego nie słyszała, że się zbliżam. Jest głucha.

— Jak się nazywa?

— Ma na imię Elizabeth.

Zbliżając się do krańca niskiego cypla o nazwie Seagull Point, Chase zwolnił Whalera i zwrócił go w stronę brzegu, by móc popłynąć blisko plaży. Ciało Briana znaleziono prawie w połowie półwyspu, kabel powinien więc być nie opodal tego miejsca, najwyżej kawałek dalej.

Max stał na dziobie, dla równowagi przytrzymując się liny cumowniczej.

— Jak on będzie wyglądać?

— Na tle białego piasku — odparł Chase — powinien wyróżniać się jak stumetrowy czarny wąż.

Seagull Point był kiedyś własnością prywatną, później miejską plażą, obecnie zaś rezerwatem ptactwa. Rozmnażały się na nim mewy i rybitwy, i chociaż czasami ludzie przyplływali łódkami, żeby popływać albo urządzić piknik, każdy, kto odważył się wejść w głąb ładu poza wydmy, ryzykował oskalpowanie przez ptaki, rzucające się w dół jak rakiety w obronie swych gniazd.

Simon słyszał, jak ptaki piszcza, widział, jak krążą nad gniazdami, ale zauważył, że żaden nie nurkuje ani nie unosi się na wodzie. Zastanowił się dlaczego. Zwykle tak spokojnego dnia dziesiątki ptaków pływały po powierzchni, czekając na sygnał od latających zwiadowców, że zbliżają się ławice ryb.

— Patrz! — krzyknął Max, wskazując coś za prawą burtą.

Chase wyłączył bieg, łódź płynęła rozpędem wzdłuż wybrzeża.

Na powierzchni dojrzał biały przedmiot, który ślizgał się wzdłuż burty Whalera, dopóki nie wyciągnął ręki i nie schwycił go.

To była martwa mewa, płynąca brzuchem do góry. Najpierw pomyślał, że jest cała, ale kiedy podniósł ją za nogę, zobaczył, że ptak nie ma głowy.

— Jezu! — jęknął przerażony Max.

Chase zbadał kikut szyi ptaka. Szukał śladów po zębach, cięć, odpowiedzi na pytanie, co urwało mewie głowę, ale nie znalazł nic. Mógł tylko stwierdzić, że głowa ptaka została po prostu wyszarpana z ciała.

— Jeszcze jedna! — krzyknął chłopiec.

Simon rzucił martwą mewę na dno łódki i wrzucił bieg.

Drugi ptak płynął pionowo, z głową zwieszoną do przodu. Wyglądał jakby spał, ale był zbyt głęboko zanurzony i chybotał się niestabilnie. Chase podniósł mewę za szyję i odwrócił. Nogi były oderwane, w brzuchu widniała poszarpana rana.

— Co do diabła... — warknął.

— Lufary? — spytał Max.

— Nie, wydaje mi się, że lufary dokończyłyby dzieła, zjadłyby całego ptaka.

— Więc co? Kto to zrobił? Potrząsnął głową.

— Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem.

Chłopiec stanął na palcach na dziobie łodzi, przytrzymując się liny, i spojrzał w stronę plaży.

— Tam jest nasz przewód — oznajmił. — I następne ptaki.

Dużo więcej. Na falach.

Chase skierował łódź w stronę brzegu i włączył bieg. Gdy dopłynęli na płyciznę, wyłączył

przyczepny silnik, podniósł go i zamocował, żeby śruba nie zaryła w piasku. Łódź miała dość rozpędu, by przedostać się przez przybrzeżne fale i wbić dziobem w suchy piasek.

To było jak wycieczka do rzeźni. Wszędzie pływały martwe ptaki, niektóre bez głów, inne wypatroszone, jeszcze inne z poderżniętym gardłem. Chase podniósł jedną czy dwie mewy, przyjrzał się ich ranom i wrzucił je z powrotem do wody.

— Wygląda to prawie tak, jakby zrobiły to jakieś wyrostki — skomentował.

— Jak to wyrostki? — zapytał Max.

— Chuligani... Wiesz, wandale. W zasadzie nic w oceanie nie zabija tylko po to, by zabić.

Zwierzęta zabijają z dwóch powodów: żeby jeść i żeby się bronić.

Wyskoczyli z łodzi i wciągnęli ją głębiej na piasek. Przeszli plażą w stronę czarnego kabla, zwiniętego przez policjantów.

Zaciągnęli kabel do łodzi, załadowali go na pokład i odepchnęli łódź od brzegu. Gdy Chase uznał, że woda jest wystarczająco głęboka, opuścił silnik i włączył go. Podczas gdy śruba rozgarniała wodę, jeszcze jeden martwy ptak wynurzył się na powierzchnię i odbił od burty łodzi. Simon wyłowił go z wody. Z ciała wyrwano skrzydła.

— Ktokolwiek to zrobił — odezwał się, wkładając delikatnie ptaka z powrotem do wody — to wyłącznie po to, by to zrobić. By przeżyć dreszczyk emocji.

Skierował łódź na wschód, w stronę wyspy.

Gdy byli w połowie drogi do domu, przecinając długie, łagodne fale, ujrzeli, że zbliża się do nich duża, powolna łódź o szerokim pokładzie. Łódź miała małą pokładówkę na dziobie i ogromną, przestronną rufę z żurawikiem z każdej strony. Gdy mijali się rufa w rufę, kapitan wielkiej łodzi uruchomił klakson, wychylił się z drzwi pokładówki i zamachał ręką. Chase odmachął mu.

— Kto to? — spytał Max.

— Lou Sims. Przewozi ładunki. Chyba zawiózł właśnie doktor Macy i jej uchatki. Musiał zabrać je z doku w New London.

W kilwatrze łodzi towarowej płynęła druga łódź. Wciąż była oddalona o ćwierć mili, ale szybko się zbliżała. Była to szybka, lśniąca łódź sportowo—rybacka, z pomostem nawigacyjnym i salingami. Gdy się zbliżyła, wyhamowała, a mężczyzna stojący na pomoście dał znak, że chce porozmawiać.

Simon wyłączył bieg.

— Mocno się trzymaj — powiedział do syna. — Ta łódź robi fale wielkości góry.

Kiedy łódź hamowała, jej wysoki kadłub zakołysał się, a na boki rozeszły się wysokie fale. Chase przytrzymał się, gdy podrzuciły Whalerem z boku na bok.

— Szukałem cię, Simon — powiedział człowiek na pomoście. — Łowiliśmy ryby koło Watch Hill. Jezus, widziałem martwego delfina wyrzuconego na skały.

— Delfina? — zapytał Chase. — Jesteś pewien, że to nie był rekin, tylko delfin...

— Myślisz, że nie odróżniam delfina od rekina? To był delfin. Taki jak Flipper, tylko młodszy, dzieciak. Nie mogłem podpłynąć zbyt blisko, ale wyglądał, jakby był poszarpany na strzępy, jakby coś go dorwało. Pomyślałem, że może zechcesz mu się przyjrzeć.

— Dziękuję ci, Tony. Zaraz to zrobię. Gdzie dokładnie był?

— Po tej stronie latarni morskiej. Do diabła, co w tej okolicy może złapać i zabić delfina?

— Nie wiem. — Chase podniósł jednego z martwych ptaków. — Może to samo zwierzę, które odcina mewom głowy. — Może, pomyślał, to samo, które zabiło dwóch nurków.

— W każdym bądź razie, zadzwoń do mnie, jak się czegoś dowiesz.

— Dobrze.

— To twój chłopak?

— Tak — odparł Chase. — Max... kapitan Madeiras.

Chłopiec pomachał ręką, a Madeiras powiedział:

— Przyjedź popracować dla mnie któregoś lata. Poznasz prawdziwą robotę.

— Dziękuję panu — odparł Max — ale nie mam zbyt dużego doświad...

— Nie przejmuj się, na pewno nie byłbyś gorszy niż ten nic nie wart Bobby. — Madeiras zaśmiał się, wskazał na rufę łodzi i zapuścił silnik. Łódź skoczyła do przodu, dwie śruby napędowe rozgarnęły wodę, pozostawiając głęboki rów.

Na dziobie stał kilkunastoletni chłopiec z nieszczęśliwą, cierpiętniczą miną.

19

Bobby Tobin doszedł do wniosku, że ma duże szanse zwymiotować w ciągu następnych pięciu minut. Z każdym oddechem czuł smród krwi, wewnętrzności i spalin z silnika diesla. Musiał bez przerwy łykać ślinę, by żółć nie sączyła mu się do ust. Za każdym razem, gdy łódź huśtała się przeskakując fale, żołądek osuwał mu się nisko, a potem szybko podnosił, jakby miał wystrzelić przez czubek głowy.

Choć wiedział, że mu to dobrze zrobi, nie chciał wymiotować — nie będzie wymiotować, kategorycznie zakazuje sobie tego — ponieważ kapitan Madeiras nigdy nie pozwoliłby mu o tym zapomnieć. Każdy klient wchodzący na pokład zostanie uraczony opowieścią o tym, jak to Bobby rozplaszczyl się na nadburciu, wyrzucając swoje śniadanie za burtę. Zafunduje mu się lekcję na temat szczurów lądowych, nastolatków, letników, protestantów i dzieciaków, które mają zbyt łatwe życie.

Bobby podniósł się z kolan i uważając, by nie dotknąć koszuli skrwawionymi rękami, przechylił się przez burtę i wciągnął kilka łyków świeżego powietrza, które nie śmierdziało olejem napędowym ani martwymi rybami. Za łodzią widział Osprey Island, za nią Napatree Point, a daleko, w oddali, wieżę ciśnień w Waterboro.

— Hej, dupku — zawołał Madeiras z pomostu nawigacyjnego — nikt ci nie pozwolił robić sobie przerwy. Wyszoruj pokład, zanim to gównem zaschnie.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział Bobby, wziął ostatni świeży oddech i odwrócił się w stronę jatki na pokładzie rufowym. Oczyszczył już dziesięć dużych lufarów. Usunął łuski, wypatroszył i zawinał każdego w gazetę. W skrzyni przy prawej burcie czekało jeszcze dwadzieścia.

Co dwóch wędkarzy może zrobić z trzydziestoma rybami? Nie zjedzą więcej niż jedną czy dwie, na resztę nie było zbytu, bo lufary tak obrodziły tego lata, że sklepy rybne mogły zarobić tylko wtedy, gdy dostawały towar za darmo. Mieli nawet marne szanse rozdać je znajomym.

Trofea, to tylko trofea, oznaki męskości.

Nad kilwatem łodzi krążył tuzin mew, niecierpliwie pokrzykując, jakby poganiały Bobby'ego.

Podniósł wiadro za dwumetrową linę uwiązaną do rączki, podszedł do otwartej poprzecznicy na rufie, złapał się jej mocno wolną ręką, przechylił i wrzucił wiadro do wody. Uderzyło o powierzchnię, odbiło się, przechyliło i gwałtownie nappełniło wodą. Szarpnięcie niemal wyrzuciło Bobby'ego za burtę. Wciągnął linę i wiadro z powrotem na pokład. Chlusnął wodą po pokładzie i zaczął szorować szczotką plamy wysychającej krwi i łusek, spychając je za burtę przez poprzecznicę i ściek pokładowy.

Mewy zaczęły krążyć nad świeżą krwią w wodzie. Zaskrzeczały, kiedy nie wyśledziły kawałków mięsa.

Bobby odstawił wiadro, przyklęknął, wyjął z pochwy przy pasku nóż do oprawiania ryb i sięgnął do skrzyni po następnego lufara. Przeciął mu skrzela, by wysączyła się krew, rozciął brzuch od gardła do ogona, sięgnął do środka ciała, wyciągnął wewnętrzności i wyrzucił je za burtę.

Mewy desperacko znurkowały. Dwie z nich chwyciły tę samą część jelit, podniosły się z powierzchni bijąc skrzydłami, wrzeszcząc i szarpiąc gumiate wewnętrzności.

Bobby położył rybę na boku i zaczął usuwać łuski ostrzem noża, przeklinając siebie, ojca,

Madeirasa i los.

Boże, jakże żałował, że nie pojechał do szkoły letniej zamiast brać tę robotę. Ojciec dał mu wolny wybór — jechać do letniej szkoły albo znaleźć sobie robotę. W obecnym stanie gospodarki pracy było tyle, co kot napłakał. Absolwenci szkół wyższych pakowali zakupy w sklepach, studenci szkół biznesu obsługiwali bary. Odmawiano mu wszędzie, od Muzeum Morskiego w Mystic do doków w Waterboro. Miał już zacząć dzwonić do szkół letnich, kiedy zupełnie niespodziewanie ojciec przyjął zwrot długu od Madeirasów.

Manuelowi, rodzinnemu ogrodnikowi, który nie miał wykupionego ubezpieczenia zdrowotnego i któremu operację wymiany biodra opłacił pan Tobin, wyszło się któregoś dnia, że pomocnik jego brata, Tony'ego, zachorował właśnie na zapalenie stawów. Ojciec, nie pytając Bobby'ego o zdanie, załatwił chłopcu robotę.

To prawda, Bobby'emu się to spodobało. Praca wyglądała wspaniale. Pomocnik na łodzi sportowo—rybackiej. Pięć dolców za godzinę, do tego napiwki, może nawet sto dolarów dziennie w co lepsze dni. Praca na dworze. Nauka jak łowić profesjonaliści. Robota na siedem dni w tygodniu, o ile pogoda pozwoli — ale miał wolną każdą noc, a na pewno będzie przynajmniej dziesięć dni deszczowych i wietrznych, w które łódź będzie musiała zostać na brzegu.

Było jednak kilka spraw, o których Bobby'emu nikt nie powiedział. Po pierwsze, łodzie motorowe, zwłaszcza dwunastometrowe, jak Sea Hunter, różnią się od żaglowych. Nie korzystają z wiatru, nie przecinają fal w miarę stabilnie. Odbijają się, podskakują i kręcą, więc jest się przemoczonym, poobijanym i ma się nudności przez cały dzień.

Po drugie, słowo „pomocnik” naprawdę oznaczało kelnera, sprzątacza, śmieciarza, chłopca do usuwania odpadków, czyszczenia ryb i usługiwania — popychadło. Jeśli gość stracił rybę, to była wina pomocnika, który nie założył odpowiednio haczyka albo nie złapał linki we właściwym momencie. Jeśli klient wymiotował, pomocnik sprzątał. Najgorsze ze wszystkiego i najczęstsze było to, że jeśli ktoś zapchał kibel, ignorując wielki napis nad spłuczką i wrzucając do muszli tampon, filtr od papierosa albo prezerwatywę (to też się zdarzało), to zadaniem pomocnika było go odetkać i wyczyścić.

I w końcu nikt nie powiedział Bobby'emu, że Tony Madeiras jest sadystycznym tyranem, jedną z tych osób, które wprawiają się w dobry nastrój poniżając innych. Był też alkoholikiem i chociaż twierdził, że nigdy nie pije w pracy, zdawało się, że „praca” kończy się coraz wcześniej każdego dnia. Miesiąc temu nie brał do ust ani kropli, dopóki łódź nie zacumowała w doku. Teraz popijał sobie z flaszeczki ukrytej na pomoście nawigacyjnym, gdy tylko wypływali z terenu połowów.

Większość klientów nie wiedziała o tym, albo było im wszystko jedno — jak dziś dwóm strażakom z New London, którzy zaczęli od piwa o siódmej rano, a o dziewiątej przerzucili się na Krwawą Mary.

Jednak Bobby'emu nie było wszystko jedno, bowiem to na nim skrupiały się zmienne humory Madeirasa, które potrafiły zmienić się od wrednych złośliwości do łzawych czułości, ale zwykle przybierały raczej formę tych pierwszych.

Oczywiście mógł rzucić pracę, ale nie robił tego, bo wiedział, co by się stało. Opowiedziałby swoją wersję wydarzeń ojcu, który udałby, że mu wierzy, ale wcale by mu nie uwierzył. Zadzwoiłby do Madeirasa i usłyszałby w ugrzecznionym kodzie używanym przez dorosłych, że Bobby jest jęczącą, mdłą, leniwą beksą. Ojciec nigdy w rzeczywistości nie powiedziałby, że wierzy Madeirasowi, ale robiłby aluzje na temat swego rozczarowania i ubolewania, które przeciągałyby się przez co najmniej rok.

Rzucenie pracy kosztowałoby go zbyt wiele. Wolał ją znosić przez sześć następnych tygodni.

Patroszył kolejną rybę, kiedy oszklone drzwi klimatyzowanej kabiny uchyliły się i ktoś powiedział:

— Ej, synu, nie mamy już lodu.

— Tak jest, proszę pana — powiedział, zanurzył wiadro za burtą, umył ręce i wszedł do środka. Ręce nadal śmierdziały mu rybą, ale tych dwóch nic nie zauważy.

Pływało w tę i z powrotem w pianie tuż pod powierzchnią, podniecone szerzącym się silnym zapachem ofiary i zdezorientowane, że nie może znaleźć nic konkretnego. Było kilka kawałków jedzenia, do których się zbliżyło, ale istoty z góry sprzątnęły mu je sprzed nosa.

Umęczone, płynęło naprzód, wciągając oleistą, przesiąkniętą krwią wodę drżącymi skrzelami.

— Opraw te ostatnie i włóż mi je do torebek — zadysponował Madeiras. — Zabiorę je do domu, dla mojej pani.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział Bobby.

W skrzyni zostały trzy ryby, pierwsze złapane tego dnia, największe, cztero — może pięciokilowe. Złapał największą za ogon i cisnął ją na pokład. Została złowiona kilka godzin temu i jej ciało nabrało już pośmiertnej sztywności. Szkliste oczy patrzyły z pustą groźbą, otwarta szczęka zastygła, ukazując szereg idealnych malutkich trójkącików.

— Cieszę się, że nie będziesz już miała pięćdziesięciu kilo wagi — odezwał się do ryby, szukając palcami kręgosłupa, wsuwając do środka nóż i przeciągając nim w tył.

Nie usunął rybie łusek, nie wypatroszył jej. Zamiast tego, szybkimi cięciami noża odciął mięso z jednej strony ryby, tnąc wzdłuż kręgosłupa, wokół ogona, po brzuchu i przez skrzel. Odwrócił rybę i powtórzył operację z drugiej strony. Wyrzucił za burtę mięso, głowę, ogon, ości, wnętrzności, wszystko.

Zobaczył, jak mewy roją się nad rybą, podskakującą w kilwatrze łodzi. Jedna spróbowała podnieść ją za głowę, ale była za ciężka i ptak nie mógł się wzlecieć. Druga chwyciła ogon i przez chwilę zdawało się, że wspólnie przeniosą mięso w miejsce, gdzie będą mogły bezpiecznie je zjeść. Ale wtedy trzeci ptak uderzył w rybę, która upadła z pluskiem do wody.

Ptaki znów na nią spadły. Zanim zdołały ją osiągnąć, w wodzie coś się gwałtownie poruszyło, coś błysnęło. Gdy ruch ustał, ryba zniknęła.

Długie, zakrzywione, stalowe pazury rozerwały martwą rzecz na strzępy. Wyssało wnętrzności z jamy ciała i oczy z głowy. Zębami zmiażdżyło kości szczęki, pożarło język. Zjadło wszystko, dryfując w kierunku dna.

Duży przedmiot, z którego przybyło jedzenie, odpłynął i zmienił się w niknącą pulsację w błonie bębenkowej stworzenia.

Chciało więcej. Nie z samego głodu, bo ostatnio pożywiało się wieloma rzeczami, jedząc, dopóki nie zwymiotowało, a później jedząc jeszcze więcej, lecz ze względu na zaprogramowane odruchy. Nie mogło się oprzeć potrzebie zdobywania. Zabijanie i jedzenie były jego jedynymi funkcjami. Choć ciało miało dosyć pożywienia, soki żołądkowe wciąż były na nowo pobudzane.

Odepchnęło się od dna, błyskając pazurami, bijąc równomiernie w górę i w dół kończynami wyposażonymi w błonę pławną. przemknęło przez wodę w stronę pulsującego dźwięku.

Bobby skończył oprawiać ostatnie dwie ryby, wyrzucił resztki za burtę i zawinał mięso. Zanurzył

wiadro w wodzie, umył ręce i miał się zabrać do szorowania pokładu, gdy usłyszał, jak silnik cichnie i poczuł, że łódź zwalnia, zatrzymuje się i kołysze w poprzek na niskiej fali.

— Przed nami latają ptaki — zawołał z góry Madeiras. — Wygląda na to, że ławica lufarów daje popalić gromadzie narybku. Zapytaj tych dwóch, czy chcą zarzucić wędki.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział. Otworzył drzwi do kabiny i poczuł powiew lodowatego powietrza. Faceci grali na kozetce w dzinowego remika. Jeden zasnął, drugi międlął karty. Dno pustej butelki po wódce wystawało z kosza na śmieci.

Niech powiedzą „nie”, modlił się. Nie chciał już nastawiać linek ani czyścić ryb. Poza tym teraz, kiedy wędkarze się spili, na pewno będą popełniać błędy, a on na pewno będzie im winny.

— Kapitan pyta, czy chcecie panowie zarzucić wędki — oznajmił Bobby.

Mężczyzna spojrział na niego i zmarszczył brwi, jakby go nie poznawał.

— Na co? — zapytał.

— Na lufary.

Mężczyzna namyślał się przez chwilę, potem potrząsnął kolanem przyjaciela, ale ten się nie zbudził.

— Pieprz to — powiedział.

— Tak jest, proszę pana. — Zamknął drzwi i krzyknął do Madeirasa: — Dziękuję, ale nie.

— Jeszcze pożałują — powiedział Madeiras, przyglądając się przez lornetkę pikującym rybitwom. — To mogą być prawdziwe smoki.

Bobby chlusnął wiadrem wody na pokład, odrzucił kubek za siebie i zaczął szorować krew i łuski, spychając je do spływnika.

Na pokładzie zostało kilka wyschniętych plam krwi, więc podniósł wiadro, owinał linę wokół ręki i poszedł na rufę.

— Ej, dupku! — krzyknął Madeiras. — Jeszcze jest brudno!

— Wiem, proszę pana — odpowiedział sucho. — Dlatego nabieram więcej wody.

Madeiras wrócił do swojej lornetki.

— Jak tylko skończysz, przynieś mi wędkę do spinningu. Chyba spróbuję zarzucić stąd parę razy.

Nie żałuj sobie, pomyślał Bobby. Może jesteś na tyle zmarnowany, że potkniesz się, wylecisz za burtę i lufary rozerwą cię na strzępy.

Spaliny z pracującego na biegu jałowym silnika kłębiły się za burtą, szczypiąc Bobby'ego w oczy i zamazując mu obraz. Mewy krążyły wysoko nad jego głową, z dala od uciążliwych spalin.

Nie było teraz kilwatra, łódź się nie ruszała, więc rzucając kubek, Bobby nie złapał się poprzecznicę. Wiadro uderzyło dnem o powierzchnię wody i stanęło pionowo. Bobby szarpnął linę, próbując przechylić kubek i napełnić go.

Podpłynęło do powierzchni na odległość czterech metrów. Duży przedmiot zatrzymał się.

Krążyło, jego receptory szukały oznak zdobyczy, ale nic nie znalazły.

Uniosło się o metr. W spokojnej wodzie spostrzegło odbicie poruszającej się rzeczy.

Coś zaburzyło powierzchnię, rozległ się cichy dźwięk, rozeszło się kilka drobnych fal.

Zobaczyło, że coś unosi się na wodzie.

Ofiara.

Rzuciło się w górę, wyciągając pazury. Miało otwartą paszczę, dolna szczeka wysunęła się do przodu, a rząd trójkątnych zębów ustawił sztywno w pozycji ataku.

Wiadro napełniło się, Bobby pociągnął linę, ale nie wywindował kubła nawet o milimetr. Był za

ciężki, choć dwa galony wody ważyły tylko osiem kilo. Pociągnął linę obiema rękami.

Nagle lina naprężyła się, jakby wiadro o coś zaczepiło i szarpnęła go w przód, jakby złapała ją jakaś duża ryba.

Bobby stracił równowagę. Odwrócił się, żeby chwycić za poprzecznicę, ale był zbyt daleko. Palce natrafiły na samo powietrze i chłopiec wyleciał za burzę. Uderzając o wodę pomyślał: „Mam nadzieję, że za wiadro nie złapał żaden duży lufar”.

Schodziło korkociągiem w dół, ściskając ofiarę w pazurach, wgryzając się zębami w miękkie białe mięso. Ssało, piło, żuło i przełykało.

Zanim dotarło do dna, nie mogło zjeść więcej, więc przycupnęło na piasku i rozerwało ofiarę na sztuki pazurami i zębami. Jeden z zębów dostał się pomiędzy chrząstki i odłamał. Następny, z tylnego rzędu, przepchnął się w przód i zajął jego miejsce.

Tony Madeiras zawiesił lornetkę na haku, wrzucił bieg i zapuścił silnik. Motor zawarczał, dziób uniósł się, rufa osiadła.

— Do cholery, gdzie ta wędka? — wrzasnął, nie patrząc nawet w dół. Nie było odpowiedzi.

CZEŚĆ CZWARTA

~ DRAPIEŻCY ~

20

Kiedy tuż po południu wpływali Whalerem na pochylnię, zobaczyli, że Pani Bixler schodzi ścieżką do doku. Niosła stary kosz z wikliny, a Simon wiedział, co w nim jest: kanapka, termos z mrożoną herbatą, szpulka żyłki i skóra z bekonu, tłuszcz wołowy albo czerstwy chleb. Pani Bixler lubiła spędzać porę drugiego śniadania łowiąc małe rybki na obiad dla czapli. Ptak zobaczył ją i zrobił kilka długich kroków w kierunku doku.

Gdy tylko wyłączył silnik, usłyszał szczekliwe dźwięki dochodzące z zatoczki za wzgórzem.

— Wygląda na to, że doktor Macy i jej uchateki przybyły całe i zdrowe — odezwał się do Pani Bixler.

— Tak, przyjechała z całą tą swoją menażerią.

— Czy to szczekanie uchatek? — zapytał podniecony Max. — Mogę iść je zobaczyć?

— Pewnie. Ale pamiętaj o dobrym wychowaniu i przedstaw się. Nigdy nie spotkaliśmy pani doktor Macy.

Chłopiec skinął głową, wyskoczył z Whalera i pobiegł w górę ścieżki.

Pani Bixler zajrzała do łodzi.

— Ktoś zabawiał się w polowanie? — spytała, wskazując ręką martwe zwierzęta: dwie mewy i młodego delfina butelkonosego.

— Ktoś albo coś. — Chase podniósł małego delfina. Miał niecały metr długości, jego gładka skóra, za życia metalicznie lśniąca, była teraz matowa i bezbarwna jak popiół. Na grzbiecie widniały głębokie ślady cięcia, brzuch został szeroko rozplątany. — Przywiozłem go, żeby przyjrzała mu się doktor Macy. Wie o ssakach więcej ode mnie.

— Co takiego panu powie, czego nie powie nikt inny? Coś go zarżnęło.

— Tak, ale co? — położył delfina z powrotem na dnie łodzi. — Wsadzę go do lodu, dopóki nie będziemy mogli przeprowadzić właściwej sekcji. — Wyszedł z łodzi, zacumował dziób i rufę i wspiął się na schodki doku. — Czy pomogła pani rozgościć się doktor Macy? — zapytał.

— Pokazałam jej wszystko, a Tall zaniósł jej rzeczy.

— Jaka ona jest?

Pani Bixler wzruszyła ramionami.

— Wydaje się pełna entuzjazmu. Ubrana jakby wybierała się na safari. Ale przynajmniej nie popisuje się swoim wykształceniem, jak większość z nich.

Chase ruszył w górę zbocza, a gdy dotarł na szczyt, usłyszał głos syna. Najpierw pomyślał, że chłopiec krzyczy, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie krzyk, ale śmiech.

Popatrzył w dół i zobaczył, że w zbiorniku, który wybudował dla uchatek, Max pluska się w wodzie sięgającej do kolan. Wokół niego przemykały cztery ciemne kształty, sunąc obok chłopca pod wodą, taplając się za nim na powierzchni, zręcznie umykając, gdy rzucał się na nie.

Na krawędzi zbiornika stała kobieta, gestykulując w kierunku uchatek i śmiejąc się razem z chłopcem.

Ponieważ nie dostrzegli go, Chase mógł przyjrzeć się jej przez chwilę, schodząc w dół wzgórza.

Amanda Macy, wysoka i mocno zbudowana, wyglądała jak modelka z katalogu Land's End albo

jak ambasador na dworze L. L. Beana. Ubrana była w mokasyny, sięgające do kolan krótkie spodenki, koszulę khaki z naramiennikami. Z szyi zwisały jej na taśmie okulary przeciwsłoneczne, na ręce miała zegarek dla nurków z nierdzewnej stali. Miała opalone, muskularne nogi i krótkie, spłowiałe od słońca włosy.

Wyglądała młodziej, niż to sobie wyobrażał, chociaż nie wiedział dlaczego założył sobie, że będzie w jego wieku lub starsza. Próbował ujrzeć jej twarz, ale była odwrócona do niego tyłem. Nagle w głowie zadźwięczał mu dzwonek alarmowy, którego się nie spodziewał.

O Boże, pomyślał zbliżając się do niej, nie pozwól, by miała piękną twarz.

Niektórych mężczyzn pociągają piersi kobiety, innych pośladki lub dłonie, nogi albo stopy. Chase zawsze nabierał się na piękne twarze. Przez całe życie zakochiwał się w twarzach, bezrozumnie — i z pełną świadomością, że to bezrozumne — nie zważając na nerwice, zaburzenia osobowości, głupotę, chciwość i próżność, które często kryły się pod ich skórą.

Będzie musiał pracować z tą kobietą przez trzy miesiące. Najmniej są mu potrzebne dodatkowe komplikacje, gdyby zrobiła na nim oszałamiające wrażenie.

Nagle Max zauważył go, krzyknął:

— Tato! — i zamachał ręką, a doktor Macy odwróciła się.

Westchnął z ulgą. Miała sympatyczną twarz o odpowiednich proporcjach, nawet ładną, ale nie zapierającą dech w piersiach. Wyciągnął rękę i przedstawił się:

— Simon Chase.

— Amanda Macy — odpowiedziała, potrząsając jego dłonią w mocnym, pewnym uścisku i uśmiechając się nie umalowanymi ustami.

— Widzę, że Max nie był zbyt nieśmiały.

— Och, był bardzo uprzejmy — odparła Amanda. — To ja przerwałam grzecznościową pogawędkę. Powiedziałam mu, że jeśli chce zapoznać się z uchatkami, to najlepszym sposobem będzie wskoczyć z nimi prosto do wody. Przy okazji, w wodzie czuje się jak ryba i wydaje się mieć większy dar do zwierząt niż inne dzieci. Uchatki od razu go polubiły.

— Tato! — zawołał Max. — Patrz!

Chase spojrzał do zbiornika. Dwie uchatki znajdowały się naprzeciwko chłopca, wystawiając głowy spod powierzchni. Chłopiec ochlapał jedną z nich wodą i nagle obie uchatki zaczęły gwałtownie machać płetwami, chlapiąc na niego jak rozrabiaki z placu zabaw. Max pisnął ze śmiechem i zanurkował pod wodę, a zwierzęta rzuciły się za nim, ocierając się o niego jedwabistymi ciałami, opływając go dookoła.

— Niesamowite — skomentowała Amanda. — Zwykle potrzebują dużo czasu, żeby zacząć komuś ufać. Muszą wyczuwać życzliwość, coś w rodzaju niewinności u dzieci. A przynajmniej u tego dzieciaka.

— Nie gryzą?

Amanda zaśmiała się.

— Pyta pan jako ojciec, nie naukowiec, prawda?

— Prawda — odpowiedział.

— Jedyne powód, dla którego inteligentne ssaki, takie jak one, ugryzą kogoś lub coś, to głód, strach i agresja seksualna. Cała czwórka to samice, więc nie ma problemu z agresją. Są dobrze nakarmione. I nie mają się czego bać. — Zamilkła. — Są zupełnie inne od rekinów.

Śledził wzrokiem syna, dowodzącego z uchatkami.

— Właśnie widzę — powiedział.

— Moim zdaniem, te zwierzęta o wiele bardziej przypominają ludzi niż rekiny. Potrzebują uwagi

i uczucia, od siebie nawzajem i ode mnie. Lubią, jak myję im zęby i głaszczę po futrze. Wychowuję je, odkąd były szczeniakami.

Max wyprysnął ze śmiechem na powierzchnię. Chase zawołał go gestem do brzegu zbiornika.

— Wyłaż stamtąd — powiedział. — Robisz się niebieski.

— Ale tato...

Amanda rzekła:

— Max, uchatki muszą odpocząć, tak samo jak ty. Nieźle je przegoniłeś.

Chłopiec podciągnął się na brzeg zbiornika, Chase roztarł mu ramiona i plecy.

— Jesteś zimny jak sople lodu — stwierdził.

Max wskazał ręką na uchatki, które, gdy tylko wyszedł ze zbiornika, wygramoliły się na skały i grzały na słońcu.

— Nazywają się Harpo, Chico, Groucho i Zeppo — poinformował. — Nie wiem, która jest która, ale doktor Macy powiedziała, że jak je lepiej poznam, będę mógł wybrać jedną, z którą się zaprzyjaźnię.

Simon poczuł, że syn drży, więc polecił:

— Idź wziąć prysznic i włóż ciepłe ubranie.

Chłopiec odszedł kilka kroków, odwrócił się i odezwał do Amandy:

— Czy później będę mógł jeszcze pobawić się z nimi?

— Oczywiście — odparła, śmiejąc się cicho — ale tylko wtedy, kiedy ja tu będę. Musisz nauczyć się znaków, tak jak ja musiałam.

Obok skał za zbiornikiem stała wybudowana przez Chase'a szopa. Amanda weszła do środka i wróciła z wiadrem ryb.

— Dziewczyny, drugie śniadanie! — zawołała, podchodząc do krawędzi zbiornika. Uchatki ześlizgnęły się ze skał do wody i niecierpliwie poszczekując, podплыły do niej, ustawiły w rzędzie i czekały.

Amanda dała każdej foce jedną rybę, potem kolejną i następną, a kiedy wszystkie zjadły po pięć przeznaczonych dla siebie ryb, pogłaskała każdą po głowie i za uszami.

Odniosła wiadro do szopy i oznajmiła:

— To naprawdę piękne miejsce. Wychował się pan tu?

— Nie na wyspie. W Waterboro.

— Gdzie chodził pan do szkoły?

— W różnych miejscach — odparł Chase myśląc: „Zaczyna się”. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wcisnąć jej kłamstwa, ale ponieważ z doświadczenia wiedział, że kłamstwa mają zwyczaj rozrastać się, aż stają się zupełnie nieprawdopodobne, powiedział prawdę. — Ostatnim miejscem był Uniwersytet Rhode Island.

— Są naprawdę nieźli w oceanografii. Czy pański doktorat dotyczył wyłącznie rekinów czy wszystkich chrzęstnoszkieletowych?

— Nie. — Zamilkł i po chwili odpowiedział. — Dopiero go piszę.

Była zaskoczona.

— To znaczy, że nie ma pan tytułu? Jest pan dyrektorem instytutu i nie ma pan doktoratu?

— Zgadza się... pani doktor — odparł. — Przeżyje to pani? — Nim wypowiedział te słowa, poczuł się jak osioł.

Amanda zaczerwieniła się.

— Oczywiście... nie miałam... to znaczy... przepraszam... tylko że... — Odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

Przez chwilę myślał, że śmieje się z niego i próbował wymyślić, jak odciąć się złośliwie. Jednak zanim cokolwiek przyszło mu do głowy, coś w wyrazie jej twarzy powiedziało mu, że śmieje się nie z niego, a z siebie.

— Pięknie! — powiedziała. — To mi się podoba!

— Co?

— Spędziłam cztery lata w szkole wyższej, dwa lata pisząc magisterium, pięć lat pracując nad doktoratem. Jestem kimś! Doktorat jest moim orężem. Mogłabym być głupią gęsią, kretynką, idiotką, ale mam doktorat. Jest oficjalną etykietą mojego dostojnego statusu. — Znów parsknęła śmiechem. — I nagle spotykam kogoś, kto nie ma doktoratu, nie może być w połowie tak dostojny jak ja, ale zrobił więcej, niż ja kiedykolwiek, założył na własną rękę cały instytut. I jaka jest moja pierwsza reakcja? „To niemożliwe!” Podoba mi się to!

Zaczęli wspinać się na wzgórze.

— Jeśli napisze pan doktorat, to o czym on będzie?

— Terytorialność żarłaczy białych — odparł Chase. — To mi przypomina, że przez ostatni tydzień — dwa w okolicy kręcił się żarłacz biały. Śledziliśmy go, dopóki nie straciliśmy czujnika. Zginęło dwóch nurków, ale nie sądzę, żeby rekin miał z tym coś wspólnego. Mimo wszystko, nadal tam jest.

— Myśli pan, że można by było znów go odnaleźć?

— Chcę spróbować, ale... — Chase przerwał. — To znaczy, że chce go pani szukać? Żarłacza białego? A co z pani...

— Moje uchatki wiedzą jak się gra z żarłaczami białymi — zapewniła go Amanda. — Rekiny pływają wszędzie wokół Kalifornii, więc wiedzą, jak trzymać się od nich z daleka. Pewnie, bardzo chciałabym go odnaleźć. Zawsze chciałam przeprowadzić badania nad wzajemnymi zależnościami pomiędzy morskimi drapieżcami: ssakami polującymi na ssaki, ssakami polującymi na ryby, rybami polującymi na ssaki.

— Zdawało mi się, że zajmuje się pani wyłącznie wielorybami.

— Tak było do tej pory, ale zdjęcia przynoszone nam przez uchatki na taśmie wideo są tak niezwykle, zachowanie, jakie pokazują, tak ciekawe, że nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy rozszerzyć zakresu badań.

— Nie rozumiem — powiedział Chase. — Co takiego może zobaczyć uchatka z zamontowaną na grzbiecie kamerą wideo, czego nie zobaczy naukowiec na łodzi albo nawet w batyskafie?

— Naturę — odparła Amanda. — Naturę w akcji. Wieloryby, rekiny, prawie wszystkie inne zwierzęta trzymają się z daleka od łodzi albo batyskafu, bo są dla nich obce i być może przerażające. Są dziwnymi, hałaśliwymi intruzami i jeśli nawet zwierzęta zbliżą się do nich, to ich zachowanie dalekie będzie od naturalnego. Z drugiej strony, zwierzęta są doskonale przyzwyczajone do tego, że pływają wokół nich uchatki, więc zajmują się swoimi sprawami —

odżywiają się, łączą w pary, i tak dalej, a my dostajemy to wszystko na taśmie. Poza tym, łódź podwodna jest powolna i niezgrabna, no i kosztuje majątek. Uchatka potrafi nadążyć za wielorybem i jest tania — pracuje w zamian za parę kilo ryb.

— Skąd uchatki wiedzą, że mają zrobić to, co pani chce?

— Warunkowanie i wrodzona inteligencja. Jeśli chodzi o spryt, to uchatki są w jednym szeregu z delfinami i orkami. Zbudowaliśmy model wieloryba szarego naturalnej wielkości i zamontowaliśmy go na elektrycznej łodzi podwodnej, którą wykorzystaliśmy do treningów. Daję im z łodzi serię znaków dłonią — płyn obok niego, płyn pod nim, okrąż go. Nie trzeba dużo czasu, żeby je wytresować. Chcą się uczyć.

Chase namyślał się przez chwilę, zanim powiedział:

— Czy myśli pani, że udałoby się nauczyć je filmować coś, do czego nie są w rzeczywistości przyzwyczajone, być może coś nienaturalnego, zachowanie, jakiego nigdy nie widziały?

— Na przykład?

— Sam chciałbym wiedzieć — odparł Chase. — Ale tu w oceanie coś jest nie w porządku. Albo w okolicy pojawiło się coś nowego, albo jakieś zwierzę dostało szału. — Opowiedział Amandzie o rzezi ptaków i zwierząt i o tajemnicy otaczającej śmierć Bellamych.

— Mogę spróbować — zdecydowała Amanda — kiedy tylko uchatki przyzwyczajają się do tutejszych wód. Ale pierwszeństwo ma dla mnie odnalezienie wielorybów. Wynajęłam od tego popołudnia samolot obserwacyjny.

— Samolot? — Chase gwizdnął. — Dostała pani niezłą dotację. Za taką forszę sam uwiązałbym sobie skrzydła u ramion i poleciał.

— Dotację? Dotacja jest śmieszna, siedem i pół tysiąca rocznie przez trzy lata. Utrzymuje mnie na powierzchni i nic więcej. — Zawahała się, jakby z zażenowaniem, i dokończyła. — W zasadzie jestem swoim własnym aniołem opiekuńczym.

— Jak pani to robi? — zapytał Chase.

— A jak pan myśli? Szczęśliwy zestaw genów. Mój prapradziadek był jednym z Macych — poławiaczy wielorybów. Czasami wydaje mi się, że moja kariera to pokuta za jego grzechy. Przewidział zbliżający się upadek przetwórstwa tranu i zainwestował wszystkie pieniądze w ropę. Od tej pory jesteśmy dziani. — Uśmiechnęła się — Przeżyje to pan?

— Do diabła — powiedział ze śmiechem Chase. — Już to kiedyś przeżyłem. — Opowiedział jej o swoim małżeństwie z Corinne. — Gdybym miał więcej oleju w głowie, przyjąłbym jej ofertę i pozwolił finansować Instytut. Ale nie, ja byłem zbyt dumny.

— Nieważne. Ma pan z tego małżeństwa coś znacznie lepszego.

— Co takiego?

— Syna.

— Och — westchnął. — Tak. Właśnie dowiaduję się coraz więcej na ten temat.

Dotarli do małego budynku na szczycie wzgórza, gdzie przygotował mieszkanie dla Amandy: sypialnię, kuchnię i — ponieważ salon został zajęty przez komorę dekompresyjną — drugą sypialnię umeblowaną jak salon.

— Czy jest pani głodna? — zapytał. — W dużym budynku mamy gotowe kanapki.

— Później — odparła. — Najpierw chcę panu pokazać prezent, jaki przywiozłam.

— Prezent? Nie musiała pani...

— Rodzice zawsze mi powtarzali, że nie chodzi się z wizytą z pustymi rękami. — Uśmiechając się, wzięła go pod ramię i poprowadziła na tył budynku, gdzie ład obniżał się łukiem w stronę zatoczki, której dno pogłębiono, by umożliwić do niej dostęp łodziom o dużym zanurzeniu. — Tam — powiedziała, wskazując zatoczkę. — Chciałam ją zapakować, ale...

Chase spojrział we wskazanym kierunku, a kiedy zdał sobie sprawę, na co patrzy, stanął jak wryty.

— Mój Boże... — powiedział.

Na pasie skał i żwiru na krawędzi zatoczki stało coś, o czym marzył, odkąd tylko zaczął pracę: klatka chroniąca przed rekinami. Była to prostokątna skrzynia wysokości około dwóch, szerokości półtora i długości trzech metrów, wykonana z duraluminiowych prętów i stalowej siatki. Na szczycie i na jednym boku znajdowały się wejścia, a z każdej strony widniały kwadratowe otwory o krawędzi trzydziestu centymetrów — miejsca na kamery. Do szczytu klatki przyspawano dwa pływaki.

Klatki to podstawowe wyposażenie badawcze naukowców zajmujących się rekinami, umożliwiające bezpieczny dostęp do zwierząt pod wodą i na pełnym morzu. Większość rekinów nie potrafi przegryźć duraluminiowych krat, a te, które prawdopodobnie mogą) na przykład żarłacze tygrysie albo żarłacze białe, nigdy tego nie robią. Mogą nadgryźć pręty, sprawdzając, czy są jadalne, ale żaden rekin nigdy ich nie przegryzł.

Od chwili uruchomienia Instytutu Chase usiłował zdobyć klatkę — używaną, wyrzuconą, jakąkolwiek — żeby móc wykonywać eksperymenty na głębokości. Okazało się jednak, że używane klatki są nieosiągalne. Wśród telewizji kablowych było tak wielkie zapotrzebowanie na filmy o rekinach, że komisje przechwytywały każdą klatkę, jaką udało im się znaleźć i liczyły sobie za nią lichwiarski procent. Wyrzucone klatki były wyrzucane z jednego tylko powodu. Były pogruchotane, połamane i nie nadawały się do naprawy.

A cena nowej, dobrej klatki wynosiła od jakichś dwudziestu tysięcy dolarów wzwyż.

Ta klatka wyglądała na zupełnie nową i bardzo dobrą.

— Jest wspaniała! — krzyknął, zbiegając w stronę zatoczki. — Ale jak ją pani...

— To część mojego kontraktu rozwodowego — odparła Amanda. — Mój były mąż kazał ją zbudować trzy lata temu, miał zamiar zostać supermężczyzną, fotografem rekinów, ale okazało się, że panuje ogromna konkurencja, więc przestawił się na wydry morskie. — Zamilkła i dodała z krzywym uśmiechem: — To też mu nie wyszło, więc zdecydował, że skupi się na panienkach. On wziął toyotę, ja klatkę przeciwko rekinom. Pomyślałam, że może się panu przydać.

— Pewnie, że tak. Miałem nadzieję...

— Wiem, czytałam pański artykuł na temat dynamiki ugryzień i badań nad artretyzmem. Z tej klatki powinien pan móc wykonać owocną pracę ze swoim gnatodynamometrem.

— Powiedziała to pani! — krzyknął ze śmiechem Chase. „Gnatodynamometr” był słowem za dziesięć punktów, oznaczającym prostą ideę, metodę mierzenia siły wywieranego przy ugryzieniu Przez szczęki rekina. — Nigdy nie spotkałem nikogo, kto umiałby to powiedzieć.

— Żaden problem — rzekła Amanda. — Niech mnie pan tylko nie prosi o przeliterowanie.

Gdy doszli do klatki, przejechał dłonią po aluminiowych prętach i zbadał spoiny i armaturę.

— Jest idealna — oznajmił z uśmiechem. — Nie mogę się wręcz doczekać.

— Dlaczego miałby pan czekać? Czy dziś nie jest dobrym dniem?

— Dziś? — spojrzał odruchowo na zegarek.

— Do zmroku jest jeszcze siedem czy osiem godzin — stwierdziła Amanda. — Jak daleko musi pan odpłynąć od brzegu, żeby zobaczyć rekiny?

— Niedaleko, nie w przypadku żarłaczy błękitnych. Godzina, może krócej.

— Im wcześniej wpuszczę uchatki do wody — zapewniła Amanda — tym lepiej. Mogą pływać z żarłaczami błękitnymi, lubią to. Uwielbiają się z nimi drażnić. Czy ma pan przynętę, żeby zwabić rekiny?

— Aha. — Przypomniał sobie coś i dodał: — Ale nie mam powietrza. Kompresor jest...

— Jest naprawiony — przerwała. — Pytałam Tall Mana. Pompuje właśnie butle. Mówię panu, jest podniecony na samą myśl o wyprawie.

Chase był pod wrażeniem. Więcej: był oszołomiony. Spojrzał na nią i zobaczył, że się do niego uśmiecha, ale nie z triumfem czy protekcyjnie, tylko z zaufaniem. Potrząsnął głową i powiedział:

— Zdaje mi się, że naprawdę muszę napisać ten doktorat.

— Co? Dlaczego?

— Bo na początku miała pani rację. — Uśmiechnął się. — Pani naprawdę jest kimś. Jest pani kimś!

21

Łódź Instytutu zanurzona była głęboko, bo napełniono ją paliwem, słodką wodą i załadowano aż po nadburcie sprzętem naukowym, fotograficznym i do nurkowania. Oprócz stukilogramowej klatki, którą Chase i Tall Man wywindowali na pokład rufowy za pomocą wielokrążka zawieszzonego na żurawiku, na prawej burcie, były też cztery kamery w futerałach, sprzęt wideo do nagrywania, osiem butli do nurkowania, dwadzieścia pięć kilogramów ryb dla uchatek, trzy pięćdziesięciolitrowe puszki zanęty — siekanej makreli i tuńczyka — by roztoczyć pachnącą plamę, którą porwie przyływ i która zwabi rekiny z promienia kilku kilometrów, dwie dziesięciokilogramowe skrzynki zamrożonych ryb na przynętę, roztopiających się właśnie w słońcu, trzy zestawy do nurkowania, zawierające kombinezony, maski i płetwy, w końcu lodówka pełna kanapek i napojów, przygotowanych przez Panią Bixler.

Amanda sprowadziła uchatek po ścieżce do doku, a te chętnie weszły na pokład, przechylając się z boku na bok. Zbiły się teraz w gromadkę na rufie, ich głowy kołysały się, wąsy drgały z podniecenia. Głaskała je i przemawiała do nich.

Max przyklęknął obok niej.

— Nic im nie jest? — zapytał.

— Pewnie, że nie — odparła. — Wiedzą, że łódź oznacza pracę i nie mogą się doczekać. Bardzo lubią pracować, bo często się nudzą.

Chłopiec wyciągnął dłoń, a jedna z uchatek pochyliła ku niemu głowę, żeby podrapał ją za uszami.

— Która to? — zapytał.

— Harpo.

— Chyba mnie lubi.

Amanda uśmiechnęła się.

— Na pewno tak.

Stojący na pomoście nawigacyjnym Chase włączył tylny bieg. Tall Man wlaź na pokład i posłużył się kotwicą, żeby odciągnąć łódź od skał. Gdy łódź wypłynęła z zatoczki i Chase skierował ją na głębiny, Tall Man przeniósł się na rufę i wszedł do kabiny.

Wrócił chwilę później i odezwał się do Amandy:

— Pilot pani samolotu obserwacyjnego właśnie prosił przez radio, żeby przekazać pani, że wystartuje szukać wielorybów za jakąś godzinę. Powiedziałem, że będziemy na nasłuchu na kanale dwudziestym siódmym. — Popatrzył na pomost nawigacyjny. — Na szesnastym jest komunikat — poinformował Chase'a. — Mamy rozglądać się za dzieciakiem w wodzie.

— Za kim? — spytał Chase.

— Za Bobbym Tobinem, pomocnikiem na łodzi Tony'ego Madeirasa. Mówią, że wypadł za burtę. Tony zarzeka się, że zrobił kilka kółek szukając go, ale nic nie widział.

— Wydaje się, że w okolicy panuje istna epidemia wypadania za burtę — odezwała się Amanda.

— Czemu? — spytał Tall Man. — Kto jeszcze?

— Zanim wyjechałam z Kalifornii, zadzwoniła do mnie kuzynka. Tydzień czy dziesięć dni temu

jej chłopak zniknął ze statku badawczego zaraz za Block Island. Był fotografem Geographica. Nie odnaleziono go.

Łódź nadal płynęła powoli, silnik szumiał cicho, więc Chase stojący wysoko na pomoście nawigacyjnym słyszał słowa Amandy nawet z odległości dziesięciu metrów. Zawołał do Tall Mana:

— Spróbuj znaleźć dla Maxa kamizelkę ratunkową.

— Tato... — jęknął chłopiec. — Daj spokój... nie wypadnę przecież za burtę.

— Wiem — odparł Chase. — I założę się, że Bobby Tobin też myślał, że nie wypadnie.

Gdy opływali Block Island od południa, Amanda dała Maxowi kilka ryb, żeby nakarmił uchatki, weszła po drabince na pomost nawigacyjny i stanęła obok Chase'a. Okrążając cypel, dojrzeli kilkadziesiąt osób na plaży strzeżonej. Dzieci z dmuchanymi skrzydełkami na ramionach igrały w przybrzeżnej fali. Dwóch dorosłych w pastelowych czepkach pływało w tę i z powrotem dwadzieścia metrów od linii fal. Na desce surfingowej kołysał się jakiś nastolatek.

— Za każdym razem, kiedy widzę pływających przy brzegu ludzi — odezwał się Chase — myślę, jakie to szczęście, że nie mogą popatrzeć na siebie z wysokości kilkudziesięciu metrów.

— Dlaczego?

— Bo gdyby zobaczyli, co przepływa co parę minut o trzy, cztery metry od nich, nigdy więcej nie weszliby do wody.

— Jest tu aż tyle rekinów?

— Nie, teraz już nie tyle, co dawniej. Ale nie trzeba wielu, by zaczęła się panika. Wystarczy jeden.

Sto metrów od plaży poławiacz homarów wyjmował z wody pułapki. Podpłynął do boi, chwycił ją kotwicą i wciągnął na pokład. Przełożył linę przez bloczek wyciągnika uwieszony na trójkątnej stalowej ramie, owinał ją wokół wciągarki i wywindował pułapkę na homary, zrobioną z drewna i drutów, na nadburcie łodzi.

Simon pomachał do niego. Poławiacz popatrzył w jego stronę, zaczął kiwać ręką, ale dostrzegł litery „O.I.” wymalowane na burcie wielkiej białej łodzi. Przestał machać i zamiast tego przełożył jedno ramię przez zgięcie drugiego i pokazał pięść.

— Czarujące — powiedziała Amanda.

Chase zaśmiał się.

— To Rusty Puckett — odrzekł. — Nie lubi mnie za bardzo.

— Właśnie widzę.

— Poławiacze homarów to dziwna rasa. Wielu z nich uważa, że morze jest ich prywatną spiżarnią, że mają jakieś dane od Boga prawo, by zastawiać pułapki gdzie tylko chcą i kiedy tylko chcą, że mogą łapać ile tylko zechcą i niech szlag trafi resztę świata. Niech Pan ma w opiece tych, którzy wtrącają się do ich pułapek. Pozatapiają ich, powystrzelają.

— A pan wtrącał się do jego pułapek?

— Coś w tym rodzaju. Zanim kupiłem wyspę, Puckett używał jej jako obozu, składu, śmietniska. Wszędzie zastawiał pułapki, nie tylko na płyciźnie, ale również w kanale i przy doku. Nie mogłem wpłynąć na wyspę ani wypłynąć, bo śruba ciągle plątała mi się w liny. Poprosiłem go, żeby je przeniósł, odpowiedział, żebym się odpieprzył. Więc pewnego dnia razem z Tall Manem wyciągnąłem wszystkie pułapki, opróżniłem je, zaniósłem homary do domu starców, a pułapki ustawiłem tutaj. Zajęło mu jakieś dwa tygodnie, zanim je znalazł.

Wie, że my to zrobiliśmy, ale nie może tego udowodnić. Kiedy przyszedł do nas z pretensjami, Tall Man powiedział, że to ostrzeżenie od Wielkiego Ducha. Rusty jest głupi, ale nie jest samobójcą,

nie miał zamiaru mierzyć się z Tallem, olbrzymem, który prawo traktuje podobnie jak on.

Zostawił więc pułapki na miejscu, po części dlatego, że jest zbyt leniwy, by je przenosić, po części, ponieważ połowy i tak są tu lepsze.

— Więc powinien być zadowolony.

— Tak by się wydawało. Ale Rusty pielęgnuje urazy. I nie lubi tego miejsca. Nic się tu nie dzieje, nie ma żadnego zamieszania, na nikogo nie można się zdenerwować, do nikogo strzelić.

Płynęli przez kilka minut w zupełnej ciszy. Potem Chase odwrócił się i spojrzał na rufę. Za nimi Block Island zmaląła do ledwo widocznego szarego kształtu. Zdławił silnik i wyłączył bieg.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział.

— To znaczy gdzie? — Amanda rozejrzała się dookoła. — Nic nie widzę, żadnych ptaków, ryb, tylko puste morze.

— Tak — odparł Chase. — Ale ja je czuję, czuję ich zapach, czuję niemal ich smak. —

Uśmiechnął się. — Pani nie?

— Co?

— Rekiny.

Rusty Puckett przyglądał się, jak łódź odpływa szybko na wschód, jak oceaniczne fale zdają się pochłaniać jej biały korpus, aż w końcu widział tylko od czasu do czasu błyski stalowej konstrukcji pomostu nawigacyjnego, odbijającej słońce.

Ty sukinsynu, pomyślał, a żebyś zatonął, żebyś tak zderzył się z czymś i poszedł na dno jak kamień. Albo lepiej najpierw zapal się, a potem uton. Tak, ogień jest niezły, jest w nim coś przyjemnie złego.

Może powinien wybrać się któreś nocy na wyspę i podpalić coś. Dać im nauczkę za wtrącanie się w jego sprawy. Jasne, na pewno wiedzieliby, że to on zrobił, a wtedy ten pieprzony indiański King Kong dopadłby go jak sraczka dziecko. Powinien się chyba jeszcze nad tym zastanowić.

Otworzył drzwiczki pułapki kołyszącej się na nadburciu i zajrzał do środka. W rogu siedziały dwa homary, machając czułkami w tę i z powrotem. Jeden miał dobre rozmiary, co najmniej kilka kilogramów, więc wyciągnął rękę, złapał homara za głowę, by uniknąć kleszczy, wyjął go z pułapki i wrzucił do skrzynki na pokładzie.

Drugi był dużo mniejszy, pewnie „młodziak”, mały homar, którego powinien wyrzucić do wody i pozwolić mu rosnąć jeszcze przez rok czy dwa.

Puckett rozważył, czy ma zmierzyć pancerz dla upewnienia się, że homar jest wymiarowy, ale potem pomyślał: „Do diabła, jeśli ja go nie wezmę, weźmie go ktoś inny”. Wyciągnął go więc z pułapki i jednym szybkim wirowym ruchem wyrwał mu ogon, wyrzucił głowę, nogi i wciąż wijące się kleszcze za burtę i patrzył, jak toną, znikając mu z oczu.

Położył ogon na desce do oprawiania. Później usunie pancerz i sprzeda mięso na sałatkę z homarów. Nikt się niczego nie domyśli.

Napełnił pułapkę przynętą, zamknął ją i zamocował drzwiczki, po czym zepchnął z nadburcia i poczekał, aż lina przesunie mu się między dłońmi i zwiśnie luźno, co powiedziało mu, że skrzynka znalazła się na dnie. Wyrzucił boję za burtę, włączył bieg i popłynął powoli wzdłuż liny ku następnej boi.

Dziesięć miał już za sobą, dziesięć mu zostało. Uzbierał już osiemnaście „robak”. Zanim skończy, będzie mieć pewnie trzydzieści albo więcej. Nieźle jak na jeden ranek.

Dotarł do następnej boi, wyłączył bieg, przechylił się przez burtę, złapał boję i wciągnął ją na pokład. Przełożył linę przez bloczek i owinął ją wokół wciągarki, trzymając rękę na linie, by prowadzić ją po bębnie.

Usłyszał krzyk dobiegający z brzegu. Odwrócił się i zobaczył, że wysoka dziewczyna z jasnymi włosami ucieka po twardym piasku przed kimś, kto musiał być jej chłopakiem. Ubrana była w jeden z tych kostiumów kąpielowych bikini, które są nie tyle kostiumem, co zachętą — jak je nazywają? nitką między pośladkami? — a jej cycki wielkie jak arbuzy podskakiwały w dół i w górę.

Fajne, pomyślał. Nie miałby nic przeciwko czemuś takiemu.

Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie i kopnęła w chłopaka piaskiem i wodą. Chłopak wrzasnął coś i zaszarżował w jej stronę, ale ona umknęła mu, wskoczyła do wody i zaczęła płynąć.

Chodź no tu, słoneczko, pomyślał Puckett, pokażę ci, jak to się robi.

Dziewczyna brnęła przez wodę za linią fal, drażniąc się z chłopakiem, dopóki ten nie wskoczył do wody i nie podpłynął do niej. Razem popłynęli kraulem wzdłuż plaży, przesuając się szybko z prądem.

Pałapka uderzyła o dno łodzi. Puckett wyłączył wciągarkę i odsunął linę od burty jak mógł najdalej, usiłując wyjąć pałapkę spod łodzi na powierzchnię.

Coś było nie w porządku. Pałapka zwisała pod dziwnym kątem, jakby jeden jej koniec był o wiele cięższy od drugiego. Przechylił się przez nadburcie, chwycił pałapkę obiema rękami i wywindował ją na pokład.

Z jednej strony drzazgi drewnianych listewek zwisały na kawałkach pociętego drutu.

Zajrzał do środka. Na pierwszy rzut oka pałapka zdawała się pusta — bez przynęty, homarów, nic. Potem, gdy lepiej się przyjrzał, zobaczył kawałki pancerza i dwa odnóża homarów zaplątane w drucianą siatkę.

Co u diabła? — pomyślał. Kłusownik nie zrobiłby tego, poszedłby na łatwiznę, wyciągnąłby pałapkę, otworzył drzwiczki, wyjął homary i wrzucił skrzynkę z powrotem. Rekin? Nie, rekin rozbiłby wszystko na kawałki.

Odwiązał tylko linę, a resztę zepchnął za burtę, po czym poszedł na rufę znaleźć zapasową pałapkę. Zawsze zabierał ze sobą cztery, bo nigdy nic nie wiadomo: pałapki urywają się i odpływają w czasie sztormów, są kradzione, liny bywają przecięte przez śruby napędowe. Zamontował zapasową skrzynkę, napełnił ją przynętą i zrzucił za burtę.

Z następną, jaką wyciągnął, stało się podobnie, a nawet gorzej. Dwie ścianki były wgniecione do środka, a wydarte drzwiczki zniknęły. Sześć homarzych czulek rozrzuconych było po dnie pałapki, co znaczyło, że złapały się co najmniej trzy homary. Coś rozerwało je na sztuki.

Ale co?

Żadna ośmiornica nie zrobiłaby tego. W okolicy nie ma olbrzymich węgorzy ani wystarczająco dużych i złośliwych kałamarnic.

A na przykład ogromny homar? Homary to kanibale, a wystarczająco duży homar mógłby zmiażdżyć pałapkę.

Zaraz, zaraz, powiedział sobie, taki homar musiałby mieć rozmiary cholernego Buicka.

Cokolwiek to zrobiło, było duże, silne i albo złe, albo szalone, a w dodatku pracowało z pomocą jakichś narzędzi.

Człowiek. To musiał być człowiek, ale jaki człowiek chciałby...

Chase. Simon Chase.

Jasne, to ma sens. Z jakiego innego powodu Chase machałby, mijając go? Nie są przecież kolegami od serca. Chase chce dobić starego Rusty'ego. Jest nieusatysfakcjonowany tym, że przegonił go z wyspy, gdzie tamten łowił homary przez większą część ostatnich dwudziestu lat, niezadowolony z tego, że wypchnął go tak daleko, na to cholerne odludzie. Teraz chce całkiem popsuć Puckettowi interesy.

Tak, to jest klucz, rozwiązanie tajemnicy.

Dobra, pieprzony panie Simonie Chase z pańskiego pieprzonego Instytutu na pieprzonej Osprey Island. Chce pan wojny, to będzie pan ją miał.

Obmyślając stosowny odwet, wymienił pałapkę i zapuścił silnik płynąc wzdłuż liny w stronę kolejnej boi. Istniało prawdopodobieństwo, że Chase zniszczył wszystkie pozostałe pałapki, ale Rusty musiał je wyciągnąć i się przekonać.

Gniew powrócił jak fala przyływu, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że ma jeszcze tylko dwie zapasowe pałapki, co znaczyło, że będzie musiał popłynąć do samego miasta, zabrać jeszcze kilka i

wrócić znów tutaj.

Gniew pochłonął jego uwagę, gdy sięgał po następną boję. Powinna była unosić się z prądem, lina powinna zwisać pod kątem w dół, ale działo się inaczej. Boja skakała na wodzie, jakby coś ją szarpało.

Puckett nic nie zauważył. Zaczepił boję kotwicą, wciągnął ją na pokład, owinał linę wokół wciągarki i włączył ją.

Wciągarka natychmiast zawyła, łódź przechyliła się, a lina zaczęła ślizgać się po bębnie.

A to co? — pomyślał. Ta cholerna pułapka musiała zaczepić się o skały.

Nie, niemożliwe, to było coś innego, bo wciągarka zaczęła nawijać linę powoli, jakby wciągała ogromny ciężar, ale z efektem.

Wodorosty. Wokół pułapki owinęło się pewnie sto kilo wodorostów.

Złapał dwumetrowy harpun i przechylił się przez burtę, gotów odgarnąć wodorosty przed wciągnięciem pułapki na pokład.

Nagle łódź wyprostowała się, a lina przyspieszyła.

Może wodorosty odpadły. Może...

Pojawiła się pułapka, ciemny kształt na tle zielonej mgły.

Obok niej coś dziwnego, złapało się w nią... nie, pchało ją... było białawe i...

Jezus Maria, pomyślał, to ciało.

Ale nie, to nie było ciało. Płynęło bardzo szybko, miało otwarte usta, tak samo oczy. Miało ręce — czy szpony — które wyciągały się ku niemu.

Jedna z rąk złapała harpun.

Puckett wrzasnął i usiłował pociągnąć harpun, ale ten został mu wyrwany z rąk. Zatoczył się do tyłu, wciąż krzycząc. Ramieniem potracił dźwignię, pchnął ją w przód, włączając bieg, upadł na nią, a ciężar ciała przycisnął ją do samego pokładu.

Silnik zajęczał, rufa osiadła, gdy śruba napędowa zawirowała i wgryzła się w wodę. Łódź skoczyła naprzód. Lina wymknęła się i wciągarki, wpadła w skrętach do wody, boja odbiła się od trójkątnej ramy i znikła.

Puckett nie ruszał się, aż usłyszał swój własny krzyk. Wówczas stoczył się z dźwigni i wyprostował koło sterowe.

Utrzymywał pełną szybkość łodzi, spoglądając za rufę jakby w oczekiwaniu, że cokolwiek to było, przelezie przez burtę i wejdzie do kokpitu.

Kiedy przebył jakieś pięćset metrów, zmniejszył obroty i skierował łódź, by okrążyć boję szerokim kołem. Ze stałą szybkością dwunastu, piętnastu węzłów, zbliżył się do boi na odległość stu metrów i popatrzył na nią. Unosiła się teraz na powierzchni, nie skakała, poddawała się prądowi.

Miał w głowie zamęt. Myśli, obrazy i pytania przelatywały przez nią bez celu, jak kulka w bilardzie.

Po kilku chwilach poczuł dreszcze, a potem ogarnęły go mdłości.

Pchnął dźwignię w przód i skierował łódź w stronę domu.

Z miejsca, gdzie wyszli z wody na plażę, para młodych ludzi obserwowała łódź odpływającą hałaśliwie w kłębie spalin.

— Ciekawe, co mu się stało — zastanawiała się dziewczyna.

— Może w śrubę zaplątała mu się lina — orzekł chłopak. Zlustrował wzrokiem plażę. — Ej, słuchaj.

— No co?

— Może byśmy popływali nago?

— Chcesz mnie tylko obmacać — odpowiedziała z uśmiechem dziewczyna.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak. Przyznaj się.

Chłopak zawahał się, uśmiechnął i powiedział:

— Dobra, przyznaję się.

Dziewczyna sięgnęła ręką za siebie, pociągnęła tasiemkę, spadł jej biustonosz.

— Widzisz? — powiedziała. — Oplaca się być szczerym — Rozwiązała tasiemkę na biodrze i dolna część kostiumu upadła na piasek. Odwróciła się, przeskoczyła niskie fale i zanurkowała do wody, podczas gdy chłopak walczył z kąpielówkami.

Pływało bez celu nad ławicą piasku, szukając oznak życia.

Choć nie znało pojęcia czasu, nie rozumiało, że cykl światła i ciemności sygnalizuje jego upływ, to wyczuwało, że odstępy pomiędzy drażniącymi, morderczymi bodźcami stają się coraz krótsze.

Jego metabolizm, który przez całe lata funkcjonował na poziomie zdolnym zaledwie podtrzymać prymitywne życie, teraz w odpowiedzi na wzmożoną aktywność przyspieszał, przywracał mózgowi czucie, spalał coraz szybciej kalorie.

Usłyszało niewielki ruch gdzieś przed sobą, poza polem widzenia, popłynęło jego śladem, aż natrafiło na kolejną z dziwnych skrzynek z drewna i drutu. W środku były dwie małe żywe istoty. Zniszczyło skrzynkę i pożarło je.

Zaczęło schodzić wzdłuż piaszczystego zbocza na głębszą wodę, gdy nagle wyczuło w górze ruch. Przystanęło, siłą woli powstrzymało rytmiczną pulsację skrzelii, skoncentrowało czułe receptory po obu stronach czaszki na źródle zmian ciśnienia wody.

Nie mogło dokładnie wyizolować miejsca, ale wyczuło kierunek, więc otwierając przepastną paszczę, wysuwając do przodu zęby, zginając szpony, pomknęło cicho w stronę ofiary.

Chłopak dogonił dziewczynę, objął ją od tyłu i nakrył jej piersi dłońmi.

Wrzasnęła, obróciła się w jego stronę i podniosła rękę, by wymierzyć mu policzek. Złapał jej dłoń, położył sobie na szyi, wychylił się w przód i pocałował ją.

Przylgnęli do siebie i opadali powoli, aż ich głowy zanurzyły się pod wodą. Rozdzielili się i wypłynęli na powierzchnię.

— Jak tu głęboko? — zapytała dziewczyna, łapiąc oddech.

— Nie wiem, piętnaście metrów, może więcej.

— Skóra mi cierpnie, jak nie widzę dna.

— Myślisz, że coś cię zje? — zaśmiał się chłopak.

— Chcę wrócić.

— Dobrze.

— Tam, gdzie można dotknąć dna.

— To chodźmy. — Chłopiec przepłynął kawałek w stronę brzegu. Nagle zatrzymał się i zapytał:

— Co to było?

— Co?

— Coś pod nami. Nic nie czułaś?

— Zamknij się — powiedziała dziewczyna. — To wcale nie jest śmieszne.

— Mówię poważnie. Jak fala, parcie wody. Już zniknęło.

— Nie znoszę cię, Jeffrey... To nie jest śmieszne.

— Mówię ci... — zaczął chłopak, ale dziewczyna już go wyprzedziła i rozgarniała wodę, płynąc

w stronę brzegu.

Widziało je teraz, wysoko w górze, dwie żywe istoty, duże, słabe, niezdarne.

Rzuciło się w górę.

Nagle poczuło cios, zderzenie, ale nieszkodliwe. Zdezorientowane, zakręciło się w kółko, szukając rzeczy, która je uderzyła.

Na krańcu pola widzenia znajdowała się wielka istota, większa od niego, o matowym kolorze ledwie odróżniającym się od otaczającej ją wody, z płetwami na grzbiecie i po obu stronach. Półksiężyc ogona wprawiał ją w wolny ruch po okręgu. Miała otwartą paszczę, jedno oko gapiło się pusto.

Stworzeniu przypomniało się słowo oznaczające tę istotę, wyraz z zamglonej przeszłości. Tym słowem było Hai — „rekin” — a wraz z nim nadeszło przecucie niebezpieczeństwa. Stworzenie zwróciło się w stronę rekina, gotowe się bronić.

Rekin machnął ogonem i rzucił się w przód, rozwierając paszczę.

Stworzenie odskoczyło, wycofując się i skręcając w bok. Rekin przemknął obok. Natychmiast zawrócił i znów zaatakował. Stworzenie zanurkowało pod niego, wyciągając w górę szpony. Pazury natrafiły na mięso i cięły, ale ciało było twarde i sztywne. Nie popłynęła krew.

Tym razem rekin popłynął przed siebie, rozgarniając ogonem wodę i znikając w szarozielonej mgle.

Stworzenie opadło na dno. Zorientowało się w terenie i zbadało powierzchnię, szukając dwóch dużych żywych istot.

Zniknęły. Wody nie zakłócały żadne dźwięki ani zmiany ciśnienia.

Stworzenie zwróciło się ku głębinie, by dalej polować.

Na brzegu dziewczyna owinęła się ręcznikiem, pozbierała części kostiumu i odeszła, zostawiając chłopcu poszukiwanie kąpielówek w trawie na wydmach, gdzie je porzucił.

Łódź była zakotwiczona na wodzie o głębokości sześćdziesięciu metrów. Klatka unosiła się pięć metrów dalej, uwiązana na linie umocowanej na rufie. Przez godzinę Chase i Tall Man łyżkami wylewali za burtę zanętę, więc nieruchome powietrze w kokpicie śmierdziało krwią i tranem. Za łodzią rozpościerała się na wodzie unoszona prądem plama oleju. Jej tęczowa powierzchnia wyraźnie odróżniała się od spokojnej wody.

Na dwóch butlach do nurkowania umocowano uprząże i automaty. Leżały teraz na pokładzie obok płetw i masek. Amanda i Chase naciągnęli dolną część kombinezonów do nurkowania, góra zwisała luźno. Ich ramiona i ręce błyszczały od potu. Plecy Amandy zaczerwieniły się od słońca.

Przeszła na dziób, zanurzyła w wodzie wiadro, wróciła i delikatnie ochlapała uchatki, które leżały zbite w kłęb i spały.

— Mam zamiar niedługo wrzucić dziewczyny do wody — powiedziała. — Nie zniosą tego upału.

— W radio mówili, że dziś może dojść do czterdziestu stopni — rzucił Tall Man ocierając twarz. — Założę się, że...

— Rekin! — krzyknął nagle z pomostu nawigacyjnego Max. — Widzę rekina!

Spojrzeli za rufę. W odległości pięćdziesięciu metrów plamę oleju przecinała trójkątna płetwa grzbietowa. Płetwa ogonowa uderzała za nią w tę i z powrotem.

— To żarłacz błękitny — oświadczył Chase. — Wiedziałem że je zwabimy.

— Jak może je pan odróżnić z takiej odległości? — spytała Amanda.

— Krótka, kikutowata płetwa grzbietowa... ostra płetwa ogonowa... ciemnoniebieski kolor.

— Jak duży?

— Sądząc po odległości pomiędzy płetwą grzbietową i ogonową powiedziałbym, że jakieś trzy, trzy i pół metra. — Popatrzył na syna. — Dobra robota. Patrz uważnie, przyplyną następne.

— Tam! — krzyknął Max, wskazując palcem. — Za nim... nie, dwa! Są dwa następne!

Jakby czując podniecenie w głosie chłopca, uchatki poruszyły się i uniosły na płetwach, węsząc.

— Przygotujmy się — zwrócił się Chase do Amandy. Wrzucił łyżkę do wiaderka z przynętą.

Zanim naciągnęli kombinezony do nurkowania, założyli butle i opłukali maski, sześć żarłaczy błękitnych pływało w poprzek plamy oleju, za każdym razem coraz bardziej zbliżając się do klatki.

— Rzuć im od czasu do czasu parę ryb — poprosił Chase Tall Mana — żeby nie straciły zainteresowania. Otworzył właz między stopami, sięgnął w dół i wyciągnął dwa zszyte ze sobą kawałki białego plastiku o rozmiarach zeszytu. Do krawędzi doszyty był kawałek liny.

— Co to jest? — spytała Amanda. — Plastikowa kanapka?

— Tak. — Chase uśmiechnął się. — Ale my, naukowcy na światowym poziomie, nazywamy ją gnatodynamometrem.

— Żartuje pan.

— Nie. Proste i skuteczne. Plastik o dokładnie zbadanej twardości. A w środku — ciągnął Chase odchylając kawałki plastiku — makrela. Kiedy Tall Man zacznie karmić rekiny, wystawię tę kanapkę przez jeden z otworów na kamery. Rekin wywacha makrelę i wgryzie się w plastik. Pozwolę mu go ogryzać ile będzie chciał, a potem mu go zabiorę. Wezmę plastik do laboratorium, za pomocą

mikrometru zbadam, jak głęboko się wgrzył, a tabele pokażą, jaki wywarł nacisk.

— Nieprawdopodobne — zdumiała się Amanda. — Cały ten instrument musiał kosztować koło trzech dolarów.

— Dokładnie dziesięć. Ale proszę doliczyć koszt klatki, łodzi, paliwa i załogi, a rozmawiamy już o stu tysiącach. — Chase zamilkł, obserwując, jak rekiny krążą w pobliżu klatki, i zapytał: — na pewno chce pani wrzucić uchatki do wody?

— Zobaczysz pan — odparła z uśmiechem. — Wystrychną pańskie rekiny na dudka. — Otworzyła drzwiczki poprzecznicy, stanęła na schodku, przyciągnęła do siebie wiadro z rybami i wywoływała każdą uchatkę po imieniu. Po kolei podchodziły do niej rozkołysanym krokiem, dostawały rybę, a kiedy machnęła ręką i wyrzuciła ramię w stronę wody, klapnęły na schodek i buchnęły do morza.

Chase przyglądał się, jak ich brązowe ciała migoczą pomiędzy metalicznymi grzbietami rekinów i rzucają się w błękit wody.

— Jest pan gotowy? — spytała Amanda. Sięgnęła przez drzwi po swoją kamerę wideo.

Nie odpowiedział. Nadal przyglądał się wodzie, nawet gdy uchatki zniknęły z pola widzenia. Był podniecony, tak jak się spodziewał. Nie oczekiwał jednak niejasnego uczucia niepokoju, które przyćmiło podniecenie. Nie był to strach, nic konkretnego, raczej jakieś złe przeczucie.

— Proszę się nie przejmować moimi uchatkami — uspokoiła go Amanda. — Nic im nie będzie.

— Nie przejmuję się — odparł. — Nie przejmuję się też żarłaczami. Nie mogę się tylko powstrzymać, żeby się nie zastanawiać co jeszcze, do diabła, się tam kryje.

— Zapomnij, Simon — odezwał się Tall Man.

Podniósł linę przywiązaną do klatki i pociągnął ją, przesuwając pudło na rufę łodzi. — Tej klatce nic nie da rady.

— Masz rację — odpowiedział Chase. Przyklęknął na schodku, Pochylił się nad klatką i otworzył właz na szczycie. Któryś rekin potracił klatkę pyskiem i odpłynął.

Chase wyprostował się, założył maskę i ustnik. Nagle usłyszał głos syna:

— Tato...

Podniósł głowę w stronę pomostu nawigacyjnego. Z oddali chłopiec wydawał się mały.

— Bądź ostrożny — poprosił Max.

Chase pokazał mu uniesiony kciuk, naciągnął na twarz maskę, przytrzymał plastikową kanapkę przy piersi i zszedł przez właz do zimnej, ciemnej wody.

Amanda natychmiast poszła w jego ślady. Gdy Tall Man ujrzał, że siedzi bezpiecznie wewnątrz klatki i że zamknęła za sobą właz, popuścił linę. Klatka opadła w dół, a lina się naprężyła. Tall Man upewnił się, że węzeł na cumie jest solidny, wyrzucił za burtę kilka makreli i zaczął znów wylewać przynętę.

Dopiero po dłuższej chwili pęcherzyki powietrza rozproszyły się, a woda wyklarowała. Chase zerknął na Amandę, zobaczył, że przygotowuje kamerę wideo i rozejrzał się po otaczającym ich błękitcie.

Powyżej makreła chlupnęła do wody i opadała blisko klatki, kołysząc się jak liść. Zza rogu klatki rzuciła się na nią uchatka, pochwyciła ją w zęby i przez moment unosiła bez ruchu, jakby pozowała Amandzie. Następnie wgrzyła się w makrele, po obu stronach pyska buchnęła krew, uchatka odpłynęła żując.

Chase rozejrzał się za rekinami. Zauważył trzy w odległości piętnastu, dwudziestu metrów, na granicy pola widzenia — ciemne kształty przepływające bez pośpiechu w tę i z powrotem. To nie potrwa długo, pomyślał, są tylko ostrożne, za minutę przyzwyczają się do nas i przyplyną, żeby się

pożywić.

Trzy następne makrele spadły obok klatki. Uchatka złapała jedną z nich, dwie pozostałe wciąż opadały.

Dwa czy trzy rekiny odwróciły się i podpłynęły w stronę klatki. Ich ruchy nie były już wolne i miękkie, ale szybkie i nagłe. Nie krążyły już w wodzie, polowały.

Dokładnie naprzeciwko Chase'a, nie dalej niż w odległości jednego metra, znajdowała się makrela. Jeden z rekinów zbliżył się do niej jak samolot myśliwski mierzący do celu. Otworzył paszczę, przewrócił się na bok, powieka migawkowa osłaniająca oko zsunęła się w dół...

Nagle rekin zatrzymał się jak wryty i wygiął ciało w łuk. Zawrócił w ostrym wirażu i czmychnął w ciemność. Nietknięta makrela wciąż opadała na dno.

Chase spojrzął na Amandę i rozłożył ramiona — o co tu w ogóle chodzi? Wiedział, że chociaż żarłacze błękitne rzadko atakują ludzi, to nie boją się ich. A jednak z całą pewnością zauważył, że rekin wpadł w nagłą panikę, kiedy ich ujrzał. Amanda wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

Chase wypchnął plastikową kanapkę przez otwór na kamerę, ścisnął ją, by zapach ryby przedostał się do wody i zamachał nią nęcąco.

Uchatka podpłynęła i powąchała, ale Amanda pokazała jej, że ma odejść i zwierzę usłuchało.

Przez pręty na dnie klatki Chase ujrzał, że od spodu podnosi się rekin, który wyczuł zapach i szukał jego źródła. Wysunął plastik jak najdalej z klatki, pozwalając mu luźno zwisać na linie. Rekin uniósł się, skręcił i zawrócił.

Chodź tu, kochanie, szeptał w duchu Chase, chodź tutaj.

Rekin otworzył paszczę, pokazując rzędy małych białych trójkątów. Znajdował się półtora metra od przynęty, metr...

Chase ścisnął linę najmocniej jak mógł, wiedząc, że będzie musiał walczyć, by nie pozwolić rekinowi wyrwać sobie całego urządzenia. Gdy rekin przewrócił się na bok, ujrzał jego oko.

Rekin zastygł, jakby uderzył o mur. Zamknął paszczę, machnął dwa razy silnym ogonem i zniknął w głębinie.

Chase odwrócił się do Amandy i pokazał kciukami w górę. Odbił się od dna klatki, pchnął i otworzył właz i wyciągnął się z wody, opierając łokcie o górę klatki. Wyjął ustnik i podniósł maskę.

— Co je odstrasza? — zapytał Tall Man, który widział wszystko z powierzchni.

— Nie wiem, niech mnie szlag.

Amanda precyzyjnie się przez właz i dołączyła do niego.

— Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego — oświadczył. — Żarłacze błękitne nie boją się ludzi.

— Te na pewno się boją — odparła. — Widział pan blizny u tego ostatniego?

— Nie, gdzie?

— Na całym jednym boku. Nie były to rany zadane w czasie walk przed kopulacją, bo takie już widziałam. Ani też przypadkowe. To było pięć długich cięć, w miarę równoległych. I świeżych.

— Pięć? — zapytał. — Jest pani pewna?

— Na sto procent. Czemu pan pyta?

— Jakiś tydzień temu widzieliśmy dużego delfina z pięcioma głębokimi cięciami na ogonie.

— Od czego?

— Oto jest pytanie. — Chase spojrzął na przyjaciela. — Co o tym myślisz?

— Dajmy im jeszcze jedną szansę — zaproponował Tall Man. Opróżnił do wody wiadro zanęty, potem wrzucił tuzin makreli. — Jeśli to ich nie zwabi, to nic im nie pomoże.

Czekali przez chwilę, patrząc na rozpraszającą się w wodzie krew i wnętrzności. Potem opuścili

się z powrotem do klatki.

W wodzie kłębiły się chmury czerwieni, rybie ciała opadały jak śmieci. Chase dostrzegł we mgle dwa rekiny oddalone o pięć, dziesięć metrów, ale zanim sięgnął ręką w górę i zabezpieczył właz, zniknęły. Sprawdził zegarek, złapał się prętów i wyjrzał przez otwór na kamerę. Po pięciu minutach krew zniknęła, a ryby osunęły się na dno. Jedyne żywe istoty, jakie widział Chase, były bawiące się uchatki, przepływające pojedynczo i parami.

Dał sygnał do powrotu.

Kiedy weszli na pokład łodzi i zdjęli butle, odezwał się do Amandy:

— To nie ma sensu, coś jest nie w porządku. Wygląda to prawie tak, jakby przekazywały sobie hasło: „Trzymajcie się z daleka, ludzie to złe wieści”. Ale to niemożliwe. Chyba że w wodzie pojawiła się jakaś anomalia elektromagnetyczna, którą wszystkie od razu wyczuwają i która ma jakiś związek z ludźmi.

— Moje uchatki pierwsze by ją wyłapały — zaprotestowała Amanda. — Nie mam zamiaru obrażać pańskich rekinów, ale moje dziewczyny mają trochę wyższy poziom inteligencji.

— Być może — odezwał się Tall Man — ale pani uchatek tu nie było, gdy działo się coś złego. Nie dostały jeszcze lekcji.

Chase zapytał:

— Czy chce je pani zawołać, zabrać na pokład?

— Mogę, jeśli ruszymy — odparła Amanda. — W przeciwnym wypadku wrócą, kiedy będą gotowe.

— Pomyślałem, że możemy spróbować w jeszcze jednym miejscu, tak dla...

— Tato... — zawołał Max ze swojego stanowiska na pomoście nawigacyjnym. — Czy mogę wejść do klatki?

— To znaczy z butlą? Nie wydaje...

— W okolicy nie ma rekinów.

— Tak, ale nie wydaje mi się, żeby woda głębokości sześćdziesięciu metrów z ośmiokilometrową plamą zanęty na powierzchni była najlepszym miejscem na rozpoczęcie...

— Proszę... Przecież będę w klatce. Z tobą. — Max uśmiechnął się, błagając ojca. — Czym się zajmujesz? Że piorun w nas uderzy?

Szukając poparcia, Chase spojrział na Amandę i na Tall Mana, ale żadne nie przyszło mu z pomocą. Pora ojcowania, pomyślał, zdaje się, że takie decyzje trzeba podejmować, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. W końcu zdecydował:

— Zgoda.

Max nie miał kombinezonu do nurkowania, więc Amanda pożyczyła mu swój, nieco na niego za duży. Pewnie nie utrzyma ciepła, ale ochroni go przed zranieniem albo potłuczeniem o pręty klatki. Chase założył mu butlę, a gdy obaj byli ubrani i gotowi, przeprowadził krótkie ćwiczenie z nurkowania.

— Najważniejszą rzeczą — powiedział na koniec Chase — jest nigdy nie...

— Wiem, nie wstrzymywać oddechu. Ale nie zejdziemy przecież za głęboko.

— Klatka będzie przy samej powierzchni, ale mimo wszystko znajdziesz się metr, półtora pod wodą. Zatorów można dostać na głębokości pół metra. — Chase przerwał. — Gotowy?

— Gotowy.

— Pójdę pierwszy. Tall powie ci, kiedy masz zejść. Amanda ci pomoże. — Chase zerknął błagalnie ku niebu i wszedł przez właz do klatki.

Chwilę później Max prześlizgnął się przez właz, lądując na obu stopach. Przemył maskę i oczyścił automat.

Chase zauważył, że chłopcu brakuje trochę ciężaru. Pływalność kombinezonu podnosiła go z dna klatki, więc pokazał synowi, że ma się chwycić prętów. Razem wpatrzyli się w puste morze.

Nie widzieli rekinów ani uchatek, zupełnie nic. Nagle Max upadł na kolana, spojrzał w dół, trącił nogę Chase'a i wskazał coś palcem. Głęboko pod nimi znajdował się ledwo widoczny pojedynczy mały rekin. Wokół niego kręciła się uchotka, drażniąc się z nim. Chłopiec przycisnął nos do dna klatki, chcąc wszystko wyraźnie widzieć.

Zwierzęta znajdowały się tuż za krawędzią pola dobrego widzenia. Gdyby się tylko podniosły, pomyślał Chase, choćby o trzy metry, Max mógłby im się przyjrzeć. Nagle przypomniał sobie o pływakach i zdał sobie sprawę z tego, że jeśli zwierzęta nie zbliżą się do nich, mogą opuścić klatkę na dół. Pochylił się i sprawdził wskaźnik powietrza zamocowany na automacie Maxa. Siedemdziesiąt atmosfer. Mnóstwo. Wyciągnął w górę dłoń i odkręcił zawory w obu pływakach, wpuszczając do nich wodę.

Klatka zaczęła opadać. Przez moment drgała, potem zaczęła opuszczać się równo, bo Tall Man popuścił linę z pokładu. Kiedy wskaźnik głębokości umieszczony na jednym z pływaków powiedział mu, że góra klatki znajduje się na głębokości pięciu metrów pod powierzchnią, Chase zakręcił zawory i odkręcił dwa inne, pompując do pływaków powietrze, dopóki klatka nie osiągnęła ujemnej pływalności.

Teraz wyraźnie było widać rekina i uchatkę — dwa ciemne kształty na tle błękitnego płótna morza. Kilka banieczek uleciało w górę, gdy uchotka wypuściła z pyska trochę powietrza.

Nagle uchotka oderwała się gwałtownie od rekina i wystrzeliła w górę. Najpierw Chase pomyślał, że zwierzę zmęczyło się zabawą albo musi zaczerpnąć powietrza, ale w jej ruchach było coś dziwnego, pewien pośpiech, który powiedział mu, że się myli. Uchotka przemknęła obok klatki i pognęła w stronę łodzi. Śledząc wzrokiem jej pęd ku powierzchni, Chase zobaczył, że pozostałe uchutki, dwie razem, jedna oddzielnie, płyną do łodzi z tą samą szaleńczą szybkością.

Na Boga, pomyślał Chase, co znów?

— Wydaje mi się, że mają dość — oznajmił Tall Man, obserwując uchutki gramolące się na schodek. Szczekały, przepychały się, rozpaczliwie pragnąc dostać się na pokład.

— Nie — powiedziała zaniepokojona Amanda. — Coś je przstraszyło. Tam coś jest.

— Na przykład? — Tall Man spojrzał za burtę. Ledwie widział klatkę, bo zanurzając się, przesunęła się w cień łodzi. Trzymając linę przeszedł z jednej burty na drugą, potem wrócił na rufę. — Nic nie ma — powiedział. — Nic tam nie widzę.

— A jednak coś tam jest — odparła Amanda. — Coś... Gdzieś...

— Cokolwiek to jest, musi być głęboko. Albo bardzo głęboko, albo... Cholera!

— Co?

— Pod łodzią. — Zaczął ciągnąć linę.

Klatka drgnęła, gdy szarpnęła ją lina. Chase sięgnął, by odkręcić zawory z powietrzem.

Nad nimi przemknął cień, tak wielki, że całą klatkę zalała ciemność. Chase podskoczył i spojrzał w górę. Błysk słonecznego światła oślepił go na chwilę i dezorientował. Zanim oczy przyzwyczyły się do blasku, stracił pewność co do kierunku, w jakim odpłynął cień. Odwrócił się.

W odległości trzech metrów, wynurzając się z cienia łodzi, płynąc w stronę klatki z pełnym siły wdziękiem, który Chase dawniej podziwiał, a teraz uznał za odrażający, znajdował się żarłacz biały. Nie zwolnił, nie zawahał się. Oczy przewróciły się w oczodołach, paszcza rozwarła, dziąsła

wysunęły do przodu, ząbkowane białe trójkąty stanęły sztywno. Rekin wgrzył się w klatkę.

Chase schylił się odruchowo i rzucił na Maxa. Chłopiec odwrócił głowę, oczy rozszerzyły mu się z zaskoczenia.

Rozległ się dźwięk zgrzytania zębów o metal, następnie chrupnięcie pękającego metalu, w końcu gwałtowny syk powietrza i eksplozja banieczek powietrza.

Klatka zachybotła się szaleńczo, huśtając się pod pokładem łodzi i uderzając o stępkę. Chase od razu zrozumiał, co się stało. Rekin zniszczył jeden z pływaków.

— Niech to szlag! — krzyknął Tall Man. Kiedy napręzał linę, ścięgnię na rękach i ramionach napięły mu się jak druty. Zauważył rekina tylko sekundę wcześniej, zanim ten uderzył, szarżując spod pokładu łodzi jak szara torpeda.

Amanda wyciągnęła ręce, chwyciła linę i pomogła mu ciągnąć.

— Myślałam, że rekiny nigdy...

— Tak — odparł Tall Man. — Ale ten zaatakował.

— Dlaczego?

— Bóg jeden wie.

Słyszeli, jak klatka odbija się od stępki, wyczuwali stopami uderzenia.

— Czy może pan założyć linę na wciągarkę?

— Nie odważyłbym się. To draństwo waży ponad tonę, ciężar mógłby zerwać linę z klatki.

— Co robić? Musimy...

— Jeśli wypłynie spod łodzi, zastrzelę sukinsyna — obiecał. — Na razie możemy się tylko modlić, żeby sobie poszedł.

Chase i Max wcisnęli się w kąt klatki, obejmując się i przytrzymując prętów. Klatka huśtała się na oślep pod pokładem łodzi.

Rekin zacisnął szczęki, rzucał i walił masywnym ciałem, jakby chciał rozbić klatkę na kawałki.

Chase zobaczył, że banieczki powietrza unoszą się z automatu syna jednostajną strugą. Za szybko oddychał. Zwrócił na siebie uwagę chłopca, wskazał na swój automat, potem na jego i gestem nakazał mu zwolnić oddychanie. Przerażony Max pokiwał głową.

Nagle rekin wypuścił klatkę, która opadła w dół, zawisając krzywo. Chase ujrzał, jak szeroki biały brzuch rekina przesuwają mu się wolno przed oczami, a zwierzę opuszcza się w dół. W ciele, tuż przed stekiem widniało pięć równoległych blizn po cięciu.

— Ciągniemy! — powiedział Tall Man. Razem z Amandą oburącz wciągali linę. Patrząc za burte ujrzeni, że szczyt klatki wynurza się spod pokładu łodzi. Rekin był jedną szarą masą, unoszącą się prawie bez ruchu pod klatką. Tall Man rzucił się na schodek i wysunął linę daleko poza rufę. — Jeszcze półtora metra i będziemy...

— Nie! — krzyknęła Amanda, pokazując coś palcem.

Błysnął podobny do kosy ogon, woda zagotowała się, stożkowata głowa rekina przebiła powierzchnię. Paszcza rozwarła się nieco. Rekin uderzył o schodek, ześlizgnął się i złapał linę. Jednym ruchem głowy wyrwał Tall Manowi linę z ręki i zerwał ją z klatki. Tall upadł do tyłu na rufę.

Rekin odpłynął. Klatka zaczęła opadać.

Chase z trudem stanął na nogi. Chwycił zawór powietrzny na nietkniętym pływaku i przekręcił go do samego końca. Rozległ się syk powietrza i klatka zaczęła opadać wolniej. Wciąż jednak spadała.

Nadmuchał kamizelki ratunkowe synowi i sobie w nadziei, że poprzez zmniejszenie ciężaru i dodanie pływalności zatrzyma klatkę, nada jej neutralną pływalność, dopóki Tall Man nie spuści im liny.

Klatka nadal spadała. Chase popatrzył na wskaźnik głębokości na pływaku. Wskazówka przekroczyła dziesięć metrów, jedenaście, dwanaście..

Rozejrzał się szybko we wszystkie strony. Rekin zniknął.

Piętnaście metrów.

Chase wiedział, że nie ma wyboru. Nie mogli płynąć w klatce na samo dno. Obu zabraknie powietrza, prawdopodobnie zanim dotrą do dna, z pewnością zanim Tall Man ich wyciągnie.

Poderwał chłopca na nogi i pchnął właz. Położył ręce na ramionach Maxa i spojrzał mu w oczy, pragnąc, by ten przypomniał sobie lekcje, jakie pobrał, modląc się, by je pamiętał.

Osiemnaście metrów...

Chase wypchnął Maxa przez właz i natychmiast sam przezeń przeszedł. Wziął chłopca za rękę i odwrócił się do niego, by śledzić oddychanie syna.

Wznosili się za szybko, szybciej niż wypuszczane przez nich pęcherzyki powietrza. Powietrze w ich kamizelkach rozszerzało się, ciągnąc ich w górę. Musieli zwolnić. Gdyby nadal wznosili się w tym tempie, ryzykowali pęknięcie płuc, zator naczyń albo chorobę kesonową.

Chase wypuścił z kamizelek trochę powietrza. Zwolnili. Teraz pęcherzyki powietrza wyprzedzały ich. Dobrze.

Spojrzał na swój wskaźnik głębokości. Dwanaście metrów... Jedenaście... Nie patrzył w dół, wzrok trzymał utkwiony w twarzy syna. Nie widział, czy rekin wynurza się pod nimi.

Sześć metrów... Pięć...

Nagle coś powyżej plusnęło, woda wzburzyła się i podpłynął do nich Tall Man z podwodną strzelbą w dłoni.

Teraz Chase popatrzył w dół i ujrzał ziejącą paszczę i opadniętą w dół szczękę wielkiego białego rekina, wznoszącego się w ciemnościach jak pocisk.

Tali nacisnął spust. Ze zbiornika wydobyła się chmura pęcherzyków dwutlenku węgla, z lufy wystrzelił harpun. Uderzył rekina w samą paszczę i utknął. Rekin zawahał się, potrząsając łbem, żeby pozbyć się dokuczliwego przedmiotu. Wgryzł się w niego, wyginając harpun i miażdżąc go.

Chase wystrzelił na powierzchnię, pociągnął za sobą syna i pchnął go na schodek. Amanda chwyciła chłopca i wywindowała go do łodzi. Chase zarzucił nogi, wtoczył się na schodek i sięgnął w dół, wyciągając rękę do Tall Mana.

Ale ten został tuż pod powierzchnią, patrząc w dół. W końcu wypchnął w górę nogi i jednym ruchem ciała rzucił się na schodek.

Chase strząsnął z siebie uprząż, zrzucił butlę na pokład i podczołgał się do syna. Chłopiec leżał na boku, Amanda pomagała mu zdjąć butlę.

— Nic ci nie jest? — zapytał go Chase.

Max miał zamknięte oczy. Potrząsnął głową, wymusił słaby uśmiech i powiedział:

— Jezu...

— Byłeś wspaniały... Postępowałeś według reguł... Nie wpadłeś w panikę. Byłeś naprawdę wspaniały! — Chase czuł się winny, było mu głupio, odczuwał ulgę i dumę. Chciał wyrazić wszystkie te uczucia, ale nie wiedział jak, więc po prostu wziął w ręce dłoń syna, potarł ją i powiedział: — Co za piekielny wstęp do nurkowania na otwartym morzu. — Zobaczył, że Tall Man idzie na dziób, do kabiny, i zawołał: — Ej, Tall... Dzięki. Nie patrzyłem. Nie widziałem, że się zbliża.

— Wiem. Pomyślałem sobie, że lepiej dam draniowi do żucia coś innego niż wy. Wiesz, to był nasz rekin. Ciągle ma na sobie sygnalizator.

— Nigdy nie widziałem podobnego zachowania, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Dostała szału! Dziwne, tak jak te błękitne, tylko dokładnie odwrotnie. Biały miał napad agresji, a nie strachu. — Chase zamilkł. — Ale cokolwiek wywołuje takie zachowanie, jest to to samo stworzenie. Ten biały miał na brzuchu pięć blizn.

Podnieśli kotwicę, zawrócili na zachód, w stronę domu. Chase stał przy sterze na pomoście nawigacyjnym, Max leżał za nim na ręczniku, wygrzewając się w promieniach popołudniowego słońca, wciąż świecącego wysoko na niebie. Amanda karmiła uchatki. Gdy ułożyła je na rufie, weszła po drabince na pomost.

Niski kontur Osprey Island pojawił się właśnie w polu widzenia, kiedy Tall Man podszedł do stóp drabinki i odezwał się do Amandy:

— Pani pilot nadaje przez radio. Ma wieloryby.

— Jak daleko?

— Niedaleko, kilka mil na wschód.

Zawahała się. Spojrzała na zegarek, na uchatki, w końcu na Chase'a.

Chase zapytał syna:

— Jak się czujesz?

— Dobrze — odparł. — W porządku. Popłynemy. Nigdy nie widziałem wielorybów.

Chase odwrócił się do Amandy.

— To zależy od pani — powiedział. — Czy uważa pani, że uchatki będą chciały pracować?

— Oczywiście, dopóki się nie zmęczą, wtedy przestaną.

— Nie są wystraszone?

— Nie, chyba nie. Jeśli zobaczą białego rekina, wyjdą z wody, tak jak wcześniej. Poza tym, rekiny trzymają się z daleka od stad dużych, zdrowych wielorybów.

— Aha — odpowiedział. Przekręcił koło sterowe na lewo i skierował łódź na wschód. — Nie miałem na myśli tylko białego rekina.

24

— Nie słyszę ich — powiedział Max.

Dwieście metrów przed nimi stado długopłetwców przesuwano się bez pośpiechu na północ.

— Usłyszałybyś, gdybyś był pod wodą — odparł Chase. — Słyszałybyś je na kilometr.

— Ale jeśli śpiewają...

— To niezupełnie śpiew. Tak się go nazywa, bo nie wiadomo, jak to lepiej opisać. W rzeczywistości nie mają głosu. Wytwarzają dźwięki specjalnym mechanizmem wewnątrz głowy. I nie robią tego bez przerwy.

Stali na pomoście nawigacyjnym. Łódź sunęła leniwie, kołysząc się powoli na długich oceanicznych falach.

Ogromne szare ciała toczyły się przez morze, przesuwając całe góry wody wielkimi bulwiastymi głowami, wystawiając duże płaskie ogony o szerokości pięciu czy sześciu metrów, wyrzucając w ciepłe powietrze fontanny wilgotnej mgły. Były tam dorosłe wieloryby i młode, samce i samice, ale nie dało się ich policzyć, bo co pewien czas jeden czy dwa trzykrotnie uderzały ogonami o powierzchnię wody i znikwały nurkując głęboko, by po kilku minutach ponownie pojawić się w jakimś nieprzewidywalnym miejscu między swymi pobratymcami.

— O czym mówi ich pieśń? — spytał Max.

— Przez długi czas nikt nie wiedział. Wiadomo było tylko, że wieloryby się porozumiewają, być może rozmawiają o tym, dokąd popłynąć albo gdzie jest jedzenie, albo jeśli wyczuły zagrożenie. Wszystkie wieloryby się porozumiewają. Słyszałem, że płetwale błękitne potrafią kontaktować się ze sobą przez tysiąc kilometrów otwartego morza. Ale długopłetwce są jedynymi wielorybami, które „śpiewają” tak złożonymi sekwencjami dźwięków i tonów. Obecnie naukowcy są prawie pewni, że ich pieśń ma charakter seksualny, że samce śpiewają, aby przyciągnąć samice. — Chase uśmiechnął się. — Lubię myśleć, że się mylą i że pieśń jest wciąż tajemnicą.

— Dlaczego?

— Tajemnice to wspinała rzecz. Nudno by było, gdybyśmy znali wszystkie odpowiedzi. To tak jak z potworem z Loch Ness. Mam nadzieję, że jego też nigdy nie znajdą. Potrzebujemy smoków, które podtrzymywałyby naszą wyobraźnię przy życiu.

— Max! — zawołała z rufy Amanda. — Zejdź na dół i przygotuj Harpo!

Chłopiec ruszył w kierunku rufy i zszedł po drabince do kokpitu.

Trzy uchatki miały już nałożone uprząże, a do każdej uprząży zamocowana była kamera wideo z obiektywem skierowanym do przodu. Czwarte zwierzę przewracało się nerwowo z boku na bok, jakby zdezorientowane.

Amanda podała chłopcu czwartą uprzęż i pokazała mu, jak przełożyć ją wokół grzbietu uchatki, wzdłuż brzucha, za płetwami i przez grzbiet.

Gdy Max nasuwał skórzane paski na jedwabistą skórę, uchatka trącała go lodowatym nosem i łaskotała wąsami.

Amanda zamocowała kamerę i zawołała:

— Wszystkie gotowe!

Chase rozejrzał się po oceanie. Zdawało się, że wszystko w porządku, że panuje spokój. A mimo to...

— Na pewno chce pani to zrobić? — zapytał. — Mamy trzy miesiące.

— Tak, ale wielorybów nie będziemy mieć codziennie. Jedziemy.

— Dobrze, na pani życzenie. Jak blisko mam podpłynąć? Wolałbym nie łamać prawa federalnego, zabraniającego niepokoić wieloryby.

— Nie za blisko. Najważniejsze, żebyśmy je wyprzedzili, by uchatki nie wykończyły się, starając się je doścignąć.

Chase wrzucił bieg i przyspieszył, trzymając się z daleka od wielorybów, żeby nie niepokoić ich hałasem silnika. W tak spokojny dzień nie będzie problemu z utrzymaniem wielorybów w zasięgu wzroku. Ich ogony i fontanny widać z odległości kilometra lub więcej. Wyprzedził je więc o pięćset metrów i przesunął dźwignię w tył. Łódź zaczęła dryfować.

Cztery uchatki ustawiły się jedna za drugą na rufie, jak uczniowie czekający w kolejce na drugie śniadanie. Amanda przemówiła do każdej z osobna i wykonała kilka gestów, zanim włączyła kamery wideo i machnęła ręką w kierunku otworu w poprzecznicy. Max stał za nią, naśladowując jej ruchy.

Uchatki przeszły chybotliwym krokiem na rufę i jedna po drugiej rzuciły się do oceanu.

Kiedy wszystkie cztery wypłynęły za łodzią na powierzchnię, Amanda wzniosła ramiona, wskazała zbliżające się wieloryby i opuściła ręce w dół.

Uchatki zaszczekały, odwróciły się i znikły pod wodą.

— Jak długo mogą przebywać pod powierzchnią? — zapytał chłopiec.

— Około dziesięciu minut przy każdym nurkowaniu — odpowiedziała. — Nie tak długo jak wieloryby, ale mogą nurkować wiele razy i schodzić na głębokość stu osiemdziesięciu, dwustu metrów.

— Głębiej niż człowiek.

— O wiele głębiej. I nie muszą przechodzić dekompresji, nie dostają choroby kesonowej, nie mają zatorów.

— Chce pani, żeby płynąć za nimi łodzią? — zawołał Chase z pomostu nawigacyjnego.

— Nie, zostanmy tutaj. Nie chcę, żeby wieloryby pomyślały, że łódź je ściga. Może pan wyłączyć silnik, jeśli pan chce. Dziewczyny wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Ale jak może być pani pewna tego, że uchatki wrócą? — spytał Max.

— Bo zawsze wracały — odparła Amanda i uśmiechnęła się.

Chase zszedł z pomostu nawigacyjnego, wyłączył silnik i wyjął z kuchennej szafki szklankę.

— Chodź — zaprosił syna. — Zobaczmy, czy mamy szczęście.

— Dokąd idziemy?

— To nie są ich tereny rozrodcze, a długopłetwce śpiewają zwykle tylko na terenach rozrodczych. Ale może, może uda nam się usłyszeć mały koncert.

Zaprowadził Maxa na dół, do kabiny na dziobie. Podniósł róg okładziny i odwinął ją o parę metrów. Klęknął, przyłożył ucho do zimnego dna z włókna szklanego, dając chłopcu znaki, że ma zrobić to samo.

— Co słyszysz? — spytał.

— Wodę — odparł Max — jakby się przelewała i... Zaraz! — Oczy mu się rozszerzyły. — Tak, słyszę! Ale bardzo słabo.

— Poczekaj. — Uniósł głowę syna i umieścił dno szklanki pod jego uchem, a jej otwarty koniec na pokładzie. — Lepiej?

Chłopiec uśmiechnął się. Chase wiedział, co słyszy — widmowe pohukiwania, szczebiot ptaków,

pogwizdywania i świergoty, cudowną, śpiewną rozmowę lewiatanów.

— Fajne! — szepnął rozradowany.

— Pewnie, że tak — zgodził się Chase i pomyślał: tak jak bycie ojcem.

Wieloryby wyminęły łódź od wschodu w odległości kilkuset metrów, nie przerywając swej wędrówki. Ich głosy stopniowo zanikały, aż w końcu, nawet za pomocą szklanki, Max słyszał tylko słabe ich echo. Razem z ojcem wyszedł na górny pokład i otworzył lodówkę, wypełnioną dla nich przez Panią Bixler.

Pierwsza uchatka wróciła po pół godzinie.

Siedzieli na rufie i jedli, kiedy dobiegło ich szczekanie. Wyjrżeli przez rufę i ujrzeli, jak zwierzak płynie po niskiej fali w kierunku schodka.

— Cześć, Groucho — przywitała ją Amanda.

Chase potrząsnął głową.

— Nie wiem, jak je pani odróżnia.

— Gdyby spędzał pan z nimi każdy dzień i noc przez trzy lata, też by je pan odróżniał.

Uchatka podniosła się na długiej tylnej płetwie i wywindowała się przez drzwiczki poprzeczniczy.

Kiedy Amanda zdejmowała jej kamerę i uprząż, uchatka szczekała z podnieceniem i kołysała głową z boku na bok.

— Co ona mówi? — spytał Max.

— Opowiada mi, co widziała — odparła. — Wiesz, coś w rodzaju: „Ej, mamó, posłuchaj tylko!”

Chase odezwał się:

— Jak pani myśli, co widziała?

Amanda podniosła kamerę.

— Obejrzymy taśmy w drodze powrotnej — obiecała. — Jak tylko wrócą pozostałe, możemy spróbować znów doścignąć wieloryby. Może dałbyś Groucho kilka ryb, a ja wytrę i wyładuję kamerę. — Zaproponowała chłopcu.

Max uniósł pokrywę w pokładzie rufowym, wyciągnął wiadro ryb i pomachał jedną przed nosem uchatki. Nie chwyciła ryby, nie rzuciła się na nią, ale po prostu wyciągnęła szyję, przyjęła rybę i zdawała się wciągać ją do gardła.

Druga uchatka, Chico, wróciła dziesięć minut później. Trzecia, Harpo — kilka minut po drugiej. Chłopiec nakarmił obie, a kiedy zjadły, przekołysały się przez pokład, położyły na kupie razem z Groucho i wszystkie trzy zasnęły w słońcu.

Amanda spojrzała na zegarek. Chase zauważył, że zrobiła to dziesiąty raz w ciągu ostatnich pięciu minut. Przesłoniła dłonią oczy i wpatrzyła się w płaskie lustro wody, wyteżając wzrok, by zauważyć jakikolwiek ruch na powierzchni.

— Mówiła pani, że mogą pływać przez cały dzień — przypomniał.

— Mogą. Ale nie pływają, zwłaszcza po takiej przeprawie, jaką miały z rekinami. — Znowu spojrzała na zegarek. — Żadna z nich nigdy nie została w wodzie przez dwie godziny. Są wyćwiczone, żeby wracać w ciągu niecałej godziny. Poza tym chcą wracać, robią się zmęczone i głodne. — Zmarszczyła brwi. — A zwłaszcza Zeppo. Ona jest najbardziej leniwa. Spóźnia się. I to bardzo.

— Może zdecydowała wyrwać się na wolność.

— Niemożliwe — odpowiedziała stanowczo.

— Nie wiem, jak pani może być taka pewna. Ona jest...

— To moje zwierzęta — odwarknęła.

Chase uniósł ręce, jakby się poddawał, i powiedział:

— Przepraszam.

— Gdzie jest lornetka?

— Jedna na górze, druga pod pokładem.

Amanda zaczęła wspinać się po drabince na pomost nawigacyjny.

— Możemy popłynąć na poszukiwanie.

— Nie, ona wie, gdzie jesteśmy. Zostaniemy tu, dopóki nie wróci.

Jeśli w ogóle wróci, pomyślał. Jeśli wróci.

25

Gdy płynęło na głębszą wodę w poszukiwaniu istot, które mogłoby zabić, błony w głowie wyczuły nowe dźwięki, wysokie, odległe, nieznanne. Ruszyło ich śladem, czując, jak stają się coraz głośniejsze i wyraźniejsze.

Wreszcie w wodzie, która utraciła sinozielony odcień i stała się błękitna i jasna, odnalazło źródła dźwięków, zwierzęta większe, niż kiedykolwiek widziało, na pewno zbyt wielkie, by je zaatakować, niewyraźne cienie swobodnie unoszące się i opadające, nie okazujące słabości ani strachu.

Miało już zawrócić, zapłować gdzie indziej, kiedy między wielkimi zwierzętami dostrzegło inne istoty, mniejsze i szybsze, istoty, które mogłyby paść jego ofiarą. Czekąco w oddaleniu, przesuając się tylko tyle, by dotrzymać im kroku.

Raz jedna z tych nowych istot zapuściła się bliżej, więc spróbowało złapać ją od tyłu, rzucając się w przód szybkim rzutem. Ale istota wyczuła, że się zbliża i zbiegła zbyt szybko, by ją dogonić.

W końcu zostało z tyłu i wkrótce żywe istoty zniknęły z pola widzenia, pozostawiając tylko drażniący trop dźwięków.

Teraz unosiło się pośrodku głębi. Oczy lustrowały nieodgadniony błękit.

Zaskoczyła je nagła fala ciśnienia. Spojrzało w górę i zobaczyło ciemną plamę cofającą się w górę, w stronę światła. Jedna z mniejszych istot powróciła, przemykając w oddali i udając się w swoją drogę.

Postawione natychmiast w stan pogotowia, przetoczyło sobie do żył adrenalinę, a do mięśni kwas mlekowy. Tkwiło nieruchomo jak tylko mogło, poruszając członkami na tyle zaledwie, by nie opadać w dół.

Obok przepłynęło kolejne zwierzę, przez chwilę zwalniając, ale się nie zatrzymując.

Nie puściło się w pościg, czując, że jakakolwiek próba pogoni będzie daremna. Czekąco, czując, jak jego ciało nabiera siły.

Pojawiło się następne zwierzę. Podpłynęło bliżej, powoli zataczając koła i rozglądając się ciekawie.

Stworzenie unosiło się bez ruchu, chcąc wyglądać nieszkodliwie, jak martwe.

Zwierzę zbliżyło się jeszcze, potrząsając głową, wyrzucając strugę malutkich pęcherzyków powietrza.

Stworzenie czekało... czekało... aż nadszedł moment, w którym neurony w jego mózgu dały mu znać, że możliwość zmieniła się w okazję.

Uderzyło stalowymi szponami. Pazury natrafiły na coś miękkiego. Zanurzyły się głęboko w tłustym cieple i zgięły się, zaciskając uchwyt.

Drugie ramię wyskoczyło do przodu, szpony również odnalazły tłuszcz tkanki.

Zwierzę szarpnęło się w tył. Pysk otworzył się w eksplozji bąbelków. Kości były zgruchotane, ciało wygięło się i miotano do góry.

Stworzenie spodziewało się, że zdobycz będzie walczyć, bronić się, ale nic takiego nie nastąpiło. Teraz już wiedziało, że zwierzę jest tu obce, że nie potrafi tu przeżyć, więc pokona je po prostu, trzymając je w miejscu.

Po kilku chwilach zwierzę przestało się szarpać. Głowa opadła na bok, z rozciętego ciała buchnęła krew.

Stworzenie zaczęło jeść. Zwierzę pokryte było grubą warstwą tłuszczu, pożywnego, pobudzającego, rozgrzewającego tłuszczu, więc miało dodatnią pływalność, nie tonęło. Drapieżca i ofiara tkwili zawieszeni nieruchomo we wspólnych więzach.

Gdy się pożywiało, na skraju pola widzenia dostrzegło inne, większe zwierzęta, drapieżców zwabionych zapachami krwi i oleju unoszonymi przez prąd.

Objęło swe jedzenie i pożarło je łapczywie.

Większość zwierzęcia była jadalna. Kości spadły do otchłani, otoczyły je istoty żywiące się padliną. Fragmenty mięsa odpłynęły, rzuciły się na nie ławice małych rybek. Był też twardy, niejadalny przedmiot, który stworzenie oderwało i odrzuciło. Podryfował w górę, ku powierzchni.

26

— Jak daleko do zmroku? — spytała Amanda. Siedziała na nadburciu, głaszcząc trzy uchatki po głowach.

Popołudniowe słońce było już nisko nad linią horyzontu. Kiedy odwróciła głowę, Chase zauważył również cienie na jej twarzy, w liniach wyłobionych pod oczami przez smutek.

— Godzina — odparł — ale nie potrzeba nam światła w drodze powrotnej. Możemy tu zostać całą noc, jeśli pani zechce.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Nie ma po co.

Przez kilka ostatnich godzin nie rozmawiali zbyt wiele. Siedzieli i wypatrywali, aż oczy zaczerwieniły im się z wysiłku i zmęczenia. Max próbował zabawiać trzy uchatki, usiłował je karmić, ale chyba czuły, że coś jest nie w porządku, bo nie reagowały.

Chase nie wysuwał więcej teorii, choć jedną miał. Teorie nie pomogą wiele, zwłaszcza jeśli ta, w którą wierzył, jest prawdziwa.

— Dobrze — zgodził się w końcu. Wstał i spojrzał na zachód, na sylwetkę Block Island. Przedryfowali co najmniej trzy kilometry.

— To mógł być ten biały rekin — odezwała się Amanda, jakby kontynuując przerwana rozmowę.

Chase drgnął, bo to właśnie jego teoria, jedyna, która miała sens. Uchatki już wcześniej uciekały przed rekinem, ale wtedy były blisko schronienia na łodzi. Samotna uchatka na otwartym morzu, zwłaszcza zmęczona i zdeorientowana, mogła zostać zaatakowana przez dużego, szybkiego żarłacza białego.

— Tak — odparł. — Mógł. — Wcisnął guzik uruchamiający silnik i pstryknął przełącznik, by zapalić reflektory łodzi. Zastukał w sufit kabiny kostkami palców, sygnalizując Tall Manowi, żeby zwrócił łódź w kierunku domu.

— Może pozostałe coś znalazły — zastanowiła się. — Przyjrzyjmy się taśmom.

Podczas gdy Tall Man zawracał łódź na zachód, Amanda wyjęła z jednej ze swoich skrzynek monitor, ustawiła go na stole w kabinie i włączyła. Podłączyła do monitora odtwarzacz wideo i włożyła jedną z taśm. Przewinęła ją, nacisnęła guzik startu, po czym usiadła na ławeczce. Max usiadł po drugiej stronie, Chase stanął na końcu stołu.

Zwiększyła szybkość odtwarzania. Przez kilka minut widać było pusty oceaniczny błękit. Gdy na ekranie pojawił się pierwszy wieloryb, zwolniła.

— Ten wieloryb wydaje się taki mały — zdziwił się Max.

— To obiektyw szerokokątny — odparła Amanda. — Musi być taki, bo zobaczylibyśmy tylko mnóstwo ujęć wielorybiego cielska.

Gdy patrzyli, wieloryb rósł, aż wypełnił sobą cały kadr.

— Jak blisko jest teraz? — spytał Max.

— Osiemnaście, dwadzieścia metrów. Zbliży się jeszcze, a potem zatrzyma w odległości jakichś dziesięciu metrów.

Obraz wciąż rósł, przesuwał się wzdłuż boku wieloryba, mijając gigantyczną płetwę, w końcu zwalniając, gdy dotarł do głowy. Kiedy na ekranie pojawiło się oko, wcisnęła przycisk pauzy i obraz

zastygł.

Spójrz na to oko — powiedziała do chłopca. — Powiedz mi, że to nie jest inteligentne stworzenie.

— Jest inne niż oko rekina — odpowiedział. — Jest... nie wiem... po prostu inne. Nie takie płaskie.

— Bogatsze, głębsze. — Amanda uśmiechnęła się, na moment zapomniała o stracie. — Wiesz dlaczego? Długopłetwce mają mózg wielkości piłki do koszykówki. Mówi się, że oko jest zwierciadłem duszy. Więc za tym okiem kryje się całkiem niezła dusza.

Zwolniła przycisk pauzy, obraz znów się poruszył. Ujrzeni wieloryba filmowanego pod różnymi kątami, podczas gdy uchatka kręciła się wokół niego, bawiła z nim, płynęła w jego fali. Wieloryb ignorował uchatkę, nie zmieniając o krok obranego kursu.

Amanda przewinęła dziesięć czy piętnaście minut filmu, dopóki nie ujrzała na migającym obrazie, jak wieloryb zaczyna kołysać się bardziej energicznie i nurkuje daleko w głąb. Zwolniła wówczas odtwarzanie i patrzyła, jak obraz staje się coraz mniej wyraźny, gdy uchatka płynie za wielorybem w dół, w ciemność przy dnie.

Kiedy wieloryb był zaledwie ciemną plamką na tle atramentowego błękitu, oko kamery nagle skręciło w górę i popędziło naprzód, w kierunku odległego światła.

— Oderwała się od niego — skomentowała. — Myślę, że na głębokości jakichś stu pięćdziesięciu metrów.

Taśma skończyła się, więc zastąpiła ją kolejną. Druga uchatka płynęła za wielką samicą długopłetwca. Gdy obraz na ekranie urósł, Max krzyknął nagle:

— Patrzcie! Mały!

Młode, mające pewnie sześć metrów długości, usadowiło się pod lewą płetwą piersiową matki.

— Zawsze tam jeżdżą — wyjaśniła Amanda.

— Dlaczego?

— Żeby się uczyć. Przyjrzyj się, a zobaczysz, że robi wszystko to, co matka, naśladuje każdy jej ruch.

Rzeczywiście, młode powtarzało dokładnie każde poruszenie matki. Kiedy unosiła się, by odetchnąć, ono też oddychało. Kiedy nurkowało, ono również nurkowało. Kiedy przekręciła się na bok, by spojrzeć na uchatkę, przekręciło się razem z nią.

— Widzisz, jak patrzy? Ochrania go. Jeśli w okolicy pojawi się duży rekin, zobaczysz, że przytula małego do siebie i staje się nerwowa. Pewnie zabierze go w głąbinę.

Ale matka nie zdenerwowała się. Najwyraźniej usatysfakcjonowana rozpoznaniem uchatki, przewróciła się z powrotem na brzuch i kontynuowała powolną wędrówkę w kierunku powierzchni.

— Nic — powiedziała Amanda i przesunęła do przodu resztę taśmy.

Dwie minuty po włączeniu trzeciej taśmy zaśmiała się i rzekła:

— To dzieło Harpo.

— Jak pani poznaje? — zapytał chłopiec.

— Jest tchórzem. Patrz — wskazała na ekran — podpływa z tyłu do wieloryba, a kiedy ten tylko trzepnie ogonem, odskakuje ze strachem. — Obraz na ekranie zmienił się w czysty błękit, przebił powierzchnię i skoncentrował na następnym wielorybie. — Potrzebuje około dziesięciu minut, żeby się zorientować, że jej nie zjedzą. Dopiero się uczy, po prostu nie jest tak bystra jak pozostałe.

Wszystkie mają swoje fochy.

— Na przykład?

— Groucho podpływa za blisko, więc przynosi mi dużo niewyraźnej, nieostrej taśmy. Tak jakby

czuła, że weszła w kontakt dopiero, jeśli dotknie wieloryba. Chico lubi drażnić się z wielorybami, zwłaszcza z mniejszymi. Bawi się tylko, ale czasami naprawdę je denerwuje.

— A Zeppo? — spytał Chase.

Amanda zawahała się, jakby nagle przywrócona do rzeczywistości.

— Tak jak mówiłam, jest leniwa. Niepokoi mnie to, że jest równocześnie najbardziej ciekawska.

Podpływa do wszystkiego, tylko po to, żeby zobaczyć co to jest.

Obraz na taśmie przywieszonym przez Harpo przesuwiał się od wieloryba do wieloryba. Było kilka dobrych zbliżeń i jedno efektowne ujęcie oddychającego wieloryba, sunącego w górę, wypryskującego na powierzchnię, w słońce, i spadającego w dół w przypominającym kataklizm plusku. Ale kilka ostatnich minut taśmy pokazywało pusty oceaniczny błękit.

Amanda odwróciła się od ekranu, by powiedzieć coś do Chase'a, gdy Max wrzasnął:

— Ej! Patrzcie!

Wróciła wzrokiem na ekran.

— Co takiego?

— Niech pani cofnie.

Amanda przesunęła taśmę do tyłu i po kilku sekundach zobaczyła coś w prawym górnym rogu ekranu. Obraz był nieostry i zamazany, ale coś na pewno tam było. Cofnęła jeszcze, wcisnęła guzik startu i taśma ruszyła do przodu.

Było widać jakiś kształt, który zaraz zniknął. Obraz drgnął i obrócił się w stronę powierzchni.

— Co to było, do diabła? — zapytał Chase, opierając się na łokciach i wpatrując w monitor.

— Nie wiem — odparła Amanda — ale cokolwiek to było, na pewno wystraszyło biedną Harpo.

Widzieliście, jak szybko odpłynęła?

Nagle silnik zwolnił, a Tall Man tupnął trzy razy w sufit kabiny. Chase poszedł na rufę, do kokpitu, i zawołał w stronę pomostu nawigacyjnego:

— Widzisz coś?

— Przed nami czerwone światełko — powiedział Tali. — Wygląda jak lampa sygnalizacyjna.

Ale światło jest zbyt słabe, nie jestem pewien.

Chase przechylił się przez burtę i popatrzył naprzód. Było prawie zupełnie ciemno, woda wyglądała jak arkusz czarnej stali. Na jej tle małe czerwone światełko mrugało w sekundowych odstępach. Złapał kotwicę, zaparł się kolanami o nadburcie i czekał, aż Tall Man podprowadzi łódź do światła.

Gdy światło przesunęło się wzdłuż burty łodzi, Chase sięgnął po nie kotwicą. Było przymocowane do czegoś twardego, o powierzchni jakichś osiemdziesięciu centymetrów. Chase manipulował kotwicą, dopóki nie schwytał przedmiotu. Wciągnął go na pokład i postawił na nadburciu.

— To obudowa od kamery — zawołał do Tall Mana.

— Nasza? — Tall Man pchnął dźwignię do przodu i zawrócił łódź na kurs w stronę wyspy.

Chase usłyszał za sobą kroki, a po chwili krótkie, przejmujące westchnienie.

— Zeppa — powiedziała Amanda.

Zabrali obudowę do kabiny, osuszyli ją i ustawili na stole. Była nie uszkodzona, ale paski uprząży zostały zerwane. Ze smutkiem, w ciszy, Amanda wyjęła z kamery taśmę i włożyła ją do odtwarzacza wideo.

Pierwsze kilka minut taśmy nie odróżniało się od pozostałych zapisów — dalekie ujęcia wielorybów, zbliżenia wielorybów, płynące wieloryby, przewracające się wieloryby, nurkujące wieloryby. Po nich nastąpiło nie kończące się bliskie ujęcia powierzchni od góry i z dołu.

— Wyleguje się na słońcu — rzekła Amanda. Jej głos brzmiał ochryple. — Mówiłam wam, że jest leniuchem.

Kamera znów zeszła pod wodę i pokazała dwa odległe, oddalające się wieloryby. Przez jakieś piętnaście sekund ściagała je, potem się odwróciła i pokazała błękit.

Poddała się.

Ale zobacz — powiedział Max, wskazując na maleńką ciemną figurkę na środku ekranu. — To jedna z pozostałych uchatek. Zeppo płynęła za nią, wracając do domu.

Obraz zatańczył w górę i w dół jak kolejka górską, gdy uchatka przyspieszała, usiłując dogonić swoje przyjaciółki. Potem zwolniła i wyprysnęła na powierzchnię, zapewne by odetchnąć. Gdy zanurzyła się, przez chwilę płynęła powoli. Potem nagle zmieniła kierunek.

— Coś zwróciło jej uwagę — odezwał się Chase.

Choć w błękitnej przestrzeni nie widać żadnych innych zwierząt, szybkość i kierunek ruchu można odgadnąć dzięki promieniom słońca, załamującym się na powierzchni i spadającym w ciemność w postaci strzał, a także dzięki niezliczonym drobinom planktonu, które migotały przesuwając się obok obiektywu.

— Krąży wokół czegoś — wyjaśniła Amanda.

— Czemu tego nie widać? — spytał Chase.

— Ponieważ uchatka jest wyżej, patrzy w dół, a kamera jest na jej grzbiecie.

Uchatka weszła w długą pętlę ku górze. Zobaczyli, jak światło znad powierzchni błyska w oddali. Potem zanurkowała, skręciła i zawisa pionowo w wodzie, wyprostowana i nieruchoma.

Powierzchnia skrzyła się wysoko w górze.

— Przygląda się mu. Nie boi się. — Skomentowała.

— Nie sfilmuje go? — spytał Max.

— Nie wie, że ma to zrobić. Jediną rzeczą, jaką ma filmować są...

Nagle kamera odskoczyła w tył, a błękitną wodę zabarwiła ciemna chmura.

Amanda krzyknęła.

Przez dziesięć, piętnaście sekund obraz skakał jak oszalały, przechylając się z boku na bok, zamazywany przez coś, co wyglądało jak atrament, potem znów wyraźniejszy i znowu zamglony.

Coś błyszczącego mignęło przed obiektywem.

— Zatrzymaj! — poprosił Chase, ale Amanda zastygła z szeroko otwartymi oczami, zakrywając dłonią usta. Więc sam sięgnął do odtwarzacza, cofnął taśmę i zatrzymał.

Obraz był niewyraźny, bo błyszczący przedmiot znajdował się zbyt blisko. Ale gdy Chase przesuwał taśmę w przód, klatka po klatce, nie miał już najmniejszych wątpliwości, co widzi — pięć szponów, zakrzywionych, długich, ostrych jak brzytwa i zrobionych z nierdzewnej stali.

— Nalej mi jeszcze jednego, Ray — zażądał Rusty Puckett do barmana w Crow's Nest. Pchnął pustą szklankę po kontuarze i dorzucił za nią pięciodolarowy banknot.

— Już ci wystarczy, Rusty — oświadczył Ray. — Idź do domu.

— Ej! Położyłem tam pieprzoną pięćdziesiątkę i kazałem ci powiedzieć, jak już z niej nic nie zostanie. — Puckett wskazał na stos banknotów obok popielniczki. — Nie jestem jeszcze nawet w połowie.

— Starczy ci! — powtórzył Ray. Oparł dłonie na kontuarze i pochylił się nad Puckettem. — Ludzie przychodzą tu na obiad i nie są ciekawi twoich niestworzonych historii. Zrób nam obu uprzejmość, zabierz swoją resztę i idź do domu.

Obrócił się na taborecie i przyjrzał się sali szklistym wzrokiem. Ray miał rację. Bar się wypełnił, ludzie stali w kolejce, czekając na stolik w sali restauracyjnej. Kiedy się to wszystko stało? Spojrzał na zegarek, przymykając jedno oko, bo numerki na tarczy były nieostre. Chryste! Jest tu już trzy godziny!

Zauważył, że kilka osób mu się przygląda i domyślił się, że słuchali, kiedy opowiadał Ray'owi o tym, co widział. Niech idą do diabła, nic go nie obchodzi. To wszystko prawda, czysta prawda. Mrugnął do nieźle wyglądającej kobiety, i zobaczył, że się czerwieni i odwraca. Pewnie była ciekawa, może pójdzie z nią pogadać.

Coś śmiesznego przyszło mu do głowy. Spojrzał na barmana i powiedział na tyle głośno, by wszyscy słyszeli:

— Nie próbuj mnie wyrzucać, bo ta pieprzona dziura zbankrutuje.

Ray nie zaśmiał się, a nawet wyglądał na zdenerwowanego. Nagle podniósł klapę w kontuarze, wyszedł zza niego i złapał Pucketta za fałdy koszuli.

Rusty uczył, że unosi się z taboretu, poczuł, jak ręka barmana wpycha mu do kieszeni spodni zwój banknotów i zobaczył, że jest wyprowadzany za drzwi.

— Możesz wrócić, jak wytrzeźwiejesz i przestaniesz mieć halucynacje — oznajmił Ray. — Na twoim miejscu poważnie bym się przejął, Rusty. Ma cię w swoich szponach delirium tremens.

Usłyszał, że drzwi zamykają się za nim, a Raymond mówi:

— Przepraszam państwa.

Stał na ulicy, oszołomiony, lekko się kołysząc. Z samochodu wysiadła jakaś para i obeszła go szerokim łukiem, wchodząc do restauracji.

Oparł rękę o ścianę budynku, by powstrzymać kołysanie. Następnie ruszył po ulicy, utkwivszy wzrok w swoich stopach, które lądowały na ziemi jedna za drugą.

Co, do diabła, miał na myśli ten drań, mówiąc „niestworzone historie”? Przecież zna go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zmyśla bajek. I wcale nie jest w szponach delirium! Cholera, dobrze wie, co widział, co niemal go zabiło, niczego nie zmyślał.

Brzmiało to głupio, nieprawdopodobnie. Ale to była prawda. Widział pieprzonego potwora.

CZEŚĆ PIĄTA

~ POŚWIĘCENIE ŁODZI ~

— Na pewno nie chcesz zaczekać na Amandę i na mnie? — zapytał Chase. Trzymał cumę dziobową Whalera, podczas gdy Max uruchamiał silnik i wpychał aparat fotograficzny pod pulpit sterowniczy. — Będzie gotowa za pół godziny, najpóźniej o jedenastej trzydzieści.

— Nie mogę. Poświęcenie łodzi zaczyna się w południe, jeśli nie popłynę teraz, to w życiu nie znajdę porządnego miejsca.

— Moim zdaniem zachowujesz się, jak chłopak, który ma randkę — uśmiechnął się Chase. Chłopiec skrzywił się.

— Tato...

— Dobrze, przepraszam... Wiesz, gdzie jest kotwica, na pokładzie masz dwie kamizelki ratunkowe, możesz...

— Przerobiliśmy to już.

— Tak. — Chase westchnął i wrzucił cumę dziobową do łodzi. — Zaparkuj łódź w klubie, wyciągnij ją na plażę, jeśli nie będzie wolnych pochylni.

— W porządku. — Max wrzucił bieg, skrzywił koło sterowe i powoli wycofał Whalera z doku.

— Pamiętaj — zawołał za nim — nie zatrzymuj się po drodze pod żadnym pozorem, bez względu na to, co zobaczysz.

Chłopiec pomachał mu i krzyknął:

— Do zobaczenia!

Chase stał przyglądając się, jak Max przyspiesza i wyrównuje ruch łodzi.

Z początku opierał się, nie chcąc pozwolić synowi wziąć Whalera. Chłopiec nigdy nie wypływał łodzią sam. Wprawdzie kanał prowadzący do Waterboro był dobrze oznakowany, spotykało się w nim jednak skały, o które przy braku uwagi można było się rozbić. Chociaż Tall Man drobiazgowo dbał o silniki przyczepne, w każdym silniku kryły się gremliny, mógł więc bez żadnego powodu zakrzusić się i w każdej chwili stanąć. Co prawda Max udowodnił, że ostrożnie prowadzi łódź i jest świetnym pływakiem, ale co będzie, jeśli zostanie zmuszony, by skoczyć za burtę i płynąć do brzegu?

Ale przez ostatnie trzy dni pogoda była paskudna. Wiatr wiał z północnego wschodu z niesłabnącą prędkością piętnastu do dwudziestu, a w porywach do czterdziestu węzłów. Zimny deszcz przemoczył wybrzeże od New Jersey do Maine. Max nie miał nic do roboty poza rzadkimi wypadami do miasta z Chase'em albo z Tall Manem, podczas których chłopiec znikał w labiryncie bocznych uliczek i małych domków i, jak z nadzieją domyślał się Chase, zaprzyjaźniał się z miejscowymi dziećmi. Nie mógł się doczekać dnia poświęcenia łodzi, porwał go świąteczny nastrój miasteczka przed uroczystością.

Teraz, kiedy ten dzień nadszedł, a pogoda w końcu się poprawiła, Chase chciał, by syn dobrze się bawił, więc ustąpił.

Niemal żałował, że pogoda nie jest gorsza. Dobrą stroną złej pogody jest to, że trzyma ludzi z daleka od wody. Łodzie zostałyby na brzegu i nikomu nic by się nie stało. Cokolwiek było w wodzie, gdziekolwiek to się znajdowało, nie miałyby na co polować. Chase miał nadzieję, że ładna pogoda nie wywoła u morskich stworzeń szału żarłoczności.

Rano następnego dnia po zgnięciu uchatki zabrał taśmę wideo na posterunek policji i pokazał ją Gibsonowi. Zaproponował opóźnienie lub nawet odwołanie święta, dopóki nie ustalą, jakie zwierzę może być na taśmie.

Szef policji odpowiedział szorstko.

— Zapomnij o tym, Simon — rzekł. — Nie mam zamiaru odwoływać największego wydarzenia lata z powodu dwóch sekund chałowej taśmy, na której gównu widać. Ani na podstawie zeznań pijaka.

— Jakiego pijaka?

— Rusty'ego Pucketta. Wczoraj wieczorem spił się do nieprzytomności i zaczął wszystkim opowiadać, że zobaczył jakiegoś zombie czy mutantą z piekła rodem. Był bardzo męczący, wyrzucili go z Crown's Nest i dwóch barów, więc go przymknąłem.

— Jest tutaj? Mogę z nim porozmawiać?

— Nie, dopiero po święcie. Wtedy będziesz z nim mógł rozmawiać ile chcesz, aż obaj dostaniecie świra. — Gibson przerwał. — Czy pokazywałeś tę taśmę jeszcze komuś?

— Nie.

— To dobrze. Chyba przetrzymam ją tutaj przez kilka następnych dni. Na wpadanie w histerię mamy całą resztę lata.

— Chciałbym wierzyć, że masz rację, Rollie — westchnął Chase. — Ale w wodzie coś jest.

— Więc niech sobie tam zostanie, Simon, albo niech idzie do diabła. W każdym razie, nie wyobrażam sobie, żeby to wyszło na brzeg i zaczęło zaczepiać turystów.

Kiedy Whaler odpłynął tak daleko, że nie było go widać na tle zarysu lądu, Chase wspiął się na wzgórze i zszedł po zboczu do zbiornika dla uchatek. Ujrzał Amandę, stojącą na betonowym nabrzeżu, próbującą za pomocą ryb wywabić uchatki ze zbiornika.

— Nie chcą — oznajmiła, kiedy podszedł do niej. — Codziennie jest to samo, odkąd wróciliśmy od wielorybów. Nieważne, co robię i tak nie opuszczają zbiornika. Jakby dostawały z wody ostrzegawcze sygnały.

— Jakie sygnały? Elektromagnetyczne?

— Chyba tak. Wiem tylko, że coś im każe trzymać się z daleka od morza. I zachowują się tak, jakby były śmiertelnie przerażone.

Max zobaczył ją, gdy tylko okrążył Waterboro Point. Poczł, że przyspieszyło mu serce.

Chociaż miał przed sobą jeszcze całą zatokę, czyli co najmniej pół kilometra, nie mógł się mylić. To była ona — szczupła, delikatna figurka stojąca samotnie na końcu klubowego doku, ubrana jak zwykle w błękit. Przez dziesięć dni, odkąd ją poznał, nie widział ani razu, by nosiła inny kolor niż niebieski — niebieskie swetry, niebieskie sukienki, niebieskie spódnice i niebieskie bluzki. Tak jakby wiedziała, że barwa niebieska do niej pasuje, podkreśla błękit jej oczu i uzupełnia połyskującą złocistość włosów.

Pomachał, choć miał pewność, że nie może go zobaczyć, w labiryncie żaglówek tłoczących się w zatoce. Z okazji święta wszystkie były ozdobione różnobarwnymi flagami, proporcami i banderami. Nawet same łodzie rybackie, ciemne, upstrzone rdzą behemoty uginające się pod ciężarem sieci, salingów, czasz radarów i ogromnych bębnow wciągarek, eksponowały tęczowe proporce jako swój okolicznościowy strój, jakby chcąc tego jednego dnia w roku prezentować się jak przystało na ich pretensjonalne nazwy: Miss Eula, Miss Daisy, Miss Wendy.

Max chciał pchnąć dźwignię w przód i przemknąć jak błyskawica pomiędzy łodziami. Powstrzymał się jednak, bo wiedział, że policja morska grasuje, a najmniej potrzebował mandatu za przekroczenie szybkości. Nie miał licencji motorowodnej stanu Connecticut, był za młody, żeby samemu prowadzić łódź motorową, a nawet gdyby wypuścili go tylko z ostrzeżeniem, na pewno powiadomią ojca, który nie będzie miał wyjścia i go uziemi.

Zmusił się więc, by wolno sunąć przez zatokę. Za każdym razem, gdy tylko udało mu się zobaczyć kawałek nabrzeża, sprawdzał czy Elizabeth nie uciekła, nie machnęła na niego ręką i nie poszła oglądać poświęcenia sama.

Za każdym razem, gdy patrzył, była tam, czekała. Nie czytała książki, nie patrzyła na zegarek, nie spacerowała. Po prostu czekała, tak jak mu to obiecała.

Kiedy wyminął ostatnią z dużych łodzi o sto metrów od doku i zaczął przepychać się obok małej klubowej flotylli zacumowanych Blue-jayów, znów do niej pomachał. Tym razem spostrzegła go, podniosła rękę i uśmiechnęła się.

Uczucia szalejące w duszy chłopaka wprawiały go w zakłopotanie. Spotykał dziewczyny przez całe życie, przebywał w ich towarzystwie codziennie od czasów przedszkola. Chodził z nimi na zabawy i do kina, chociaż zawsze w większych grupach, z innymi chłopcami. Miał wśród dziewczyn prawdziwych przyjaciół.

Ale nigdy nie miał własnej dziewczyny. Nigdy nie musiał znosić okropnych bólów zazdrości i tęsknoty. Nigdy nie całował się z dziewczyną. Chociaż widział wiele pocałunków na ekranie, a nawet często fantazjował o pocałunkach — i o czymś więcej — to nie był pewien, czy wiedziałby, jak sobie z nimi poradzić. Pocałunki na filmach wyglądały na fajną zabawę, ale całujący się na ekranie nie mieli po dwanaście lat.

Max nie był nawet pewien, czy to, co czuje do Elizabeth to prawdziwe uczucia chłopaka do dziewczyny. Wiedział tylko, że różnią się od wszelkich uczuć, jakie kiedykolwiek żywił, i że Elizabeth jest inna od wszystkich dziewczyn, które w życiu znał.

Była ładna, a nawet piękna, ale zachowywała się tak, jakby nic o tym nie wiedziała, a w każdym razie nie wykorzystywała tego, tak jak niektóre dziewczyny. Inteligentna — przeczytała dziesięć razy tyle książek co on, w tym wiele książek dla dorosłych, ale nigdy się nie popisywała swoją wiedzą. Nieśmiała, ale nie był to rodzaj samotniczej nieśmiałości, pełnej skrępowania czy zawstydzenia. Była to raczej nieśmiałość słodka, spokojna i nie narzucająca się, jakby szczęśliwa z powodu, że jest sobą.

Może miało to coś wspólnego z jej głuchotą. Kalectwo tak poważne jak głuchota musiało zapewne stać się w jej życiu czynnikiem decydującym. Ale Max nie wiedział o głuchocie tyle, by domyślić się, jak mogła wpłynąć na osobowość.

Zawsze wydawała się zadowolona, gdy się z nim widziała. Zauważył, że sam odczuwa pewien rodzaj pustki, kiedy nie są razem, co doprowadziło go do wniosku, że prawdopodobnie coś zaczyna się między nimi. Obawiał się tej perspektywy, bowiem oznaczała, że nadejdzie moment, w którym będzie musiał ją pocałować, a przynajmniej spróbować, ponieważ jest to rzecz, jaką robią chłopcy i dziewczyny.

Przerazało go to również dlatego, że nie ufał własnej ocenie sytuacji. Cierpiał już z powodu nadmiaru bodźców zmysłowych. Mit, jakim otoczył ojca, wypierała codziennie nowa rzeczywistość. Prawda o ojcu okazała się niemal tak wspaniała jak fantazje, jakie sobie stworzył, tyle że wszystko było tak nowe.

Nigdy nie wątpił w słowa rodziców dotyczące okoliczności ich rozvodu, ale ostatnio zaczął rozumieć, iż fakt, że przez wszystkie te lata mieszkał ze swoją matką, był nie wypowiedzianą krytyką ojca. Dlaczego nigdy nie zamieszkał u ojca? Czy pieniądze, prywatne szkoły, lekcje tenisa, letnie domy były dla niego naprawdę lepsze od kanapek z masłem fistaszkowym albo dżemem i od pływania z uchatkami?

Była jeszcze Amanda, do której Max żywił dziwne uczucia — bliżej nie umiał ich opisać. Nie starała się odgrywać roli matki, ale traktowała go jak dorosłego przez co stawała się bliższa niż matka.

Nie wiedział, co ojciec czuje do Amandy, a Amanda do ojca. Lubili się nawzajem, na pewno byli przyjaciółmi.

Było tego zbyt wiele, by móc sobie poradzić, i dlatego kwestionował swoje nowe uczucia do Elizabeth.

Może wariuję — pomyślał, prowadząc powoli łódź wzdłuż doków pływających i szukając wolnej pochylni. Może wszystko się ułoży, kiedy wrócę na zachód.

Z drugiej strony, nie był wcale pewien, czy chce wracać na zachód.

Znalazł pochylnię, wyłączył silnik i rzucił Elizabeth faleń.

— Cześć — powiedziała i uśmiechnęła się.

— Hej. — Sięgnął na tył łodzi, uniósł motor, by wyjąć śrubę z wody, i zamocował go.

— Cześć — powtórzyła znowu. Czuło się, że słowo jest wystudiowane, przećwiczone. — Cześć.

Dopiero wtedy coś go uderzyło. Przemówiła do niego na głos, na otwartej przestrzeni, gdzie każdy mógł ją usłyszeć.

— Hej! — powiedział, uśmiechając się i zwracając twarz w jej stronę, mówiąc wyraźnie, by mogła czytać z ruchu warg. — Bardzo dobrze. To brzmiało naprawdę niezłe.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, nic nie mówiła, choć Max zapamiętał dziwne wrażenie, że nastąpiła jakaś forma komunikacji. Kiedy ujrzał jej zdjęcie w gazecie i znów ją odnalazł, pisała długopisem wiszącym na szyi w wyjętym z kieszeni notesie. Nauczyła go też odczytywać kilka podstawowych znaków języka migowego. W miarę jak spotykali się coraz częściej, wyznała mu, że

wstydzi się swojej mowy. Ponieważ jej nie słyszała, nie miała pojęcia jak brzmi dla ucha innych ludzi, ale odgadywała z ich twarzy, że brzmi dziwnie.

Czasami zdawała się wiedzieć, co Max ma na myśli, zanim wypowiedział choć jedno słowo. Kiedy ją o to spytał, zaprzeczyła, mówiąc, że to nie żadna wielka rzecz, ale prosta umiejętność, którą rozwinęła przez lata, jakie minęły, odkąd nagle choroba pozbawiła ją słuchu. Porównała ją do psiej umiejętności odbierania dźwięków, których nie słyszą ludzie. Lekarz powiedział jej, że kiedy traci się ważny zmysł, taki jak słuch, często wystrzają się pozostałe zmysły. Dodała, że nie dzieje się to zawsze i nie ze wszystkimi ludźmi.

Max złapał aparat i wyskoczył do doku.

— Znalazłaś miejsce? — zapytał.

— Fajne — odpowiedziała Elizabeth, uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i poprowadziła drogą do miasteczka. Była boso. Nigdy nie nosiła obuwia, a przynajmniej nigdy nie widział jej w butach. Jednak nawet nie skrzywiła się, idąc po najbardziej kamienistych odcinkach drogi.

Orkiestra szkolna z liceum zbierała się na placu u wylotu Beach Street, gdzie przechowywano łodzie. Doboszki, całe w cekinach i świecidełkach, ćwiczyły podrzucanie batuty w powietrze. Trębacze i puzoniści wygrywali kakofoniczne takty bezimiennych melodii. Dwóch chłopców usiłowało wywindować tubę na ramiona dziewczyny zbudowanej jak boczny obrońca. Siwy stary pies siedział w kurzu drogi i szczekał bez sensu.

Masoni i Rotarianie zgromadzili się w swoich oddziałach na tyle orkiestry. Członkowie Towarzystwa Ducha Świętego, przystrojeni w wielobarwne portugalskie kostiumy, podziwiali się nawzajem, dopalając ostatnie papierosy, a niektórzy — dzieląc się, opakowaną w papierową torbę, flaszką podtrzymującego życie eliksiru.

Droga do miasta została zamknięta dla ruchu samochodowego, więc roilo się na niej od pieszych, podążających w stronę katolickiego kościoła na Settlers Square. To z niego miał się wynurzyć biskup, by ruszyć na czele procesji na ceremonię poświęcenia łodzi.

Poprowadziła Maxa przez ciżbę, w poprzek placu i po Oak Street, gdzie tłumy blokowały chodniki. Małe dzieci siedziały na maskach samochodów, nastolatki usadowiły się na gałęziach drzew.

Zatrzymał ją, wskazał na ludzi i powiedział:

— Nic nie zobaczymy.

Mrugnęła do niego, dotknęła swej piersi — zaufaj mi, mówiła — i pociągnęła go naprzód.

Na rogu stał mały dom z pochyłym dachem. Elizabeth zaprowadziła Maxa na tył domu, otworzyła bramkę na podwórze i kazała mu wejść. Wskazała na drugą stronę podwórza, na dziurę pod płotem, którą musiał wykopać duży pies, przebiegła przez trawnik, rzuciła się na brzuch i przecisnęła przez dziurę. Ruszył za nią, a kiedy podniósł się po drugiej stronie płotu, ujrzał, że są na podwórzu budynku, który dawniej był kościołem, a teraz został zamieniony w prywatny dom mieszkalny. Dzwonnica czy wieża z zegarem, czy też cokolwiek to było, wznosiła się wysoko ponad dachem.

Elizabeth wskoczyła na szerokie schody prowadzące na przednią werandę i stanęła przed masywnymi podwójnymi drzwiami. Dała Maxowi znak, składając przed sobą ręce i zginając kolana.

— Ej — zaprotestował — nie ro...

— Dalej — ponagliła go.

— Tak, ale...

— Zrób to — powiedziała. — Naprawdę.

Max wzruszył ramionami i złożył ręce, opierając łokcie o kolana.

Postawiła stopę na jego złożonych dłoniach, oparła rękę na jego głowie i wydzwignęła się w

górze, by osiągnąć szczytu nadproża ponad drzwiami. Pomacała ręką wzdłuż półeczki i zeskoczyła w dół.

Uśmiechając się, podsunęła mu pod nos klucz i wyjaśniła:

— Krewni.

Otworzyła drzwi, wpuściła Maxa do środka i sama weszła, zamknęła drzwi na klamkę i na klucz. Poprowadziła go na klatkę schodową, która pięła się spiralą na wieżę. Wydawało mu się, że wspinają się przez godzinę, aż w końcu schody zakończyły się pojedynczymi drzwiami, zaryglowanymi u góry i u dołu. Odsunęli rygle, Elizabeth pchnęła drzwi i Max wyszedł na wąski parapet. Zaparło mu dech. Usłyszał, że mówi:

— Jejku...

Miał wrażenie, że znaleźli się w samolocie albo helikopterze, jakby unosili się bez ruchu nad miastem. Byli wyżej niż budynki czy drzewa, miasteczko leżało w dole jak diorama, a w dal, jak mu się zdawało, można było patrzeć właściwie bez końca. Na wschodzie znajdowały się Little Narragansett Bay, Napatree Point i siwozielone kształty wysp Osprey i Block. Na południu żaglówki i oceaniczne frachtowce odcinały się na tle niskiego profilu Montauk Point. Na zachodzie dawały o sobie znać Stonington i Mystic, a na północy — wstążka szosy prowadzącej do Rhode Island.

— Fajne? — spytała Elizabeth.

— No pewnie. — Max odsłonił obiektyw aparatu fotograficznego i rozejrzał się za widokiem, który mógłby sfotografować.

Daleko z dołu doszły go pierwsze zafalszowane takty „The Stars and Stripes Forever”, z tłumu dobył się okrzyk aplauzu.

Zrobił zdjęcie biskupowi, doboszkom i orkiestrze, uwiecznił Towarzystwo Ducha Świętego i Rotarian.

I nagle procesja już ich minęła, idąc w kierunku cypla, a Elizabeth trącała go w ramię. Zszedł za nią po schodach, wyszli z budynku. Max podniósł ją, by mogła odłożyć klucz i pozwolił poprowadzić się przez labirynt bocznych uliczek i alejek, równoległe do głównej trasy parady.

Gdy zbliżali się do cypla, hałas narastał, a wiejąca od morza bryza przesączona była zapachem smażonego oleju.

Miasteczko Waterboro kończyło się spiczaste, jak zaostrzony ołówek, zwirowanym parkingiem wyglądającym na Fishers Island South i zajmowanym zwykle przez turystów w ciągu dnia i nastoletnich hulaków w nocy. Dziś osobowym samochodom zakazano wjazdu, zastąpiły je małe ciężarówki, w których sprzedawano koszulki, proporce, kubki, odznaki, znaczki, plakaty i jedzenie — pieczone i gotowane, z grilla i z rożna, mrożone, surowe i żywe, podawane na patyczkach i szpikulcach, w serwetkach, gazetach i na płatkach chleba.

Wzdłuż jednej strony parkingu, za rozchwianym płotem znajdowała się jedyna publiczna plaża w miasteczku, wąski pas piachu wychodzący na zatokę.

Choć dzień nastał piękny i zrobiło się już dość ciepło, plaża była niemal wyludniona. Opiekunka do dziecka, ubrana w bluzę Indigo Girls, dzieliła swą uwagę między egzemplarz pisma People i dwulatka, który dreptał wzdłuż linii wody zbierając muszelki. W oddali, w zatoce, zacumowane żaglówki kołysały się łagodnie na falach wytworzonych przez motorówki przywożące i odwożące żeglarzy z miejskich doków.

Idąc za Elizabeth przez tłum czekający na przybycie procesji, zauroczony Max wyobraził sobie, że przeniósł się na wschodni bazar. Choć rozpoznawał tylko małą część potraw piętrzących się na składanych stolikach i chociaż zjadł śniadanie zaledwie kilka godzin wcześniej, bogate, egzotyczne zapachy zadawały mu prawdziwe męki.

Zatrzymał się przed samochodem, z którego sprzedawano pulchne kiełbaski w bułeczkach i wyłowił z kieszeni drobne.

Kilka metrów dalej, Elizabeth lawirowała pomiędzy parami, rodzinami i mężczyznami dyskutującymi na temat upadku drużyny Red Sox. Nagle wyczuła, że została sama. Zawróciła i odnalazła Maxa, który uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem. Żuł kanapkę z kiełbaską, a po brodzie ściekał mu czerwonawy tłuszcz.

Chciała coś powiedzieć, ale wyjęła tylko długopis spod bluzki i notes z kieszeni, napisała kilka słów i podała Maxowi kartkę.

Przeczytał na głos:

— „Czy lubisz jeść tłuste martwe rzeczy?” — Uśmiechnął się i odparł wyraźnie: — Pewnie. Kto by nie lubił?

30

Pływało nerwowo w tę i z powrotem, dezorientowane, umęczone, cierpiące. Widziało bardzo niewiele w brudnej, pełnej wodorostów, płytkiej wodzie. Jego mózg rejestrował kaskadę dźwięków i impulsów, ale żaden z nich nie był wyraźnie rozpoznawalny, żaden nie wydawał się nieść nadziei.

Niektóre impulsy oznaczały zagrożenie. Chociaż nie znało strachu, było tak zaprogramowane, by utrzymać się przy życiu, a więc by się bronić. Sygnały zagrożenia wyzwały odruchowo trwogę, a jednak żadne zagrożenie się nie zmateriałizowało.

Jego zapas energii był niemal na wyczerpaniu. Nie jadło nic od pożarcia tłustej, śliskiej istoty, która zabłąkała się w pobliżu na głębinie.

Szukało wszędzie, nie opodal brzegu i daleko od niego, nad piaszczystym dnem i pośród grup dużych skał. Żywe istoty, które kiedyś patrolowały płyciznę, uciekły albo się skryły. Żadna ze słabych istot, łatwych zdobyczy, nie pojawiła się w górze. Żadna z tych niezgrabnych istot nie weszła z brzegu do wody.

Zauważyło zmiany temperatury i ruchu fal, ale nie umiało skojarzyć ich z brakiem pożywienia.

Teraz odkryło nagle, że jedzenie jest niedaleko, ale nie wiedziało gdzie. Zdawało mu się, że wodę przenika zapach mięsa, ale nie mogło go znaleźć.

Powoli, ostrożnie, przesunęło się w górę i głową przebiło powierzchnię wody.

Zapachy wyzwoliły strumień soków żołądkowych.

Gdy tylko obraz wyklarował się w soczewkach oczu, ujrzało żywe istoty. Nie jedną, całą ich chmurę. Zgromadziły się w stado, dręczyły je swoim zapachem. Adrenalina wpompowała mu do żył nową energię.

Ale potem zdominowała je trwoga, ostrzegając, że żywych istot jest zbyt wiele, że są zbyt daleko od bezpiecznego świata. Nie mogło pożywić się nimi i przeżyć.

Z wyjątkiem dwóch mniejszych istot, oddalonych od pozostałych, samotnych na granicy pomiędzy dwoma światami.

Lecz nawet pochwycenie tych dwóch będzie wymagało podjęcia złożonej decyzji — takiej, którą miało zaprogramowaną, lecz nigdy jeszcze nie podjęło, takiej, która mogła odebrać mu życie zamiast podtrzymać je.

Prymitywny mózg stworzenia rozdzierały wątpliwości. Przeżycie miało dwie drogi, wzajemnie przeciwstawne.

Tak więc pływało nerwowo w tę i z powrotem, a natarczywe impulsy wewnątrz ciała przeradzały się w szal.

Gdy procesja skręcała naprzeciwko parkingu na cyplu, członkowie orkiestry wyłamali się z szyku i złapali puszki z napojami z rąk przyjaciół stojących wśród widzów. Elkowe strzelali z podawanych im papierowych torebek, członkowie Towarzystwa Ducha Świętego przyjmowali atrapy języków ognia od swych przejętych dzieci. Nawet młodzież w świetle biskupa nie potrafiła odmówić kolegom. Ktoś wziął od przyjaciela z tłumu zapalonego papierosa, jak biegacz sztafetowy przejmujący pałeczkę, i zaciągnął się nim głęboko, zanim wetknął go pod albę.

Max fotografował wszystko, aż właśnie wtedy, gdy miał w kadrze nielegalnego palacza i wciskał migawkę, usłyszał z wnętrza aparatu warkot przewijanego filmu. Zobaczył, jak licznik szybko przeskakuje z powrotem na zero i powiedział:

— Do licha.

Elizabeth trąciła go łokciem i uniosła brwi: o co chodzi?

— Koniec filmu — wyjaśnił, pokazując na licznik. — Wiesz, gdzie mogę kupić nowy?

Skinęła głową. Wskazała na Maxa, następnie na procesję i powiedziała:

— Idź. — Potem wskazała na siebie i dwoma palcami nakreśliła biegnącą figurkę. Powiedziała coś jeszcze, co brzmiało jak „goniec”.

— Ale jak cię znajdę? — zapytał. — Jak...

Położyła sobie dłoń na piersi, wzięła jego dłoń, położyła ją na swojej i mrugnęła do niego.

— Dobrze — skinął głową śmiejąc się.

Odwróciła się i pobiegła przez tłum.

Maruderom wlokącym się za paradą, dwóm chłopcom prowadzącym spasionego bernardyna przystrojonego jak klaun, zabrało tylko parę minut, by zakręcić na cyplu i skierować się Beach Street w stronę doków rybackich.

Sprzedawcy zamykali już swoje budki, gasili ogień i zbierali do toreb śmiecie. Przenosili się pospiesznie na kolejny parking po drugiej stronie miasteczka, gdzie otworzą swe kramy na poświętej zabawie.

Max kupił w ostatnim otwartym straganie pieczone jabłko i pokłusował za bernardynem.

Przechodząc obok płotu otaczającego plażę publiczną, ujrzał małe dziecko, przyciskające twarz do siatki ogrodzenia. Miało brudne usta i ręce, jakby jadło błoto. Usmarowana pielucha zwisała na jednym biodrze. Za nim, na piasku, leżała na plecach kilkunastoletnia dziewczyna, trzymając nad twarzą pismo.

Krótkie paluszki dziecka ścisnęły oczka siatki, a wielkie oczy śledziły Maxa.

Spojrzał na dziecko i pod wpływem impulsu podszedł do ogrodzenia, przechylił się nad nim i podał maluchowi pieczone jabłko.

— Trzymaj — powiedział z uśmiechem.

Dziecko ucieszyło się i wyciągnęło obie ręce. Złapało jabłko za patyczek, spróbowało wsadzić je sobie w całości do ust i... przewróciło się w tył. Jabłko potoczyło się na piasek. Mały przeturlał się, chwycił jabłko i oblizał je, gulgocząc radośnie.

Max odwrócił się i poszedł dalej ulicą.

Kiedy tylko odjechała ostatnia przyczepa z jedzeniem, pojawili się dwaj ochotnicy z Towarzystwa Ducha Świętego i zaczęli uprzątać parking. Żwir zaśmiecony był niedopałkami papierosów, papierowymi kubkami, ogryzionymi kośćmi, nie dojedzonymi hot-dogami i kanapkami, kiełbaskami, które pękły podczas smażenia. Były też skorupki od jajek, warzywa, krążki kałamarnic i macki ośmiornic, skrzydła kurcząt i rozrzucone fragmenty różnych wnętrzności.

Mdlący, słodki zapach oleju z oliwek, sosu do sałatek i tłuszczu unosił się nad parkingiem jak gaz.

Ochotnicy mieli rękawiczki, posługiwali się szufelkami i zgarniali odpadki do plastikowych koszy.

— Ludzie są gorsi od świń — wymamrotał jeden z nich. — To cholerne miejsce wygląda jak jatka.

— A śmierdzi jak w kostnicy — zawtórował mu drugi.

Wokół parkingu umieszczone zostały beczki na śmieci o pojemności dwustu litrów. Ochotnicy przytaszczyli wyładowany kosz do najbliższej beczki. Była pełna, tak samo druga i trzecia.

— O cholera... I co teraz?

— Może do tamtej? — Ochotnik wskazał beczkę na plaży.

Jego kolega wzruszył ramionami.

— Spróbujmy. Na pewno nie zabieram ze sobą tego świństwa do domu.

Niosąc plastikowy kubeł, otworzyli furtkę na plażę i przeszli po miękkim piasku.

Beczka była pusta. Kiedy opróżniali kosz, zauważyli małe dziecko siedzące w pobliżu i ogryzające coś wesoło. Nawet mimo wstrętnego smrodu odpadków czuć było od dziecka nieprzyjemny zapach.

Dziesięć metrów dalej leżała na plecach kobieta z przysłoniętą pismem twarzą.

— Ej! — zawołał jeden z ochotników. — Jesteś matką tego dziecka?

Kobieta uniosła pismo i zobaczyli, że ma kilkanaście lat.

— Akurat nie — odpowiedziała.

— A wiesz, jak się zmienia pieluchę?

— A kimże ty jesteś — parsknęła dziewczyna — policjantem od kup?

Urażony ochotnik powiedział:

— Słuchaj, ty... — i zrobił krok w kierunku dziewczyny.

Kolega powstrzymał go, ciągnąc za rękaw.

— Zostaw ją, Lenny. Dzieciak ma pełne majtki, no i co z tego? Zaczepisz dziewczynę i zaraz zaciągną cię do sądu za molestowanie seksualne.

— Już prędzej molestowałbym owcę — powiedział na tyle głośno, by go usłyszała.

— Założę się, że to robisz — odcięła się dziewczyna.

Pismo znów opadło jej na twarz.

— Zostaw ją, Lenny. Po prostu daj spokój.

Ochotnicy napełnili plastikowy kosz jeszcze dwa razy i opróżnili go do beczki na plaży. Potem zarzucili szufelki na ramię i poszli do domu umyć ręce i napić się czegoś.

Leżało na brzuchu na płyciźnie. Z wody wystawały tylko oczy i nos.

Większość żywych istot poszła sobie, a głośna wrzawa uderzająca w jego błony bębenkowe zmieniła się w odległy stukot. Zostały tylko dwie istoty, ale nie odbierał żadnych sygnałów, by stanowiły zagrożenie, więc nie było zatrwożone.

Jednak utrzymywał się drażniący zapach, soczysty bukiet zapachów mięsa, silniejszy niż zwykle, bliższy niż kiedykolwiek. I zaskakujący, bo nie związany z żywymi istotami.

Przesunęło się pomału do przodu, podciągając się szponami. Skrzela gwałtownie otwierały się i zamykały, energicznie pompując. Płytką wodą miała niewielką zawartość tlenu i była pełna zanieczyszczeń.

Najsilniejszy ślad zdobyczy dochodził z nieznanego obiektu nieopodal żywych istot.

Miało niewielki potencjał podejmowania decyzji, nie rozwinięte wyczucie możliwości. Pożądało wszystkiego, ale czuło, że musi wybierać.

I wówczas, jakby nagle otworzyła mu się w mózgu furtka, otrzymało informację, że może mieć wszystko. Musi tylko zdecydować, co porwać najpierw.

Zamknęło skrzela, podniosło się na silnych ramionach i skoczyło do przodu.

Dziewczyna zasnęła, chociaż nie miała takiego zamiaru, bo drzemka to śmiertelny grzech opiekunki dwuletniego dziecka przebywającego blisko wody. Sen miała lekki, zaledwie na tyle długi, by pomieścić ekscytujące marzenie o księżnej Dianie, która poprosiła ją, żeby dzieliła z nią pokój i pomogła opiekować się dwoma książętami. Niespodziewanie, ni z tego ni z owego, jedno z książąt zaczęło płakać, a właściwie wrzeszczeć.

Podskoczyła do góry, zrzucając pismo z twarzy. Rozejrzała się, szukając Jeremy'ego.

Był niedaleko, siedział na piasku, w tym samym miejscu, co wcześniej. Zalała ją fala ulgi.

Zawodził z odrzuconą do tyłu głową, z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami. Znała dzieci na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jest to wrzask złości czy gniewu, ale krzyk bólu lub strachu, jakby się oparzył, skaleczył albo jakby ugryzł go pies.

Podeszła do chłopca, stanęła nad nim i zapytała:

— Co się stało? Uderzyłeś się?

Nie odpowiedział nawet jednym ze swych głupich dziecięcych słów, po prostu wrzasnął jeszcze głośniej.

— Jeremy... Nie bądź głupi... Powiedz, gdzie cię boli.

Otworzył oczy i rozłożył ramiona, prosząc, by go podniosła.

Zaskoczyło ją to, bo nigdy nie chciał, żeby go nosiła. Nie lubił jej tak samo jak ona jego. Ich relacje opierały się na wzajemnej tolerancji, na cichej akceptacji sytuacji, której nie życzyło sobie żadne z nich, ale którą oboje musieli znosić.

— Zapomnij o tym — stwierdziła, potrząsając głową. — Myślisz, że chcę mieć kupę na całym ubraniu?

Zawył znowu, jeszcze głośniej, i wyciągnął do niej rękę.

— Zamknij się, co? — powiedziała wzburzona. — Rozejrzała się, żeby zobaczyć, czy nikt nie patrzy. — No co jest? — Coś jej przyszło do głowy. — Odparzyłeś sobie pupę, prawda? Tak, to pewnie to. Gdybyś nie robił bez przerwy kupy w majtki, nie bolałaby cię pupa.

Niemal czekała na to, że jej logiczny wniosek pocieszy dziecko, że mały się zamknie, ale nic takiego nie nastąpiło. Dalej siedział jak jakiś wyjący mały Budda.

— Cholera! — westchnęła i schyliła się. Złapała go rękami pod pachy, podniosła i, trzymając jak najdalej od siebie, poszła w stronę wody.

Wiercił się, kopał i wrzeszczał, a im bliżej byli wody, tym bardziej stawał się agresywny, jakby to, co go przstraszyło albo uderzyło, znajdowało się właśnie tam, w wodzie.

Walczyła z nim, by go utrzymać. Chyba za mocno go ścisnęła, ale nic jej to nie obchodziło. Kiedy była po kolana w wodzie, zanurzyła go do pasa, odkleiła plaster przytrzymujący pieluchę i pozwoliła jej odpłynąć. Potem zakręciła dzieckiem jakby płukała szmatę, w nadziei, że woda obmyje mu pupę.

Po mniej więcej minucie wyciągnęła go z wody i, nadal trzymając na wyciągnięcie ręki, wróciła na plażę i postawiła go na nogach.

Jego płacz zmienił się w spazmatyczny szloch. Wciąż błagał ją, by go podniosła, a kiedy odmówiła, złapał ją za nogę.

— Puść mnie, do cholery! — krzyknęła i podniosła rękę, by uderzyć go w ramię i oderwać je od swojej nogi. Ale w chwili, gdy poczuła impuls, by uderzyć dziecko, jej gniew zniknął. Zastąpił go nagle strach, strach przed sobą, przed własną władzą nad małym dzieckiem i krzywdą, jaką może wyrządzić jemu i sobie.

Strach szybko przemienił się we współczucie.

— Ej — powiedziała — ej, wszystko w porządku. — Przyklęła i pozwoliła mu opleść ramionami swoją szyję. Wsunęła rękę pod jego pupę i podniosła go do góry. — Chodź, pójdziemy oglądać telewizję, co ty na to?

Kiedy szła po plaży do miejsca, gdzie zostawiła ręcznik, zauważyła, że coś jest nie tak, że czegoś brakuje. Wtedy spostrzegła ślady na piasku, jakby do wody przeciągnięto ciężki przedmiot i zdała sobie sprawę, że beczka na odpadki zniknęła.

Spojrzała do zatoki i w odległości może dwudziestu pięciu metrów, nie dalej niż rzut kamieniem, zobaczyła czarną obręcz pustej beczki unoszącej się na powierzchni.

— Uwierzyłbyś w coś takiego? — zapytała, uspokajając dziecko dźwiękiem własnego głosu. — Ci faceci napełniają tę puszkę całym tym świństwem, a potem idą wrzucić ją do zatoki, żeby wszystko wypłynęło ludziom na trawnik. Mówię ci, Jeremy: ludzie to świnie.

Zebrała ręcznik i torbę na zakupy. Niosąc dziecko oparte na biodrze, poszła w stronę ulicy, opowiadając mu bzdury, żeby je uciszyć i przysięgając sobie, że następnego lata, cokolwiek się stanie, znajdzie łatwiejszy sposób na zarobienie tych głupich pięciu dolarów za godzinę.

Z wściekłością miotano się w deszczu opadających odpadków, chwytając przypadkowe kawałki pływające w wodzie i ogryzając je, jakby mogło zmusić je siłą do oddania środków odżywczych, których nie zawierały. Kilka kawałków było pożywnych, ale tylko kilka, zaledwie tyle, by rozbudzić jego głód. Większość to bezwartościowe śmiecie, a w żaden sposób nie mogło odróżnić tych dobrych od złych.

Jego skrzek pracowały, zapychając się obcymi ciałami, które wpadały między ich fałdy i utrudniały ruch.

Źle wybrało, kierując się zapachem, a nie instynktem.

Odepchnęło się powoli na powierzchnię i czekało, aż oczy zogniskują się na brzegu.

Pusto. Żywe istoty odeszły.

A jednak są gdzieś tam, w towarzystwie wielu innych. Wiedziało, że tam są.

Wiedziało też, że może je dosięgnąć.

Ale potrzebna będzie następna decyzja, taka, której podjęcie mu zaprogramowano, ale której wykonanie było, jak czuło stworzenie, ponad jego siły.

Podryfowało znów w dół i spoczęło na mulistym dnie, płaszcząc się jak nieżywe wśród wstążek wodorostów, poszukując we wszystkich zakamarkach umysłu od dawna zagubionych kluczy do dawno ukrytych zamków.

Jego umysł był otępiały, ale nie powolny, wyszedł z formy, lecz im więcej się od niego żądało, tym lepiej odpowiadał.

Jeden po drugim pojawiły się klucze.

W końcu wiedziało, co ma zrobić — i jak.

Pobudzone nową nadzieją, poczołgało się po dnie wstępującym na płyciznę. Gdy wynurzyło z wody prawie cały grzbiet, przesunęło się bokiem, jak krab. Ukryte za kamieniami odczekało, badając wzrokiem brzeg, aż upewniło się, że jest samo. Nawet wówczas poczekało jeszcze parę chwil, powtarzając sobie kroki, jakie miało podjąć. Nie chciało opuszczać bezpiecznego, znanego sobie świata — na jak długo? Na zawsze, o ile wiedziało. Ale było też przekonane, że jego życie zależy od drogi, jaką wybrało.

Zanurkowało, zanurzając głowę i przepompowało wodę przez skrzela, nasycając krew tlenem, jak nurek przygotowujący się do rekordowego zejścia.

Podniosło głowę, zwlokło się na nogi i zaczęło iść. Mięśnie nóg były bardzo słabe, bo nie nosiły ciężaru od pół wieku. Utrzymywały je jednak, a z każdym krokiem nabierały o jotę więcej siły.

Potrzebowało schronienia na czas zadania, którego wykonanie miało zaprogramowane. To już niedługo. Ponieważ nie miało wycucia czasu, nie rozumiało, co znaczy „niedługo”, ale wiedziało, że powie mu to krew. W miarę jak będzie zużywał się tlen, potrzeba będzie go więcej, a mózg przejdzie kryzys.

Niedługo.

Ulice były puste, drzwi zamknięte, okna zasłonięte. Mimo to czuło się wystawione na

niebezpieczeństwo, więc polazło w bezpieczny cień pomiędzy dwoma budynkami. Jego uszy nie tylko rejestrowały zmiany ciśnienia, ale słyszały teraz ochryple dźwięki dochodzące z niedaleka.

Skręciło w ciemną uliczkę, ujrzało jeszcze więcej zamkniętych domów i miało właśnie ponownie skręcić, kiedy we wnęce na końcu ulicy zobaczyło otwarte drzwi. Poszło w ich stronę chwiejnym krokiem, zostawiając za sobą plamy śluzu, zaczynając czuć pierwsze ostrzegawcze sygnały w domagającym się tlenu mózgu.

Drzwi były duże, szerokie, a przestrzeń za nimi — ciemna i pusta.

Stworzenie spojrzało w górę i zobaczyło to, czego potrzebowało — duże belki podpierające dach.

Nie potrafiło wskoczyć na belki, a nie było żadnej liny ani drabiny, po której mogłoby się wspiąć. Zbadało szponami jedną ze ścian. Drewno było miękkie ze starości i wilgoci, pazury przebiły je jak mokrą glinę.

Zatopiło szpony głęboko w drewnie i wspięło się po ścianie jak puma.

Wysiłek wyszał mu z krwi tlen. Zanim dotarło do pierwszej belki, nagliły je ostrzegawcze sygnały z mózgu. Przerzuciło nogi przez belkę i zawisło głową w dół, trzy i pół metra nad brudną podłogą. Zwiesiło ręce poniżej głowy. Z ust wyciekła mu strużka cieczy i skapnęła na podłogę.

Czekało przez chwilę, obserwując przemiany w metabolizmie. Metamorfoza przebiegała zbyt wolno. Zanim oczyszczą mu się narządy wewnętrzne, zanim jego napęd zostanie zatrzymany i ponownie uruchomiony, mózg zacznie obumierać z braku tlenu.

Więc tak, jak zostało nauczone pięćdziesiąt lat temu, jak już to raz zrobiło dla wprawy, wepchnęło pięści pod klatkę piersiową i wyrzuciło je w przód.

Zielona ciecz trysnęła mu z ust jak wymioty. Pierwszy skurcz wywołał następny i kolejny, aż rozpoczęła się cała seria konwulsji, które wypomponowały resztki wody z organizmu.

Na brudnej podłodze uformowała się cuchnąca kałuża zielonego płynu, miniaturowe bagno.

Opróżnienie płuc i skurczenie się jamy płucnej zajęło tylko kilka sekund.

Gdy się dokonało, stworzenie zwisło bez ruchu. Oczy osunęły się w tył oczodołów, ukazując lśniące białka. Kropelki śluzu spływały po stalowych zębach i spadały jak szmaragdy.

Jego życie jako stworzenia oddychającego w wodzie dobiegło końca.

Było w stanie śmierci klinicznej. Serce nie biło, ciecz w żyłach stała bez ruchu.

Ale mózg żył nadal, a jeden z jego ośrodków nakazał sobie wysłać ostatni impuls elektryczny, który miał przywrócić stworzeniu życie.

Ciało wstrząsnęło się jeszcze raz, ale tym razem nie wypłuło już cieczy.

Tym razem zakasłało.

Elizabeth zatrzasnęła za sobą drzwi, skoczyła na chodnik i stanęła bez ruchu, usiłując zorientować się, gdzie jest procesja. Nie mogła jej oczywiście usłyszeć, ale czuła ją jako pulsowanie w bębenkach uszu i słabe drgania w podszwach bosych stóp. Bębny i tuba przesyłały przez powietrze fale ciśnienia, a uderzenia setek nóg wstrząsały betonowym chodnikiem na setki metrów we wszystkich kierunkach.

Znalezienie rolki filmu zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała. Domyślała się więc, że procesja zbliża się już do doków rybackich. Chciała przekazać film chłopcu, zanim naprawdę dotrze do doków, bo jej przybycie i samo poświęcenie łodzi, były najbardziej fotogenicznymi częściami ceremonii.

Wciągnęła powietrze, wstrzymała oddech i zamknęła oczy, odwracając się w stronę, skąd dochodziły sygnały. Miała rację. Procesja była w dwóch trzecich drogi po Beach Street, zaledwie jakieś sto metrów od doków. Nadal jednak mogła ją wyprzedzić, jeśli zrobi parę skrótów.

Wrzuciła film do kieszeni spodnicy i zaczęła biec.

Wiedziała, że Max będzie czekać, nie zniecierpliwi się i nie pójdzie samodzielnie szukać filmu. Była pewna, iż ufa jej tak samo, jak ona jemu i lubi ją tak, jak ona jego. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by zastanowić się, dlaczego lubi go bardziej niż innych chłopców, których zna, bo nie miała osobowości analitycznej, lecz akceptującą. Brała każdy dzień takim, jaki jest, wiedząc, że będzie w nim coś nowego i coś starego, coś dobrego i coś złego.

Po prostu lubiła Maxa, to wszystko. Kiedy wyjedzie — na pewno wyjedzie, nic nie trwa wiecznie, nauczyła ją tego choroba — dalej będzie go lubić. Jeśli wróci, to dobrze, jeśli nie — to trudno. Ale przynajmniej będzie ktoś, kogo lubi przez jakiś czas, a to lepiej, niż nie mieć nikogo, kogo się bardzo lubi.

Na razie wszystko, czego chciała, to przekazać mu film, zobaczyć, jak rozświetli mu się twarz, gdy go dostanie i obserwować jego zachwyty nad wszystkimi ceremoniami poświęcenia łodzi.

Przeskoczyła płot, przemierzyła podwórze, przesadziła płot po drugiej stronie podwórza i pobięła boczną uliczką. Skręciła za róg, precyzyjnie się między pojemnikami na śmieci i przecięła alejkę. Była teraz tylko kilka domów od Beach Street, czuła w uszach uderzenia bębnów.

Uliczka, którą szła, była wąska. Po obu stronach zaparkowane były samochody, z wyjątkiem wjazdu do otwartego garażu. Zbliżając się do niego, poczuła dziwny zapach, słony i zgnile słodki i ujrzała strużkę zielonej cieczy sączącej się zza drzwi garażu do rynsztoka.

Zwolniła, bo garaż należał do przyjaciół jej rodziców. Jeśli ciecz sącząca się na ulicę to coś ważnego, olej napędowy albo ścieki, cokolwiek oznaczającego niebezpieczeństwo, powinna znaleźć tych ludzi na ceremonii i powiedzieć im o tym.

Nachyliła się i powąchała płyn. Nie przypominał niczego, co kiedykolwiek wąchała. Wyprostowała się, zajrzała do ciemnego garażu i zobaczyła całą kałużę cieczy. Gdy się jej przyglądała, kapnęło do niej parę kropli. Bez wątplenia coś pękło i przeciekało.

Weszła do garażu.

Wisząc jak ogromny nietoperz, wciągnęło powietrze do płuc i poczuło, jak do tkanek ciała wraca życie.

Nagle wyczuło ofiarę, usłyszało ją. Przewróciło gałkami ocznymi w przód i spojrzało na dół.

Elizabeth wyczuła zmianę ciśnienia w otaczającym ją powietrzu, jakby wielkie zwierzę wzięło ogromny oddech. Nic nie słysząc, nic nie widząc w ciemnych kątach garażu, poczuła skurcz strachu.

Odwróciła się i uciekła.

Ramiona stworzenia drgnęły. Długie, połączone błoną palce ogromnych dłoni wyciągnęły się. Stworzenie wyprostowało nogi i przekoziółkowało na podłogę. Ofiara była drobna i delikatna, łatwa do złapania i zabicia.

Ale kiedy uderzyło o podłogę, zbyt słabe nogi zachwiały się. Stworzenie upadło na bok. Odepchnęło się ramionami, podniosło w rozkroku i ruszyło niezgrabnie w stronę światła.

Ofiara zniknęła.

Ryknęło z frustracji i wściekłości głębokim gardłowym pomrukiem. Nagle wyczuło niebezpieczeństwo, pojęło, że będą je ścigać, zrozumiało, że musi uciekać. Ale nie wiedziało, gdzie będzie bezpieczne.

Nie miało wyboru. Musiało powrócić do znanego sobie świata.

Wycofało się z cienia na ulicę.

Nie pamiętało, jak się tu dostało, nie wiedziało, jaką obrać powrotną drogę. Otoczone budynkami, nie widziało morza, ale czuło je węchem, więc kierowało się nosem w stronę zapachu soli.

Wędrowało niecałą minutę, gdy usłyszało blisko za sobą dźwięk, który rozpoznało jako sygnalizujący agresję. Obróciło się, by stawić czoło zagrożeniu.

Duże zwierzę pokryte czarną sierścią stało w rozkroku w ciemnej przestrzeni między budynkami. Sierść stanęła mu na szyi, wargi cofnęły się, odsłaniając długie białe kły, napięły się wielkie mięśnie przednich kończyn. Z gardła dobywał się warczący odgłos.

Stworzenie oszacowało wzrokiem zwierzę, myśląc raczej o ucieczce niż o jedzeniu. Czuło, jednak że zwierzę nie pozwoli mu uciec, że jest zdecydowane atakować.

Zrobiło więc duży krok w jego kierunku.

Zwierzę skoczyło z obnażonymi zębami i wyciągniętymi pazurami.

Stworzenie schwyciło je w powietrzu i zatopiło stalowe kły w jego gardle. Warczący dźwięk natychmiast zmienił się w skowyt, a potem zamilkł. Stworzenie trzymało zwierzę, pozwalając mu umrzeć.

Gdy było już martwe, rzuciło je na chodnik, uklękło obok i rozpruło mu szponami brzuch. Sięgnęło do ciepłego wnętrza ciała i wyrwało ze środka wnętrzności.

Potem poszło dalej w stronę bezpiecznego morza.

— Przystań się martwić, Max — przekonywał go Chase. — Sądząc po odgłosach, orkiestra wyjdzie zza tamtego rogu za jakieś dziesięć sekund, więc się wyluzuj. Ona cię znajdzie.

— Ale miałem być gdzie indziej — odparł. — Nie powinienem...

— Ej, Max — uśmiechnął się Chase. — Czy ty przypadkiem nie jesteś... — Przerwał, gdy poczuł, jak Amanda wbija mu łokieć między żebra.

— Znajdzie cię — zapewniła Amanda, obejmując chłopca ramieniem — i wszystko zrozumie. Naprawdę.

Max szedł za paradą, dopóki w przestrzeni między nadbrzeżnymi budynkami nie zobaczył, że Amanda i ojciec płyną wolno na Mąko Instytutu. Puścił się sprintem między skały i pomachał. Chase skierował łódź na brzeg i kazał Maxowi wskoczyć na pokład. Zaczumowali w jednym z doków rybackich i wyszli na brzeg, by poczekać na procesję.

Pierwszy pojawił się biskup, za nim cała świta i doboszki. Kiedy muzycy wynurzyli się zza rogu i weszli na drogę prowadzącą prosto do doku, orkiestra uderzyła w tony marsza „Pułkownik Bogie”.

Max spojrzał na pusty aparat fotograficzny.

— Mam swój — oznajmiła Amanda, wyciągając z kieszeni małą aparat. — Zrobię ci odbitki.

Roland Gibson przedarł się przez tłum za plecami Chase’a i zatrzymał koło niego. Mundur komendanta policji był świeżo odprasowany, jego buty lśniły.

— Dwa tysiące turystów, Simon — powiedział z uśmiechem. — A ty chciałeś, żebym wszystko odwołał.

— Masz rację — odparł Chase. — Ale to jeszcze nie koniec. Kiedy wypuścisz Pucketta z aresztu?

— Gdy tylko ostatni gość wyda ostatniego dolara. Koło szóstej wieczorem. Potem możesz usłyszeć wszystko o potworze Rusty’ego.

Krótkofalówka przy pasku Gibsona zatrzeszczała i ktoś zawołał:

— Szefie...

Gibson zdjął radiotelefon, coś do niego powiedział, wysłuchał odpowiedzi i rzucił cicho:

— Cholera.

— Co się dzieje? — spytał Simon.

— Tommy nie powiedział nic konkretnego, tylko tyle, że powinienem coś zobaczyć. — Gibson odwiesił krótkofalówkę i skierował się do doku. — Do zobaczenia.

Niespodziewanie Chase usłyszał za sobą krzyk syna, przebijający się przez dudnienie zbliżających się puzonów:

— Elizabeth!

Odwrócił się i zobaczył, że chłopiec puszcza się sprintem wzdłuż tłumy ludzi w stronę bosej dziewczynki w niebieskiej sukience, biegnącej co sił w nogach obok orkiestry.

Spotkali się. Dziewczynka drżała, Max wyciągnął do niej rękę, żeby ją uspokoić. Kiedy Chase podszedł do nich, usłyszał, że Elizabeth próbuje coś powiedzieć, ale z jej ust dobywają się tylko nieskładne dźwięki. Jej ręce trzepotały przed twarzą chłopca jak kolibry. Max potrząsał głową i

mówił:

— Wolniej, wolniej.

— Co ona mówi? — spytał go Chase.

— Nie rozumiem tego — odparł.

Amanda stanęła obok Chase'a, przyklękła, wzięła w dłonie ręce Elizabeth i zapytała:

— Nic ci się nie stało?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Przestraszyłaś się?

Skinęła potakująco.

— Czego?

— Czegoś — powiedziała ochryple. — Czegoś dużego.

Wtedy Chase usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Podniósł głowę i zobaczył, że Gibson kiwa na niego ręką z drugiego końca doku.

— Zaraz wrócę — oświadczył.

Twarcz policjanta była sina z gniewu.

— Coś zabiło właśnie Bustera, psa Corky'ego Thibaudeaux — poinformował. — Rozerwało mu gardło i wypatroszyło na środku Maple Street. Tommy znalazł to.

Wyciągnął dłoń i Chase zobaczył ząb z nierdzewnej stali. Dwie krawędzie były ząbkowane, a po obu stronach trzeciej, grubszej krawędzi znajdowały się małe haczyki z wąsami.

Wstrzymał oddech. Popatrzył na kiel, potem spojrział na Gibsona i powiedział:

— Ono tu jest, Rollie. Wyszło na brzeg.

Weszło do wody w tym samym miejscu, z którego się wynurzyło — widziało własne ślady na piasku. Chroniąc się za kamieniami, powoli sunęło po pochyłym mulistym dnie, aż zanurzyło się po ramiona.

Opróżniło płuca z powietrza, zanurkowało pod wodę i, tak jak kazał mu mózg, wytworzyło ruch w łukach skrzeli, otworzyło usta, rozszerzyło tchawicę i wciągnęło wodę.

Zakrztusiło się.

Natychmiast wyskoczyło na powierzchnię, dysząc i kaszląc. Ból palił mu płuca i ścisnął mięśnie brzucha.

Oslabione, wytrącone z równowagi, poślizgnęło się i zaczęło tonąć. Woda wciekła mu do szpar skrzeli, znów się zakrztusiło i zachłysnęło. Sięgnęło do jednego z wystających kamieni, chwyciło się go i przytrzymało charcząc, dopóki nie opróżniło płuc.

Jeszcze dwa razy próbowało się zanurzyć, przestrzegając każdego kroku dawno wpojonego programu. Dwa razy poniosło porażkę.

Nie wiedziało, co się stało, ani dlaczego. Jego umysł nie umiał zadawać sobie takich pytań, a więc nie mógł udzielić odpowiedzi. Wiedziało tylko, że nie może już żyć pod wodą, że przeżycie zależy od oddychania powietrzem.

Ale czuło też, że nie przeżyje między istotami oddychającymi powietrzem.

Nawet jeśli nie może żyć pod wodą, będzie musiało żyć w wodzie.

Wciągnęło głęboko powietrze, szczelnie zatrzasnęło pokrywy skrzeli i rzuciło się w dół. Tym razem nie krztusiło się. Widziało, bo soczewki wokół oczu były nienaruszone. Mogło się poruszać. Na próbę popłynęło do przodu.

Ale kiedy usiłowało zanurkować, odczuło różnicę. Nurkowanie nie było już proste, płynne, naturalne. Stało się trudne, a ciśnienie wewnątrz ciała wyносиło je w stronę powierzchni.

Była też inna różnica. Płuca bardzo szybko zaczęły je boleć, w uszach czuło dudnienie, mózg nakazał mu poszukać powierzchni i odetchnąć.

Wystrzeliło łukiem do góry, przebiło się przez powierzchnię i zaczęło dyszeć. Gdy wciągało i wydychało powietrze, zmieniała się jego pływalność i musiało powoli uderzać nogami, by utrzymać pozycję.

Jego mózg napotkał wyzwanie. Jeśli miało przeżyć, zmiany wymagały przystosowania.

Po paru chwilach poczuło się na tyle dobrze, by stopniowo odpłynąć od brzegu. Po drugiej stronie wody zobaczyło ląd.

Pozostając pod wodą najdłużej jak mogło, wynurzając się tylko po oddech, popłynęło w stronę lądu. Czuło, że tam znajdzie bezpieczeństwo.

Tam będzie mogło zapolować.

CZEŚĆ SZÓSTA

~ BIAŁY REKIN ~

— Cześć ci, Ray — rzekł Rusty Puckett, przyciągając taboret i przyklepując dwudziestodolarowy banknot do kontuaru.

— Seven-and-Seven? — spytał barman.

— Niech będzie podwójny, mam okropne pragnienie. — Rusty rozejrzał się wokoło. Sala nie była nawet w połowie pełna. Była siódma trzydzieści, wcześni bywalcy baru poszli na kolację, ci późniejsi jeszcze nie przyszli.

Ray zmieszał drinka, postawił przed Puckettem szklankę i wziął banknot. Wydając z uśmiechem resztę, powiedział:

— Słyszałem, że byłeś na wczasach dzięki uprzejmości władz.

— Bydlaki — warknął. Wysączył pół szklanki i odczekał, aż ciepło rozleje mu się po żołądku. — Nawet nie przeprosili. Zastanawiam się, czy nie zaskarżyć Rolliego Gibsona.

— Za co, że cię otrzeźwił? Moim zdaniem wyglądasz nieźle. Dzień — dwa wolnego nigdy nikomu nie zaszkodziły.

Puckett dokończył drinka i machnął, by mu dolać. Prawda była taka, że czuł się dobrze, i to nie tylko fizycznie — czuł się dowartościowany. Szef policji i inni nie wierzyli jednemu jego słowu, myśleli, że kłamie albo ma halucynacje. Ale potem, dziś po południu, nagle szczerze się zainteresowali, chcieli usłyszeć całą historię od samego początku. Ale pokazał im wszystkim, narobił Gibsonowi i temu Simonowi Chase'owi kłopotu, utrzymywał, że nic nie pamięta. Dlaczego miałyby oddawać im coś za darmo, gdy mogą być z tego jakieś pieniądze? Niektóre z tych programów telewizyjnych — jak one się nazywają? dokudramy — płacą grube dolary za wyłączność wywiadów, a on był świecie przekonany, że jest jedyną osobą, jaka widziała tę rzecz, cokolwiek to było. Musi tylko poczekać, wieść się rozniesie i sami do niego przyjdą. Potrafi być cierpliwy, ma mnóstwo czasu.

— Nate Green był tu wcześniej — powiadomił go Ray. — Szukał cię.

— Pewnie, że tak. — uśmiechnął się Puckett. — Co mu powiedziałaś?

— Że cię nie widziałem.

— Dalej mnie nie widziałeś, rozumiesz? — Nate Green niech idzie do diabła, pomyślał Puckett. Mogę złowić grubsze ryby, o wiele większe niż Waterboro Chronicle.

— Jasne, Rusty — odparł Ray. — Mi tam wszystko jedno.

Puckett skończył drugiego drinka. Teraz czuł się naprawdę dobrze. Nawet Ray traktował go z szacunkiem.

Jakiś mężczyzna wszedł z ulicy, usiadł na drugim końcu baru i zamówił kieliszek wina. Kiedy Ray nalewał mu wino, mężczyzna spytał:

— Zna pan człowieka o nazwisku Puckett, pana Rusty'ego Pucketta?

Puckett zastygł i udał, że czyta menu na tablicy nad barem.

— Ehe — odparł Ray nie patrząc w stronę Pucketta. Odstawił butelkę z winem do lodówki i wrócił do krojenia cytryny.

— Widział go pan?

Puckett usłyszał w głosie mężczyzny obcy akcent, nie amerykański, cudzoziemski, jak u kogoś z Europy.

— Może — odpowiedział Ray. — Ma pan do niego sprawę?

— Być może.

Puckett ssął kostkę lodu, odruchowo zastanawiając się, czy mogą być z tego kłopoty. Nikomu nie jest winien pieniędzy, ostatnio nie ukradł nikomu homarów z pułapek, nie odciął żadnych boi, nie uderzył w żadną łódkę ani nie potrącił nikogo ciężarówką — o ile pamięta. Potem pomyślał o możliwych profitach. Może facet jest z dużego pisma albo jednego z programów telewizyjnych i chce ubić interes.

Kiedy przeanalizował wszystkie możliwości, poczuł się na tyle bezpiecznie, by odwrócić się w stronę mężczyzny i powiedzieć:

— Ja jestem Puckett. Kto pyta?

— Ach — powiedział mężczyzna. Uśmiechnął się, wstał z taboretu, zabierając swój kieliszek wina, a mijając barmana skomentował: — Potrafi pan zachować dyskrecję.

Rusty patrzył na zbliżającego się mężczyznę. Był wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, miał szerokie ramiona i wąski pas. Facet, który dba o siebie, pewnie dużo ćwiczy. Puckett domyślił się, że ma pod pięćdziesiątkę — kiedyś jasne włosy były teraz siwe, szesane z czoła równo do tyłu. Ubrany był w szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Miał bladą skórę, nie chorobliwie bladą, po prostu jasną, jakby nigdy nie widziała słońca. Puckett stwierdził, że wygląda jak grabarz.

— Czy mogę się do pana przysiąc? — spytał mężczyzna.

Wskazał na sąsiedni taboret i pomyślał: bez wątpienia Europejczyk. „Czy” zabrzmiało jak „tzi”. Może to Niemiec albo Holender, a może pochodzi z jednego z tych pieprzonych państweczek, które się bez przerwy rozpadają.

— Na zewnątrz czeka gentleman, który chciałby się z panem spotkać — poinformował mężczyzna.

— Po co?

— Słyszał o panu. O tym, co pan opowiadał.

Puckett zamilkł, po chwili odezwał się:

— Dobra, przyprowadź go pan.

— Obawiam się, że jest to niemożliwe.

— Czemu? — zaśmiał się Rusty. — Za duży, nie przejdzie przez drzwi?

— Coś w tym rodzaju.

„Czosh”, „czosh” w tym rodzaju. Niemiec. Na pewno.

— Ej, Ray — zapytał barmana — nie ma zakazu wstępu dla grubasów, co?

Ray nie zaśmiał się.

— Czy zechce pan wyjść na zewnątrz? — zapytał mężczyzna. — Myślę, że będzie to warte pańskiego zachodu.

— Warte mojego zachodu, to znaczy?

— Finansowo.

— No to, do diabła, czemuś pan od razu tak nie mówił? Rusty wstał. — Trzymaj dla mnie miejsce, Ray. Gdybym nie wrócił za dziesięć minut, zadzwoni na 997.

Po drugiej stronie ulicy zaparkowana była ciężarówka. Była czarna, miała przyciemniane okna, tak że nie było widać wnętrza kabiny. Zauważył, że tablica rejestracyjna ma nowojorskie numery dla inwalidów.

— Cholera, co to takiego? — zdziwił się. — Karetka?

Mężczyzna odsunął jedną z bocznych klap i pokazał mu, że ma się wspiąć do środka.

Przechylił się i zajrzał do wnętrza. Było ciemne i, o ile mógł dojrzeć, puste. Bez żadnego powodu przebiegły go dreszcze.

— Nic z tego — powiedział.

— Panie Puckett...

— Słuchaj, Hans, nie wiem, kto jest w środku, nie znam ciebie, nic nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie włożę do środka. Powiedz mu, żeby wyszedł.

— Mówiłem panu...

— Zapomnij. Chcesz ubić interes, ubijemy go na słońcu. Koniec i kropka.

— Przykro mi — westchnął mężczyzna.

— No, tak...

Puckett nie widział, żeby ręce mężczyzny poruszyły się, ale nagle zakręciło nim, stopy oderwały mu się od ziemi i poczuł, że leci do ciemnego wnętrza ciężarówki. Uderzył o wysłaną dywanem podłogę i legł w oszołomieniu. Usłyszał, jak boczna kłapa zatrzaskuje się, a silnik zaczyna pracować i poczuł, że ciężarówka rusza.

Chase wyciągnął ostatnią stronę faxu i szybko ją przeczytał.

— Jeszcze jeden „oid” — powiedział z rozgoryczeniem.

— Jaki tym razem? — zapytał Tall Man.

— „Elasmobranchoid”, wykazujący cechy ryb chrzęstnoszkieletowych. — Rzucił papier na biurko. — Niektórzy z tych facetów muszą mieć doktoraty z chronienia własnych tyłków. Są geniuszami jeśli chodzi o kleczenie zdań, które świetnie brzmią i nic nie mówią.

Przez ostatnich czterdzieści osiem godzin Chase zafaxował do każdego oceanologa, jakiego w życiu spotkał, wysyłając odbitki polaroidowych zdjęć stalowych zębów i śladów szponów na trupach zwierząt, opisując każdy wypadek, jaki zaszedł od znalezienia braci Bellamych i prosząc o opinie na temat zwierzęcia, z jakim mogą mieć do czynienia — o domysły, spekulacje, cokolwiek, obiecując, że utrzyma je w tajemnicy.

Tych paru naukowców, którzy raczyli się odezwać, odpowiedziało niejasno i wymijająco. Żaden nie ośmielił się podać nazwy konkretnego zwierzęcia, wszyscy obwarowali swe przypuszczenia dodając przyrostek „oid”, który nie mówił Chasowi nic, czego by już nie wiedział.

— A więc — rozpoczął — mamy już „carcharinoidea” — to stworzenie może być rodzajem rekina, „ichtioidea” — może być rybą, „pantheroidea” — może być morskim lwem albo tygrysem, oraz „elasmobranchoidea”. — Patrzył przez chwilę na stertę faxów, rozsunął je palcem i wybrał jeden. — Wiesz, który jedynie ma dla mnie sens? Ten od kryptozoologów.

— Tych ludzi od potworów morskich? — spytał Tall Man. — Ale to...

— Margines, wiem. Pseudonaukowcy, nikt ich nie bierze na serio. Ale jako jedyni mają odwagę użyć „oida”, który mi się podoba: „humanoid”.

— Daj spokój, Simon. — Tall potrząsnął głową. — Znasz fakty lepiej ode mnie. Stworzenie, które zabiło uchatkę było co najmniej na głębokości sześćdziesięciu metrów pod powierzchnią. Na taśmie nie było pęcherzyków powietrza, więc nie miało sprzętu do nurkowania. A nikt nie nurkuje bez sprzętu na sześćdziesiąt metrów, a już na pewno nie na tak długo, by zabić i zjeść uchatkę.

— Nie powiedziałem, że jest człowiekiem. Powiedziałem tylko, że może być humanoidem... czymś w rodzaju człowieka... podobne do człowieka... Do licha, sam nie wiem.

— Zaczynasz mówić jak Puckett. Czy ktoś już go znalazł?

— Nie. Zniknął, rozplynął się, nikt nie...

Zadzwoił telefon, Chase podniósł słuchawkę. Westchnął, zakrył mikrofon dłonią i powiedział:

— Gibson. — Zamknął oczy, oparł się głęboko w krzesło i wysłuchiwał litanii skarg. Budżet policji jest na wyczerpaniu, łodzie patrolowe pływają przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, oficerowie odbywają dwa razy dłuższe zmiany, prasa go szczuje, artykuł Nate’a Greena w Chronicle pod nagłówkiem „POTWÓR POŻARŁ PSA”, w którym nawiązał do niewyjaśnionej śmierci braci Bellamych i Bobby’ego Tobina, ściągnął dziennikarzy ze wszystkich agencji prasowych w kraju, jakiś producent chce nakręcić film telewizyjny pod tytułem „Szatan z głębin”, właściciele agencji nieruchomości, restauracji i mieszkańcy miasteczka bez przerwy telefonują, więc na posterunku dzwoni jak na alarm.

Jak zwykle, litania Gibsona zakończyła się oskarżycielskim pytaniem. Chase jest podobno najważniejszym naukowcem w okolicy, co on ma zamiar z tym wszystkim zrobić?

— A ty chciałbyś, żebym co zrobił, Rollie? — zapytał Simon, kiedy tamten skończył. — Mam przemierzać ocean jak długi i szeroki w mojej małej szalupie? Nie wiem nawet, czego powinienem szukać. Czy chłopcy z laboratorium mają wyniki analizy śluzu z podłogi garażu?

— I tak, i nie — odparł policjant. — Chyba coś im się pokręciło. Powiedziałem, że nie ma o czym gadać, dopóki nie będą mieć końcowych wyników analizy DNA.

— Dlaczego? Co znaleźli?

— Twierdzą, że śluz pochodzi od jakiegoś rodzaju ssaka.

— Jakiego?

— Myślą, że... — Gibson zawahał się, jakby wstydził się wypowiedzieć to na głos. — Mówią, że wygląda na to, że może pochodzić od istoty ludzkiej. Chryste, Simon...

Chase odłożył słuchawkę, wstał i zapytał Tall Mana:

— Gdzie nasz specjalista od ssaków?

— Tam gdzie zawsze: na dole, z dziećmi i uchatkami.

Schodząc ze wzgórza, widzieli, jak Max i Elizabeth bawią się w basenie z trzema uchatkami, a Amanda przygląda im się z betonowego nabrzeża.

Uchatki stawały się coraz bardziej bojaźliwe. Ich opiekunka twierdziła, że wygląda to jak kliniczna neuroza. Unikały wody, wszelkiej wody, nie tylko morskiej. Od dwóch dni zdecydowanie odmawiały wykonania polecenia nakazującego im wejść do basenu.

Zdesperowana Amanda zadzwoniła do kolegi pracującego z delfinami na Florydzie i dowiedziała się, że inteligentne ssaki reagują niezwykle pozytywnie na dzieci, zwłaszcza dzieci w jakiś sposób kalekie, porozumiewając się z nimi w pewien niewyjaśniony, najwyraźniej pozazmysłowy sposób. Poprosiła więc Elizabeth o pomoc w eksperymencie, którego wyniki okazały się zaskakujące.

O ile zwierzęta nie słuchały już bezpośrednich rozkazów Amandy, o tyle pozwalały, by Elizabeth zbliżała się do nich, głaskała je i jakoś przekonywała, żeby weszły za nią do wody i pobawiły się z nią i z chłopcem.

Powodzenie eksperymentu tak podnieciło Amandę, że przekazywała uchatkom coraz więcej poleceń przez Elizabeth i zachęcała ją do wymyślania swoich własnych komend, próbując poszerzyć zakres komunikacji.

Kiedy usłyszała za sobą kroki, wskazała ręką na dzieci i uchatki i powiedziała:

— To jest wprost niewiarygodne.

— Muszę z panią przez chwilę porozmawiać — oznajmił Chase. — Chodzi o wyniki badań laboratoryjnych.

— Ja też miałam zamiar pójść pana odwiedzić, ale nie wydawało mi się to na tyle ważne, by przerywać eksperyment. Doszłam do wniosku, że nic nie możemy na to poradzić.

— Na co?

— Rozmawiałam właśnie przez radio w szopie z pilotem samolotu obserwacyjnego.

— Myślałem, że mu pani zapłaciła i zwolniła — zdziwił się Chase — skoro uchatki nie chcą więcej pracować.

— Chyba zaciekawilo go, co tutaj robimy. W każdym razie, latał szukając mieczników dla kutrów rybackich i zobaczył po tej stronie Block Island łódź sportowo—rybacką roztaczającą gigantyczną płamę zanęty. Pomyślał, że będziemy chcieli o tym wiedzieć. Powiedział też, że wygląda to tak, jakby ktoś wabił żarłaczce białe.

— Ten ktoś musi mieć pozwolenie. Z całym tym rozgłosem wokół tutejszych kłopotów, po co ktoś miałby wypływać na morze i nęcić żarłacze? — Chase zmarszczył brwi. — W każdym razie, nie mogę nic zrobić, nie ma prawa, które by tego zabraniało.

— Nie — odparła Amanda — ale jest prawo federalne zakazujące używania młodych delfinów butelkonosych na przynętę. A pilot twierdzi, że właśnie to widział.

— Delfiny! — krzyknął Chase. — Jest tego pewien?

— Na sto procent. Ale pomyślałam, że zanim zadzwonimy do Straży Wybrzeża albo Agencji Ochrony Środowiska, czy gdzie indziej...

— Czy rozpoznał łódź?

— Tak, powiedział, że jest z Waterboro. Brigadier.

— Niemożliwe! Musi się mylić.

— Dlaczego?

— To po prostu niemożliwe. — Chase ruszył w stronę szopy.

— O czym chciał pan ze mną porozmawiać? — zawołała za nim Amanda.

— Za chwilę — odparł.

Tall wszedł za nim do szopy.

— Sammy? — powtórzył. — Nie mogę w to uwierzyć. — Znali Sama Medine od piętnastu lat.

Był popularnym i odpowiedzialnym przewoźnikiem czarterowym, niedawno prowadził kampanię na rzecz ograniczenia połowów przez rybaków i sportowych wędkarzy.

— O ile to naprawdę Brigadier — powątpiewał Chase. — Trudno odróżnić z samolotu. Ale zaraz się dowiemy. Cindy będzie ze mną szczerą. — Na ścianie szopy wisiał telefon. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Rozmawiał przez chwilę, odłożył słuchawkę i rzekł do Tall Mana:

— Niech mnie wszyscy diabli.

— To był Sammy?

— We własnej osobie. Jest w domu, ma wolny dzień, wiąże błystki. Mówi, że dostał ofertę wynajęcia samej łodzi, bez niego i załogi, sama łódź i żadnych pytań, za... dziesięć tysięcy dolarów dziennie!

Tall gwizdnął.

— Jaki połów wart jest dziesięciu patyków dziennie?

— To właśnie chciałbym wiedzieć. Zgadnij, kto wynajął od niego łódź.

— Donald Trump?

— Nie. Rusty Puckett.

— Puckett?! On nie ma tyle forsy, nikt w okolicy nie ma. Poza tym, co Rusty chce robić na...

— Nie poluje na żarłacze białe, Tall — odparł Chase. — Sammy twierdzi, że ten głupi sukinsyn uważa, że znalazł potwora. A przynajmniej przekonał jakiegoś nadzianego frajera, że go znalazł. Albo że może go znaleźć.

Leżało na kępie krzaków, wsłuchując się w dźwięk własnego oddechu i w odgłosy życia w otaczającym je lesie. Odbierało dźwięki i rozdzielało je, przechowując do późniejszej identyfikacji. Dostrajało swe zmysły.

Odkąd tylko stworzenie wynurzyło się z wody, następowały w nim zmiany, które czuło, ale których nie potrafiło zrozumieć. Im dłużej, zamiast dominującego w wodzie wodoru, jego system krwionośny, serce i mózg przesycala i odżywiała mieszanina tlenu i azotu, z której składa się powietrze, tym więcej zdawało się pojmować i pamiętać i tym większe były jego zdolności twórczego myślenia.

Wraz ze zmianą chemii, odmieniło się jego życie.

Wiedziało na przykład, gdzie kiedyś było. Jego umysł mógł nadać nazwy różnym przedmiotom i zwierzętom, choć jego głos nie potrafił ich jeszcze wymówić. Różnego rodzaju słowa przelatowały mu przez myśl, słowa tworzące wspomnienia uczuć tak różnych jak gniew, nienawiść, duma i uniesienie.

Czuło wielkość swej siły i przypominało sobie, choć jak przez mgłę, przyjemność, jaką dawało mu używanie tej siły. Przypomniało sobie też inne rodzaje przyjemności, pochodzące ze sprawowania władzy, zadawania bólu i niesienia śmierci.

Zbudowało sobie schronienie, wykopując płytki rów i pokrywając go liśćmi i gałęziami. Do tej pory nikt go nie wytropił poza ciekawskim psem, którego zabiło i zjadło.

Zrozumiało, że nie jest w stanie doścignąć i złapać większości zwierząt, z którymi dzieliło leśną głuszę, ale zaczynało się uczyć, jak schwytać je z zasadzki. Mimo to, nie było w stanie zaspokoić ogromnego i nadal rosnącego zapotrzebowania na energię. Wraz ze wzrostem siły rosły i potrzeby. Im więcej energii zużywało, tym więcej jej potrzebowało, im więcej potrzebowało, tym więcej musiało jej zużyć, by tę potrzebę zaspokoić.

Stało się rozmyślnie, nie tylko instynktownie ostrożne. Wiedziało, czego unikać, czemu stawiać czoło, co nie jest groźne, a co jest niebezpieczne.

Choć przeszłość i przyszłość wciąż przypominały ukryty we mgle horyzont, część tej mgły zaczęła opadać. Miało już swój cel — wypełnić misję zniszczenia.

Teraz odpoczywało, słuchając nawoływań ptaków i wiewiórek, stapania lisów i saren, wiatru szeleszczącego w koronach drzew, chlupotu niewielkich fal na pobliskim paśmie piasku.

Nagle pojawiły się nowe dźwięki. Niezgrabne kroki po leśnej ściółce, ciężkie i nieostrożne. I głosy.

Przeturlało się na kolana, stanęło na palcach nóg i wychyliło się zza krzaka w stronę, skąd dochodziły odgłosy.

— Niech to diabli! — krzyknął młody człowiek imieniem Chester, rozcierając sobie nogę. — Uwielbiam wykręcać sobie kostkę w kretowisku!

— To uważaj jak chodzisz — poradził mu przyjaciel, Toby.

— Nadal nie rozumiem, po co musieliśmy przyleźć aż tutaj.

— Jak ci powiedziałem, tu są zwierzaki.

— Do tego to posiadłość prywatna.

— Byłem tu milion razy, guzik ich to obchodzi.

— Tak? To czemu tyle tu tabliczek typu „nie polować, zabierać się stąd”?

— Ubezpieczenie — wyjaśnił Toby, który skończył już siedemnaście lat, w związku z czym miał wiedzę większą od Chestera o dwa miesiące. — Muszą je mieć.

— Ale jak naślą na nas gliny, to ty ukradłeś tę pieprzoną rzecz, nie ja. Nie myśl sobie, że im nie powiem.

— Pomagałeś.

— Patrzyłem.

— Bez różnicy.

— W każdym razie — ciągnął Chester — nie wiem, dlaczego sobie wyobrażasz, że zastrzelisz pieprzonego szopa z tej pieprzonej kuszy.

— Na pudełku było napisane: „skuteczna na pięćdziesiąt metrów”. Poza tym, może zamiast tego zobaczymy jelenie.

— O nie, tego nie zrobisz. Zastrzelisz jelenia? Jest po sezonie, ja spieprzam.

— Nie bądź dupek.

Przeszli jeszcze kilka metrów, aż dotarli do wielkiego drzewa rosnącego pośród splotów gęstego listowia.

— Świetnie — uznał Toby, stanął na liściach i obszedł drzewo dookoła.

— To trujący powój — zaprotestował Chester.

— Masz długie spodnie.

— Co w tym takiego świetnego?

— Kasztanowiec. Przyjdą prosto do niego, uwielbiają kasztany.

— Kto?

— Zwierzęta, różnego rodzaju.

— Akurat wiesz.

— Zamknij się.

Przykłąkli pod drzewem. Toby wyjął z kołczana u pasa półmetrową stalową strzałę zakończoną ostrym grotem. Oparł kolbę kuszy o ziemię, napiął ją i wsunął strzałę do szczeliny.

— Jak ona naprawdę lata, skoro nie ma piór? — spytał Chester.

— To nacięcie powoduje, że się kręci, jak wystrzelona z karabinu.

— Koniec nie ma nawet haczyka.

— Kula też nie ma, matole. Ma w sobie dosyć siły, zabiłaby pewnie nosorożca.

— Albo jakiegoś biegacza. To by było ciekawe wytłumaczenie dla...

— Zamknij się, mówię.

Chester milczał przez chwilę, potem wyszeptał:

— I co teraz robimy?

— A co robią myśliwi? Czekamy.

Istoty były dwie, jedna bardziej tłusta, obie powolne i słabe, ale najwyraźniej uzbrojone, chociaż nie wiedziało w co. Przyglądało się, czekało, by zobaczyć, co zrobią.

Nie robili nic, tylko kucali w krzakach.

Śpiew ptaków zamilkł, cmokanie wiewiórek też.

Przesunęło się powoli na lewo, aż między istotami a nim była otwarta przestrzeń. Złapie je z

łatwością, najpierw jedną, potem drugą i zaciągnie do jamy.

Najpierw tę tłustą.

— Co to było? — spytał Chester.

— Co?

— Ten hałas za nami.

Toby odwrócił się i spojrzał, ale zobaczył tylko krzaki.

— Wyluzuj się — poradził. — To my jesteśmy myśliwi. Uważasz, że coś się podkradnie i na nas skoczy?

— Nienawidzę lasu — wyznał Chester. — Ja... Toby!

Tłusta istota zauważyła je, patrzyła na nie, pokazywała je, hałasowała.

Zerwało się ze ściółki, zrobiło dwa szybkie kroki i spadło na tłustą. Zanurzyło szpony jednej ręki głęboko w jej klatce piersiowej, szpony drugiej — we włosach i oczach, odgięło jej głowę w tył i rozszarpało zębami gardło.

Tłusta istota umarła szybko.

Odwróciło się do drugiej.

— O Boże... Jezu... O Boże... Jezu...!!!

Toby zatoczył się w tył. Coś dopadło Chestera, coś wielkiego i sinobiałego, wokół chlapała krew, bo... o Boże, o Jezu... to stworzenie go jadło!

Toby uderzył plecami o pień drzewa.

Teraz stworzenie odwracało się w jego stronę. Miało żółtawe włosy, stalowe zęby, oczy białe jak kule bilardowe i było większe od Arnolda Schwarzeneggera.

Toby podrzucił kuszę do ramienia. Próbował coś powiedzieć, ale z ust nie wydobyły się żadne słowa. Pociągnął za spust.

Kuszą szarpnęło, gdy wyleciała strzała. Zobaczył, jak uderza w stworzenie i zanurza się w nim. Pocięk wąski strumyczek czegoś, co wyglądało jak krew.

Ale stworzenie wciąż się zbliżało.

Zawodząc z przerażenia, Toby rzucił kuszę, obiegł pień drzewa i uciekł.

Uczuło palący ból w boku, poniżej żeber. Spojrzało w dół i zobaczyło, że coś wystaje mu z ciała. Objęło przedmiot dłonią, wyciągnęło go z ciała i odrzuciło.

Nie było poważnie ranne, żadna z istotnych funkcji życiowych nie była zagrożona, ale ból spowalniał je i rozpraszał. Zatrzymało się i patrzyło, jak ludzka istota gna ślepo przez krzaki. Wróciło do tłustej, zdecydowane zaciągnąć ją do jamy.

Wtedy po raz pierwszy pomyślało o przyszłości. Druga istota ludzka może wrócić, by na nie zapolować. A z nią inne. Jest w niebezpieczeństwie. Będzie musiało ułożyć plan.

Usiadło opierając się o wielkie drzewo, zmuszając umysł do pracy, do planowania, tworzenia, myślenia.

Nadrzędne cele były jasne: zatamować upływ krwi, przeżyć. Zebrało liście z leśnego podłoża i mech z pnia drzewa, zmiażdżyło je i nałożyło na ranę.

By się pożywić, oddarło szponami z tłustej istoty kilka pasów mięsa i zjadło je. Jadło tyle, ile potrzebowało, zmusiło się, by zjeść jeszcze więcej, dopóki nie wyczuło, że następny kęs wywoła wymioty.

Wiedziało, że teraz musi uciec i znaleźć inne, bezpieczniejsze miejsce.

Wstało i poszło tam, gdzie drzewa kończyły się pasem nabrzeża. Stańło pod osłoną drzew, by się upewnić, że jest samo, a potem weszło do wody.

Nie mogło się zanurzyć, ale było w stanie płynąć. Nie mogło się już żywić w morzu, ale potrafiło przeżyć, zanim nie dotrze do innego lądu.

Tak jak wcześniej przypomniało sobie przeszłość, tak teraz zaczynało pojmoać przyszłość.

Morze było gładkie, nie było nawet tyle wiatru, by wywołać małe fale, więc Mako szybko wyrównała i przecinała błyszczącą powierzchnię z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

— Ciekaw jestem, kto dał dziesięć patyków — zawołał Tall Man, przekrzykując warkot silnika.

— Pewnie jakiś producent telewizyjny — odpowiedział Chase zza steru.

— No to niech się lepiej modli, żeby nie wywołać wilka z lasu.

Samotna łódź była zakotwiczona na głębokim kanale na południowy zachód od Block Island. Choć była jeszcze oddalona o pół kilometra, Simon rozpoznał ją natychmiast.

— To łódź Sammy’ego — stwierdził. — Biała z niebieskim pasem... wieżyczka do połowu tuńczyków... wysięgniki.

Słońce było za nimi, chyliło się po zachodniej stronie nieba. Tall Man osłonił oczy i wyteżył wzrok.

— Mają dwie pieprzone marlinki od strony rufy — zauważył. — Stalowe. W kokpicie tylko dwóch facetów.

— Jeden z nich to Puckett?

— Tak. — Tall zamilkł, wypatrując. — Drugi to potężny gość, tak duży jak ja. Wygląda na to, że ściska AK—47.

— Ściska — powtórzył Chase — a nie celuje.

— Jeszcze nie.

Mijając większą łódź, Chase starał się utrzymać od niej odległość stu metrów. Nie widział więcej załogi, żadnych kamer ani mikrofonów.

— Nie kręć filmu — stwierdził. — Polują. — Zawrócił Mako i wyłączył bieg. Łódź swobodnie unosiła się u boku kutra rybackiego.

Puckett przechylił się przez burtę i krzyknął:

— Spadaj, Chase! Za każdym razem, jak mam szczęście, musisz mi się wpięprzać. Każdy ma prawo zarabiać na życie.

— Ale nie mordując delfiny — odparł Chase. — Chcesz chyba spędzić wiele lat w małym pokoju, zupełnie sam.

— Gównu wiesz. — Puckett sięgnął do kieszeni, wyjął kawałek papieru i zamachał nim. — Te delfiny zdechły na wirusa, one i tuzin innych. Kupiliśmy je od laboratorium w Mystic.

Chase zawahał się. To, co mówił Rusty, było możliwe, a nawet miało sens. Przez kilka ostatnich lat setki, być może tysiące delfinów kilku gatunków zostało wyrzuconych na brzeg na wschodnim wybrzeżu. Zdychały na choroby wywołane infekcją wirusową tajemniczego pochodzenia. Uważano, że jej katalizatorem są zanieczyszczenia, ale jakie zanieczyszczenia — ścieki, nawozy i środki ochrony roślin spływające z pól, ropa czy odpady chemiczne — nie wiedział nikt.

— A ty co tam robisz, i ten twój Rambo? — Chase wskazał na wielkiego mężczyznę trzymającego w poprzek piersi automat. Zanim usłyszał odpowiedź poczuł, że Tall Man trąca go w ramię i zobaczył kamerę wideo zamocowaną na brzegu pomostu nawigacyjnego kutra. Poruszała się,

śledząc ich, gdy przepływali obok w swej Mako.

— Polujemy na żarłacze białe, a co? — odparł Puckett. — Na dobrej szczęście żarłacza białego można bez problemu zarobić pięć patyków.

— Nie wciskaj mi kitu, Rusty, wiem co...

Mężczyzna z bronią odezwał się:

— Nie złamaliśmy żadnego prawa. To wszystko, co powinno pana interesować.

— Nie, interesuje mnie coś więcej. Wiem, na co chcecie zapolować, ale nie macie zielonego pojęcia o tym, że...

Nagle z głośnika umieszczonego gdzieś nad kokpitem doszedł bezosobowy głos, szorstki i nienaturalny, niemal mechaniczny, wołający z twardym akcentem:

— Rudi! Chodź do środka!

Mężczyzna wręczył broń Puckettowi, odwrócił się i wszedł do kabiny.

Mako minął zakotwiczoną łódź. Chase wrzucił tylny bieg i cofnął, aż obie łodzie znów się zrównały.

Puckett trzymał automat przy biodrze, celując w nich.

— Odłóż tę strzelbę, Rusty — poprosił Tall Man. — I tak już jesteś po uszy w gnoju.

— Chodź tu i zatkać ją korkiem, Geronimo — zaproponował Puckett.

Mężczyzna wrócił z kabiny.

— Rzućcie mi linę — zażądał. — Wejdźcie na pokład.

— Po co? — zapytał Chase.

Głośnik zaryczał:

— Ty!

Chase popatrzył na kamerę wideo i wskazał na siebie palcem.

— Tak, ty. Mówisz, że wiesz, co robimy?

— Obawiam się, że tak.

— Wejdź do środka... proszę... ty i twój kolega. Chyba potrzebujemy się nawzajem, wy i ja.

W kabinie panował mrok, szyby w drzwiach były przyciemnione, na okna naciągnięto zasłony. Było też chłodno, działała klimatyzacja.

Kiedy ich źrenice przyzwyczyły się do ciemności, ujrzeni, że z kabiny wyniesiono wszystkie meble i zastąpiono je sprzętem, który powodował, że kajuta wyglądała jak oddział intensywnej terapii. Na środku pokoju stał napędzany silniczkami wózek inwalidzki, a w nim siedział mężczyzna. Gumowa rurka prowadziła od cyfrowego monitora, poprzez wiszącą butelkę, do żył w zgięciu jednego z jego łokci. Drugą ręką przytrzymywał końcówkę węża przymocowanego do butli z tlenem. Za nim stały inne urządzenia, między innymi elektrokardiograf i aparat do mierzenia ciśnienia, a powyżej, umieszczono monitor telewizyjny przekazujący kolorowy obraz z rufy łodzi.

Mężczyzna na pewno był stary, lecz nie można było stwierdzić, jak bardzo, bo miał ogoloną głowę i nosił okulary przeciwsłoneczne. Szerokie ramiona sugerowały, że kiedyś był potężny, ale skurczył się z wiekiem. Koc przykrywał go od kolan do piersi.

Uniósł dłoń podtrzymującą wąż z tlenem, odrzucił na bok fałdy żółtego szala i przycisnął rurę do gardła. Płuca wypełniły mu się, klatka piersiowa rozszerzyła.

Wtedy przemówił. Chase drgnął, gdy usłyszał słowa dochodzące nie od strony mężczyzny, ale ze skrzyni za nim, z jakiegoś wzmacniacza.

— Gdzie on jest?

„On?” — pomyślał Chase — jaki on?”

— Nie wiem — odpowiedział. — Niech mi pan teraz powie, czym... ono jest?

Znów przyłożył rurę do gardła i ponownie się odezwał.

— Kiedyś był człowiekiem. Stał się obiektem wielkiego eksperymentu. Nie wiadomo, czym jest teraz. Zapewne mutantem. Z pewnością drapieżką. Nie przestanie zabijać, do tego został przeznaczony.

— Przez kogo? I dlaczego myśli pan, że...

— Wiem, czego potrzebuje. Jeśli mogę go zwabić, żeby... — Chory gwałtownie osunął się na wózek, skończyło mu się powietrze. Odczekał, jakby gromadził siły do następnego oddechu.

— Co to znaczy, że stał się obiektem eksperymentu? — spytał Tall Man. — Jakiego rodzaju eksperymentu?

Mężczyzna wciągnął powietrze.

— Proszę usiąść — powiedział i wskazał na ławeczkę przy drzwiach.

Chase zerknął na monitor telewizyjny i ujrzał, jak Puckett wylewa za burtę rybnie wnętrzności i krew. Rudi siedział na rufie z AK—47 na kolanach.

Stary człowiek powiedział:

— Jeśli przybędzie, Rudi go zastrzeli.

— A więc można je zabić — powiedział Chase. — To duża ulga.

— Nie, to wciąż otwarte pytanie. — Nastąpiła drobna zmiana w tonie głosu mężczyzny, niemal jakby się uśmiechał. — Dobrze pytanie: czy można zabić coś, co nie jest naprawdę żywe?

Chase i Tall Man usiedli, a mężczyzna zebrał siły i po chwili ciszy zaczął mówić. Z początku

słowa dobywały się jak krótkie wystrzały, ale stopniowo mężczyzna wypracował rytm wdechów i wydechów, który pozwolił mu wypowiadać pełne myśli.

Simon zamknął oczy. Rozpraszał go widok rury dotykającej gardła, rozszerzającej się i kurczącej klatki piersiowej. Pozwolił słowom docierać do siebie i zmieniać się w obrazy.

— Nazywam się Jacob Franks — powiedział mężczyzna. — Urodziłem się w Monachium, a przed samą wojną pracowałem jako uczeń w aptece mego ojca. Mogliśmy wyjechać, namawiano nas do wyjazdu, ale ojciec odmawiał. Był człowiekiem o nietrafnym zaufaniu we wrodzoną uczciwość gatunku ludzkiego. Nie chciał wierzyć w plotki o zamiarach hitlerowców wobec nas, Żydów. Dopóki pewnej nocy nie stało się zbyt późno, by uciekać.

Rodziców i dwie siostry widziałem po raz ostatni, gdy wyprowadzano ich z ciężarówki do wagonu dla bydła na bocznicę koło miasta, o którym nikt przedtem nie słyszał.

Mnie oszczędzono życie. Byłem młody, silny i zdrowy, zostałem posłany na roboty. Nie mogłem wiedzieć, że buduję krematoria. W zasadzie sam sobie kopałem grób. Rzecz jasna, moje zdrowie zaczęło zawodzić z niedożywienia. Patrząc dziś w przeszłość nie mam najmniejszych wątpliwości, że od obrócenia się w proch dzieliło mnie tylko parę tygodni czy miesięcy, kiedy pewnego dnia do obozu przybył nowy lekarz. Ponieważ moje papiery wskazywały na pewne doświadczenie w farmakologii, przysłano mnie do niego do pracy.

Nazywał się Ernst Kruger i był protegowanym, przyjacielem, a później rywalem Josefa Mengele. — Przerwał na chwilę. — Przypuszczam, że wiecie, kim był Mengele.

— Jasne — odpowiedział Chase. — Kto by nie wiedział.

— Ja — odezwał się Tall Man.

— Mengele nazywano Aniołem Śmierci — wyjaśnił Franks. — Był lekarzem w Auschwitz. Radość czerpał nie z ratowania życia, ale z odbierania go i to w możliwie najohydniejszy sposób. Bawiły go eksperymenty na więźniach. Torturował ich wyłącznie po to, by sprawdzić, ile bólu wytrzymają, rozcinał bliźnięta tylko po to, by zobaczyć, jak są podobne. Przeszczepiał oczy, by się przekonać, czy będą działać, zamrażał i gotował kobiety i dzieci, by zobaczyć, jak szybko umrą. Uciekł pod koniec wojny i zamieszkał w Paragwaju i Brazylii.

— Nigdy go nie złapano? — zapytał Tall Man.

— Nie. Utonął kilka lat temu na plaży w Brazylii, tak się przynajmniej uważa. Twierdzi się, że istnieją na to dowody, lecz dla mnie Mengele nigdy nie umrze. Sam fakt, że taki człowiek mógł istnieć, że Bóg na to pozwolił, świadczy o tym, że w najciemniejszym zakątku każdego z nas musi być mały fragment Mengele.

— A pański lekarz — odezwał się Chase — ten Kruger. Czy on był taki, jak Mengele?

— Był tak zdeprawowany, jak Mengele — odparł Franks — i równie okrutny. Ale Kruger był bardziej inteligentny i miał większą ambicję, mimo że tak spaczoną.

— To znaczy?

— Uzurpował sobie boską moc. Naprawdę chciał stworzyć nowy gatunek.

Tall Man przerwał:

— Po co, do diaska?

— Do pewnego stopnia po to, żeby się przekonać, czy można to zrobić. Ale później, kiedy coraz bardziej posuwał pracę do przodu, a niemożliwe zaczęło wydawać się możliwe, kiedy jeden sukces następował po drugim, wieść dotarła do najwyższych szczebli hitlerowskiej hierarchii. Spłynęły do niego pieniądze i zachęta. Ambicja Krugera przerodziła się w czystą megalomanię. Zdecydował, że chce stworzyć rasę podwodnych wojowników.

Tall chciał coś powiedzieć, ale Franks przerwał mu.

— Pamiętajcie, że były to lata czterdzieste. Nie istniały atomowe łodzie podwodne o nieograniczonym czasie zanurzenia, ledwo co wynaleziono nurkowanie z butlami, w morzu człowiek był wciąż obcym. Wyobraźcie sobie stworzenie o inteligencji, wiedzy, wyszkoleniu i okrucieństwie człowieka, połączonymi z umiejętnościami najdoskonalszego morskiego drapieżcy.

— Jezu — westchnął Chase — hitlerowskie orki.

— Niezupełnie. A nawet o wiele bardziej wszechstronne — oznajmił Franks. — Orki jako walenie muszą oddychać, stworzenia Krugera nie musiałyby. Mogłyby przebywać pod wodą bez końca, nurkować na głębokość trzystu metrów, podkładać materiały wybuchowe, szpiegować statki. Jego marzeniem było wyposażyć je w nieograniczony potencjał zła.

— To znaczy, że był szurnięty — ocenił Tall Man.

— Niekoniecznie — wtrącił się Simon. — Pamiętam, że czytałem o jakimś profesorze z Duke, który próbował tego samego w latach sześćdziesiątych. Zaczął od myszy, zmuszał je do oddychania w cieczy i odkrył, że wdychanie płynów eliminuje możliwość dostania choroby kesonowej. Pewnego razu zdekompresował mysz z trzydziestu atmosfer do ciśnienia na powierzchni w trzy sekundy, co dla nurka równałoby się wynurzeniu z głębokości trzystu metrów na powierzchnię z prędkością 360 na godzinę. Mysz przeżyła. Nie widział przyczyny, dla której nie miałoby być tak samo z ludźmi. Przerwał swoje eksperymenty wyłącznie z braku zapotrzebowania — na scenie pojawiły się roboty podwodne, które lepiej potrafiły wykonać pracę na głębokości, nie narażając ludzi. Ale był przekonany, że mógłby stworzyć ziemnowodnego człowieka.

Franks kiwnął głową i powiedział:

— Teoretycznie, stworzenie człowieka oddychającego w wodzie nie powinno być bardzo trudne. Przecież pochodzimy od istot oddychających tlenem rozpuszczonym w wodzie. Płody żyją w płynie, a w pierwszych stadiach rozwoju embrionalnego mają szczątkowe płetwy, a nawet skrzela. Wszyscy cały czas oddychamy płynem w tym sensie, że nasze płuca zawierają minimalne ilości cieczy, bez której nie mogłyby funkcjonować.

— A więc twierdzi pan, że Krugerowi się udało? — spytał Chase.

— Prawie — odparł Franks. — Gdyby wojna potrwała dłużej, mógłby w zasadzie dopiąć swego. Opóźniała go jakość materiału do badań. Byli to ludzie słabi, chorzy, niedożywieni — niewolnicy. U wielu z nich rozwijały się infekcje po wstępnym zabiegu tracheotomii, a ponieważ antybiotyki nie były wówczas dostępne, umierali. Niektórym nie udało się przeżyć, gdy ich płuca zalewano roztworem soli fizjologicznej i fluoropochodnych węglowodorów. Ale Kruger miał niewyczerpane dostawy więźniów, więc nie ustawał.

I wtedy, z jakiegoś wysokiego szczebla, być może od samego Hitlera, przybył podarunek — doskonały obiekt eksperymentu. Heinrich Guenther był fizycznym ideałem aryjczyka, miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i mięśnie jak grecki pomnik. Na Olimpiadzie w 1936 roku zdobył medale w rzucie kulą, oszczepem i młotem i stał się kimś w rodzaju bohatera narodowego. Wstąpił do SS, został oficerem, a gdy nadeszła wojna, wydawało się, że ma przed sobą świetlaną przyszłość. Był nieustraszony i bezlitosny. Był człowiekiem bez sumienia. Zabójcą.

Był też niezupełnie normalny. Odludek, mieszkał samotnie i najwidoczniej przez wiele lat mordował ludzi, głównie prostytutki. Wyszło to na jaw dopiero wówczas, gdy miał atak szału w piwiarni i zabił trójkę ludzi. Przypuszczam, że dziś zdiagnozowano by go jako psychopatę seksualnego albo paranoicznego schizofrenika. W 1944 nazwano go maniakałym ludobójcą. Został skazany na rozstrzelanie i miano go stracić, gdy ktoś zdecydował, że może oddać Rzeszy jeszcze jedną, ostatnią przysługę. Przesłano go do nas.

— Pracował pan z tym facetem? — spytał Chase.

— Pracowałem nad nim. Razem z Krugerem. Całymi miesiącami. Traktowano go jak tygrysa. Między zabiegami trzymano go w klatce, żywiono surowym mięsem i zastrzykami witamin, znieczulano i programowano na sposób, który nawet dzisiaj wydaje się wyrafinowany — przez biologiczne sprzężenie zwrotne, warunkowanie podprogowe. Był niemal gotowy, został tylko ostatni etap, gdy alianci odbili obóz. Ale Kruger miał obsesję, nie chciał porzucić swojego eksperymentu. Uciekając, zabrał Guenthera ze sobą. Jak większości hitlerowców, którzy wiedzieli, że uznają się za zbrodniarzy wojennych, Krugerowi zaofiarowano drogę ucieczki do Ameryki Południowej.

Tak więc „zalaliśmy” Guenthera po raz ostatni, zapakowaliśmy go w skrzynię z brązu wypełnioną fluoropochodnymi węglowodorów i wzbogaconym roztworem soli i załadowaliśmy na ciężarówkę. Kruger uciekł pieszo, kierował się na północ, w stronę morza. Nie zobaczyłem więcej żadnego z nich..

— A co z panem? — spytał Chase. — Co się stało, gdy przybyli alianci?

— Uwolnili nas... Uwolnili nas wszystkich.

— Jak to — i już?

— Dlaczego nie?

— Dlatego, że pan nie przeżył tak po prostu — odparł Chase. — Pracował pan u boku tego potwora, kiedy on mordował ludzi.

— Więc... — odparł Franks, uśmiechając się ze zmęczeniem — ...może pomyśleli sobie, że dość wycierpiałem.

Pochylił się w krześle do przodu, blask monitora telewizyjnego padł mu na twarz. Zdjął okulary przeciwsłoneczne. Jedno oko miał normalne, ale drugie było ciemnożółte, jak żółtko jajka. Potem przytknął rurę do gardła, ale tym razem po wciągnięciu powietrza koniuszkami palców odsunął szal z szyi.

Po obu stronach szyi Franksa widniały trzy ukośne nacięcia, zagojone wiele lat temu w wypukłe, szkarłatne blizny, a pośrodku gardła ziała czarna dziura o poszarpanych brzegach, prowadząca w głąb przełyku.

— O mój Boże... — powiedział Chase. — Pan ma... czy to skrzela?

— Byłem obiektem wczesnego eksperymentu, który się nie udał — powiedział Franks. Założył z powrotem okulary. — I jestem jedynym, który przeżył. Moje płuca były za słabe, by wchłaniać fluoropochodne węglowodorów. Raz za razem tonąłem. Kruger mógł pozwolić mi umrzeć, ale nie pozwolił. Podnosił mnie zawieszono do góry nogami na łańcuchu, pozwalał, by grawitacja mnie osuszyła i pobudzał moje płuca na sposób, który w tamtych czasach uchodził za reanimację krążeniowo—oddechową. Przywracał mnie wciąż do życia, ponieważ, jak twierdził, byłem mu potrzebny. — Franks odchylił się w tył, poza zasięg światła. — Nigdy do końca nie doszedłem do siebie i nigdy nie dojdę. Ale nie chcę spojrzeć Bogu w oczy, zanim nie dokonam ostatniego aktu pokuty. Chcę zabić to... to najohydniejsze paskudztwo.

— Jeśli to właśnie ono — zastrzegł Tall Man.

— To ono, jestem pewien. Wiadomo, że Kruger nigdy nie dotarł do Ameryki Południowej. Ludzie tropiący hitlerowców, którzy wysłedzili Mengele, Eichmanna i wszystkich pozostałych, nigdy nie natrafili na jego ślad. U-boot, którym podróżował, został uznany za zaginiony.

— Skąd pan wie, że dostał się na U-boota?

— Zostały dokumenty. Hitlerowcy byli fanatykami prowadzenia rejestrów. Dzieło Krugera miało zakodowaną nazwę, a w archiwach wspomniano, że załadowano je na pokład U-165. Łódź zatonała, przypuszczalnie na środku Atlantyku.

— W jaki sposób to stworzenie mogło przebyć kilka tysięcy kilometrów po dnie oceanu —

zapytał Tall Man — i przeżyć?

— Kruger zwolnił metabolizm Guenthera do progu śmierci klinicznej, stanu głębszego od hibernacji. Środki chemiczne w skrzyni mogły podtrzymać tego typu proste życie. Jego zapotrzebowanie na pokarm równe było zeru, przynajmniej przez bardzo długi okres. Ostatecznie, jak u niedźwiedzia obudzonego przez głód na wiosnę, jego ciało zażądało pożywienia i chyba znalazł coś do jedzenia.

Franks przerwał. Chase i Tall Man popatrzyli na siebie.

— Przestałem szukać Krugera dawno temu. Wszystkie dowody wskazywały na to, że zmarł. Wuj zabrał mnie do Ameryki i znalazł mi pracę w przedsiębiorstwie chemicznym. Rozpocząłem nowe życie, urodził mi się syn, Rudi, zaczęło mi się wieść. Ale nigdy nie zapomniałem. Część mojego umysłu zawsze szukała wskazówek, podpowiedzi, że Kruger albo Guenther przeżyli. A potem zobaczyłem artykuł w gazecie o reporterze National Geographic, który zniknął ze statku badawczego niedaleko Block Island.

— Słyszeliśmy o tym — przerwał mu Chase.

— Artykuł mówił, że duża skrzynia z brązu wypadła za pokład i zaginęła. Była to ta sama skrzynia, którą badacze wyłowili z wraku łodzi podwodnej w Rowie Kristofa. Z niemieckiego U-boota.

— Powiedział pan, że nie ukończono programowania Guenthera, że został jeszcze jeden etap. Co to było?

— Ambicją Krugera było stworzenie prawdziwie ziemnowodnego zabójcy — odpowiedział Franks. — Który mógłby równie dobrze przeżyć w powietrzu, co w wodzie i swobodnie poruszać się między nimi. Uwarunkował go do oddychania w wodzie, a potem nauczył, jak osuszać płuca i oddychać powietrzem atmosferycznym. Nie miał już czasu pokazać mu, jak odwrócić proces, gdyby chciał wrócić do wody. Gdyby raz wyszedł na ląd, stałby się istotą zmuszoną do oddychania powietrzem. Zostałby tam uwięziony. Tak więc, jak pan widzi, trzeba go jak najpilniej zniszczyć, zanim...

— Chryste! — krzyknął nagle Chase i zerwał się na nogi. — Puckett nic panu nie mówił? To stworzenie było już na brzegu! Zabiło psa w Waterboro. — Odwrócił się do Tall Mana i rzekł: — Porozmawiaj przez radio z Rolliem Gibsonem, jego odbiornik w biurze jest zawsze nastawiony na kanał szesnasty. Powiedz mu, czym jest to stworzenie i że może być na wolności w miasteczku albo w lesie.

Tall wspiął się po schodkach do sterówki, zaś Simon otworzył drzwi i wyszedł na rufę. Kazał Rudiemu odciąć przynętę, a Puckettowi włączyć silnik, po czym wrócił do kabiny.

— To stworzenie jest po części człowiekiem — zwrócił się do Franksa — a przynajmniej było. Wiec powinniśmy być w stanie zabić je jak istotę ludzką, prawda?

— Chciałbym mieć tę pewność — odparł Franks. — Kruger zmienił centralny system nerwowy, więc on... ono żyje na bardzo prymitywnym poziomie. Powiedziałbym, że będzie je równie trudno zabić, co żarłacza białego. Co mi przypomina, panie Chase, że nie powiedziałem panu, jaką miał nazwę kodową. Hitlerowcy mówili o nim jako o Der Weisse Hai — „Białym Rekinie.”

Tall Man wrócił ze sterówki.

— Nie mogłem się z nim połączyć — poinformował — ale to nieważne, Rollie już działa. Spóźniliśmy się.

— Co to znaczy? — zapytał Chase.

— Radio trzeszczy jak pieprzony chiński fajerwerk, wszyscy się drą. Jakiś dzieciak zginął na Winter Point. Jego kumpel zaklina się, że zamordował go yeti.

— Yeti? — Zapytał Franks.

— Potworny Człowiek Śniegu. — Chase zwrócił się do Tall Mana: — Jedziemy. — Ruszył w stronę drzwi. — Mako zawiezie nas do miasteczka w...

— Simon... Tego stworzenia może nie być w mieście.

— Co masz na myśli? — spytał Chase.

— Dzieciak, ten który przeżył, mówi, że widział, jak zanurkowało do wody i zaczęło płynąć na wschód.

— Na wschód? Co jest na wschód od Winter Point? Tam nie ma już lądu, oprócz... o mój Boże!

— Jedynym skrawkiem lądu na wschód od Winter Point była Osprey Island. — Zawiadam Amandę na dwudziestym siódmym, każ jej zabrać dzieci i...

— Próbowałem — oznajmił Tall Man. — Nie odpowiada.

43

— Fajne — orzekła Elizabeth.

— Niesamowite — dodał Max.

Dzieci stały na skałach pomiędzy basenem dla uchatek i morzem, obserwując stareńki ślizgacz Pani Bixler, który poderwał się ze swej zatoczki i zbliżał się szybkim łukiem. Gdy łódź przechyliła się, późnopołudniowe słońce zabłysło na wypolerowanym mahoniowym kadłubie i osprzęcie z nierdzewnej stali. Wyglądał jak fantastyczny statek kosmiczny.

Chłopcu łódź strasznie się spodobała. Błagał Panią Bixler, żeby pozwoliła mu na niej popływać.

— Dopiero jak będziesz w moim wieku — odpowiedziała z uśmiechem. — Tylko tacy starzy głupcy jak ja mogą prowadzić łódź tak starą, jak ta.

Amanda stała za nimi, a z tyłu uchutki kołysały się na płetwach do przodu i w tył, szczerkami domagając się kolacji.

W szopie dziesięć metrów za basenem z głośnika radiostacji UKF dochodził głos:

— Baza Osprey, baza Osprey, baza Osprey... Mako Osprey wzywa bazę Osprey... Zgłoś się, baza Osprey...

Głos odbijał się echem od betonowych ścian, nie słyszany przez nikogo.

Pani Bixler miała na sobie pomarańczową kamizelkę ratunkową, okulary przeciwsłoneczne i czapkę baseballową założoną tył na przód, żeby daszek chronił jej fryzurę od wiatru. Zbliżając się do skał, zwolniła łódź, a ryk wielkiego silnika GM V—8 zmienił się w cichy warkot. Podniosła z ławeczki za sobą starą tubę i zawołała przez nią:

— Jadę do miasteczka zagrać w bingo, pewnie zostanę na noc u Sary. Kiedy dopłynę na brzeg, skontaktuję się z policją i upewnię się, czy Simon zdał raport. Pewnie posłali już dodatkową łódź. Zadzwoń do was, jeśli będą jakieś wiadomości.

Amanda i dzieci zamachali rękami. Pani Bixler pchnęła dźwignię do przodu, a łódź skoczyła przed siebie jak wyścigowy koń, przechyliła się w zakręcie i skierowała na zachód, w stronę łądu.

W szopie głos znów się odezwał:

— Baza Osprey, baza Osprey... Zgłoś się, baza Osprey...

— Pora nakarmić dziewczyny — oznajmiła Amanda i zrobiła parę kroków w stronę basenu. — Później pójdziemy do domu i zrobię jakąś kolację. — Wzięła Elizabeth za rękę, odwróciła się do niej i rzekła: — Cieszę się, że mama pozwoliła ci zostać na noc.

Dziewczyna kiwnęła głową i odpowiedziała:

— Ja też.

Max został na skałach, wyglądając w morze.

— Ciekawe, gdzie jest tatuś — zastanawiał się. — Robi się późno.

— Jest w drodze do domu. — Amanda miała nadzieję, że w jej głosie zabrzmiało więcej przekonania, niż miała go w rzeczywistości. — Nakryjemy do stołu dla niego i dla Talla.

Nakarmili uchutki, odłożyli resztę ryb do lodówki, złożyli w szopie plastikowe piłeczki, kółka, trójkąty i inne zabawki treningowe. Elizabeth wyszła z szopy ostatnia. Kiedy zamykała za sobą drzwi, poczuła w powietrzu słabą wibrację, podobną do drgań głosu. Rozejrzała się, ale nie mogła

zlokalizować jej źródła, więc zatrzasnęła drzwi.

Dźwięk był teraz stłumiony, ledwie słyszalny:

— Baza Osprey, tu Mako Osprey... Zgłoś się, baza Osprey...

Gdy dotarli na szczyt wzgórza, Max spojrzał w dół i zobaczył czapkę, stojącą w swoim baseniku.

— Powiniennem pójść nakarmić Wodza Josepha — powiedział.

— Tall to robi — odparła Amanda.

— Ale może wrócić bardzo późno. Mogę...

— Nie — przerwała szorstko i zdała sobie sprawę z tego, że się denerwuje. Nie boi, bo nie miała się czego bać, lecz zaczyna być niepewna, niespokojna. Ale dlaczego? Nie wiedziała.

Uśmiechnęła się do Maxa i odezwała łagodniejszym głosem: — Tall lubi go karmić. To jego rytuał.

Poszli dalej w kierunku małego domku, w którym mieszkała Amanda.

Morze było spokojne jak plama oleju. Sunąca łódź zostawiała za sobą na gładkiej wodzie prosty jak drut kilwater. Pani Bixler czuła się młoda, wolna, szczęśliwa. To była jej ukochana pora dnia, jej ulubiona rozrywka — pływanie w promieniach zachodzącego słońca. Wieża ciśnień i białe domki miasteczka robiły się już różowawe, niedługo staną się szaroniebieskie, a zanim dotrze do brzegu, będą szarego koloru, zwiastującego noc.

Coś w wodzie przed łodzią zwróciło jej uwagę. Stanęła na ławeczce i przytrzymała ster jedną ręką.

Płetwa grzbietowa, wysoka i idealnie trójkątna, przecinała zygzakami wodę. Za nią uderzał w przód i w tył ogon podobny do kosy.

Rekin? Co tu robi o tak późnej porze dnia? I to duży rekin, jakieś cztery i pół metra długości.

Zawróciła łódź i popłynęła za płetwą. Wydawało się jej, że rekin zachowuje się nerwowo.

Chociaż nie była żadnym ekspertem, wiedziała z zasłyszanych rozmów Simona i Talia i z obejrzanych filmów tyle, by pojąć, że ten rekin nie płynie sobie tak po prostu. Szuka pożywienia, albo ma taki zamiar. Poluje.

Gdy podpłynęła bliżej, ujrzała za płetwą grzbietową błysk metalu. Sygnalizator. Jeden z sygnalizatorów Instytutu. To żarłacz biały Simona.

Na widok zbliżającej się łodzi, rekin zanurzył się i zniknął. Pani Bixler odczekała chwilę, ale rekin nie wynurzył się już, więc zawróciła w stronę brzegu.

Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć o tym Simonowi. Będzie zaskoczony, podniecony i przejęty, kiedy dowie się, że jego rekin znów się pokazał. Teraz, kiedy odnalazł głowicę czujnika, będzie mógł go zlokalizować i...

W wodzie było coś jeszcze, wprost przed nią. Człowiek. Płynący człowiek. A przynajmniej wyglądał jak człowiek, choć był większy niż ktokolwiek, kogo w życiu widziała, i płynął jak delfin, wyginając szerokie plecy ponad powierzchnię i uderzając złączonymi stopami.

Co za idiota, pomyślała. Wy pływa tak daleko, sam, o zmroku.

Zrozumiała nagle, że właśnie na tego człowieka poluje rekin.

Przyspieszyła w jego stronę, modląc się, by dotrzeć do niego przed rekinem, modląc się, by miała dość siły, żeby wciągnąć go na pokład, modląc się by...

Nagle on również zniknął. Zanurzył się, tak jak rekin. Zatrzymała łódź i rozejrzała się dookoła, czekając, by się wynurzył. Będzie musiał wypłynąć, po prostu będzie musiał. Będzie musiał zaczerpnąć powietrza.

Chyba, że już dorwał go rekin. Albo już utonął. Co zrobić?

Człowiek nie pojawiał się. Panią Bixler ogarnęła trwoga. Był to nieokreślony, ale wyraźny strach

przed czymś, czego nie mogła rozpoznać.

Wrzuciła bieg, pchnęła dźwignię w przód i skierowała dziób łodzi w kierunku lądu.

Napełniło płuca i zanurkowało. Gdy hałas silnika oddalił się, zawróciło i poszukało w ciemnościach rekina.

Komórki jego mózgu odnawiały się w eksplozjach iskier, a po każdej takiej eksplozji wiedziało o sobie coraz więcej.

Tak więc nie bało się. Było podniecone. Nie czuło się zagrożone, ale wyzwane. Właśnie po to zostało stworzone, do tego było zaprogramowane — by walczyć i zabijać.

Znało własne ograniczenia i swą siłę. W wodzie było słabe tylko na powierzchni. Pod wodą nie miało sobie równych.

Najpierw wyczuło go jako podwodną falę ciśnienia. Potem ujrzało szary kształt, stożkową głowę, rozwartą paszczę.

Wciąż jednak się nie bało, ponieważ wiedziało, że ma przewagę. Ma mózg o zdolności twórczego myślenia.

Gdy żarłacz zaatakował, bezlitosny, ale i bezmyślny, stworzenie zrobiło unik w bok i wyrzuciło z płuc powietrze. Rekin, zdezorientowany wybuchem pęcherzyków, zawahał się, uniósł w górę i odsłonił biały brzuch.

Stworzenie wyciągnęło ręce i rzuciło się w przód, zatapiając głęboko szpony w miękkim ciele, ciągnąc je w dół. Ciało rozstąpiło się. Szpony napały mocniej, krew buchnęła z dziesięciu cięć w brzuchu żarłacza.

Ciało rekina zaczęło się wić, skręcać, a każdy ruch oddzierał więcej mięsa. Jelita rozdęły się i wypłynęły z ran.

Szpony cofnęły się. Rekin unosił się przez chwilę, po czym zaczął tonąć.

Piekący ból przeszywał płuca stworzenia, ale zmusiło się, by patrzeć, dopóki rekina nie pochłonęła ciemność.

Potem wynurzyło się, głęboko wciągnęło odżywcze powietrze i delektowało się zwycięstwem. Czuło zmęczenie, ale było ono mniejsze niż duma. Powróciło, znów całe. Było Der Weisse Hai.

Teraz musi poszukać łądu, gdzie będzie mogło ukryć się i zapolować. Z pomocą pokrytych błoną rąk powoli zatoczyło kółko, dopóki nie odnalazło celu, pojedynczego światełka na samotnej wyspie, niedaleko.

Było niemal zupełnie ciemno, kiedy Chase i Tall Man dotarli do wyspy. Różowe pasemko nadal rozświetlało zachodni horyzont, ale niebo w górze było ciemnogramatową narzutą, usianą złotymi kropkami pierwszych wieczornych gwiazd. Jedynymi światłami na wyspie były okna małego domku Amandy.

Przyплыw był wysoki, więc Chase mógł doprowadzić łódź blisko do brzegu, nie obawiając się, że uderzy o skryte pod wodą skały. Tall Man stał na dziobie i oświetlał mijany łąd mocnym reflektorem.

Zdawało się, że wszystko jest w porządku, bez zmian. Światło reflektora padło na szopa pożywiającego się rybą na płaskiej skale. Zwierzę zastygło, jego oczy świeciły czerwienią. Z pola światła uciekł lis, zmykając w las. Tylko uchatki wydawały się zdenerwowane. Zbiły się w kupkę u wejścia do swego legowiska, kołyszając się w tył i w przód.

— Może zawróciło na północ — zasugerował Tall Man. — Miałoby bliżej do Napatree niż tu.

— Mam nadzieję — odparł Chase. — Mimo to, chcę zabrać Amandę i dzieci do miasteczka. Na wszelki wypadek.

— Nie będzie chciała zostawić swoich uchatek.

— Nie mam zamiaru dawać jej wyboru. — Chase podjął decyzję w drodze powrotnej z Block Island. Jeśli istniała możliwość, nawet najmniej prawdopodobna, że to stworzenie przyplynie na Osprey, ewakuuje wyspę. Będą mogli wrócić jutro, w świetle dnia, z policją i największą ilością ciężkiej broni, jaką uda im się zgromadzić. Przeczesaą wyspę od krańca do krańca.

Kiedy okrążyli wyspę nie zauważając nic niezwykłego, żadnych martwych zwierząt ani świeżych śladów, Chase zawrócił Mako do doku i wsunął ją na pochylnię. Wyłączył silnik i wyszedł do doku.

— Zostań tu — powiedział, okręcając cumę wokół zacisku. — Pójdę po nich. — Ruszył po ścieżce.

Tall Man stanął w doku, przysłuchując się dźwiękom nocy — cykaniu świerszczy, zawołaniom ptaków, leniwemu pluskowi fal na brzegu. Nagle poczuł, że coś jest nie w porządku, czegoś brakuje. Dopiero po kilku chwilach zorientował się czego. Czapli. Gdzie jest Wódz Joseph? Zazwyczaj ptak stał w wodzie koło doku, domagając się jedzenia piorunującym, gniewnym spojrzeniem. Popatrzył na drugą stronę doku, ale zatoczka była zupełnie ciemna, nic nie widział. Wrócił więc na łódź, wziął z niej reflektor i oświetlił basen.

Ptaka w nim nie było. Gdzie on poszedł? Przeciągnął strumieniem światła do skał, potem na brzeg.

Pośród płataniny krzaków zobaczył pióro, długie, siwoniebieskie. Przeszedł po ścieżce, wszedł między gałęzie, rozgarnął je rękami. Były lepkie w dotyku, a kiedy oświetlił swoje ręce, ujrzał krew.

Wyrwał z korzeniami kępę krzaków, by oczyścić przestrzeń. Z tyłu, w błocie leżała głowa czapli. Została oderwana od szyi, brak było oczu.

Tall Mana zalała fala paniki. Odwrócił się i pobiegł w stronę domu.

— Bo nie mamy żadnych strzelb — powiedział Chase do Amandy. — Nie lubię broni. Nigdy nie trzymałem jej w domu.

Byli w kuchni. Max i Elizabeth siedzieli na podłodze, grali właśnie w wojnę dwiema taliami kart.

— Nie mogę zostawić uchatek, Simon — oznajmiła. — Są dla mnie jak dzieci. Nie mogę tego zrobić.

— Musisz. Nie możemy się tu bronić. Jeśli to stworzenie wyjdzie na brzeg...

— Nie pojedę. Zabierz dzieci do miasta, zostaw ze mną Tall Mana. Możemy wprowadzić dużą łódź do doku, spróbuję zabrać moje dziewczyny na pokład i...

Kuchenne drzwi otworzyły się gwałtownie.

— Ono tu jest! — krzyknął Tall, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi na klucz.

Max drgnął i przekazał Elizabeth wiadomość.

— Gdzie? — spytał Chase.

— Nie wiem, ale zabiło Wodza Josepha. Jest tu, Simon. Jest gdzieś na wyspie.

Simon spojrzał na dzieci.

— A więc nie możemy wyjechać.

— Dlaczego?

— Nie odważę się podjąć ryzyka. Może być wszędzie. Na przykład w krzakach koło doku.

— Skoczyłoby na mnie — powątpiewał Tall.

— Może nie, może jesteś za duży, ale z całą pewnością rzuci się na któreś z dzieci.

Amanda ruszyła w stronę drzwi.

— Gdzie idziesz? — spytał Chase.

— Zabrać dziewczyny i przyprowadzić je tutaj.

— Zwariowałaś?

— Pójdą za mną. Szybko wrócę.

— Nie obchodzi mnie to. Na zewnątrz jest kompletnie ciemno. Trzysta metrów w tę i z powrotem. Nie uda ci się.

— Muszę spróbować. — Otworzyła drzwi z klucza. — Będę na otwartej przestrzeni, zobaczę je, gdy będzie się zbliżać.

— To tylko zwierzęta, Amando! — krzyknął Chase.

— Nie dla mnie. — Wskazała na Maxa i Elizabeth. — I nie dla nich.

— Nie pozwolę ci na to.

— Nie powstrzymasz mnie.

— Owszem, powstrzymam. — Chase zrobił krok w jej kierunku. — Jeśli będę musiał, to cię związę.

— Przestań, Simon — powiedziała, otworzyła drzwi i wybiegła w noc.

Podbiegł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, ale była już na rogu domu i biegła przez trawnik.

— Niech to szlag — westchnął Tall Man. Zdjął nóż rzeźniczy z suszarki nad zlewem, wsunął go

za pas i podniósł reflektor ze stołu.

— A ty co znowu robisz? — zapytał Chase.

— Może miałeś rację, Simon, może nie rzuci się na metr osiemdziesiąt czerwonoskórego Terminatora. — Przeszedł przez drzwi i zniknął.

Chase zamknął drzwi na klucz i spojrzał na dzieciaki. Przerwały grę w karty i siedziały obok siebie, trzymając się za ręce, blade ze strachu. Uklęknął przy nich, położył rękę na ich dłoniach i rzekł:

— Wszystko będzie dobrze. Pewnie tylko się chowa. O świcie wezwiemy tu policję i...

— Ale, tato... — odezwał się Max. — Co będzie, jeśli... — Nie dokończył swojej myśli.

Simon nie odpowiedział, bo nie znał odpowiedzi. Zamiast tego, wymusił uśmiech na twarzy i powiedział:

— Do diabła, Max, czy wyobrażasz sobie, że cokolwiek pokona Tall Mana? — Jego myśli miały się, błędziły między różnymi możliwościami. Gdyby to stworzenie znalazło Tall Mana albo Amandę, gdyby Tall go nie zabił, co mogą zrobić? Nie mogą go zastrzelić, zadźgać go ani przed nim uciec.

Nie mieli żadnego wyjścia, a jednak Chase był pewien jednej rzeczy. Zrobi wszystko, poświęci nawet swoje własne życie, ale dzieci muszą przeżyć.

Wstał i odwrócił się, a kiedy spojrzał przez drzwi do saloniku, jego wzrok padł na stalowy cylinder przybity do podłogi.

Max spostrzegł, że patrzy na cylinder i powiedział:

— A komora dekompresyjna... mówiłeś na nią doktor Frankenstein?

— Co komora?

— Moglibyśmy wejść do środka i zamknąć się. To stworzenie nie dostałoby się do niej.

— Nie zamyka się od środka — odparł Chase. — Jedyne sposób... — Przerwał, bo nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł, jeszcze nie sprecyzowany, niejasny jak mgła. Nie poganiał go, pozwolił, by powoli nabrał realnych kształtów.

Tall Man dogonił Amandę w połowie wzgórza. Wołał ją, krzyczał, że biegnie do niej, wrzeszczał, więc zatrzymała się. Gdy maszerowali, przesuwał światłem z boku na bok.

Usłyszeli szczeknięcie, potem następne, szybkie, wysokie, oszalałe.

— Nie! — krzyknęła i zaczęła biec. Wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, ale była od niego zwinniejsza i szybsza. Mógł jedynie dotrzymać jej kroku, biegnąc trzy metry za nią po opadającym w dół zboczcu.

Dotarła do basenu pierwsza, on zatrzymał się przy niej dopiero po chwili. Słyszeli szczekanie uchatek, ale nie widzieli ich. Tall Man zaświecił reflektorem w stronę, skąd dochodziły dźwięki.

Dwie uchutki zbiły się w kupę pod ścianą szopy ze sprzętem, trzęsąc się na płetwach, potrząsając głowami i szczekając histerycznie. Przesunął światło na prawo.

Na skałach po drugiej stronie basenu przykucnęło coś wielkiego i szarobiałego. Widzieli tylko potężny grzbiet, ale gdy padło nań światło, stworzenie wstało i odwróciło się.

Amanda krzyknęła. Tall Man poczuł, jak serce skacze mu w piersi.

Było wielkie jak małpa, szare jak popiół. W zakrwawionej twarzy ujrzeli błysk stalowych zębów, po rękach zaopatrzonych w długie, stalowe szpony także skapywała krew. Ciało pozbawione było owłosienia. Ściągną na ramionach i nogach wydawały się napięte jak bicz. W miejscu genitaliów widniał tylko niestaranie zszyty płat nakrapianej skóry. Oczy, w które uderzyło światło, zaśniły niczym reflektory.

Za stworzeniem leżały częściowo pożarte zwłoki uchutki.

Stworzenie otworzyło paszczę, wydało gardłowy ryk i zrobiło krok w przód.

— Uciekaj! — krzyknął Tall Man do Amandy.

—... — Zastygła jak wryta.

— Uciekaj! Na Boga, biegnij ich ostrzec! Ruszaj! Zrobiła krok w tył, odwróciła się i pobiegła.

Tall nie ruszał się. Za stworzeniem była tylko woda, a po wszystkim, co o nim słyszał, nie miał zamiaru zmagać się z nim w wodzie.

Wyjął zza pasa nóż, ugiął kolana i wyciągnął ostrze przed siebie, ruszając nim wolno w przód i w tył.

Stworzenie przygarbiło ramiona i uniosło się na palcach nóg. Podniosło ręce do góry i rozstawiło błoniaste palce, obnażając szpony długie i ostre jak skalpele.

Jeśli stworzył cię człowiek, pomyślał Tall Man zataczając powoli łuk, człowiek cię może zgładzić.

Chase wykręcił ostatnią śrubę z długiego lustra, oderwał je z drzwi łazienki i postawił na podłodze. Przymierzył lustro do siebie i obliczył, że ma metr pięćdziesiąt wysokości i pół metra szerokości. Zaniósł je do saloniku i postawił obok otwartego wjazdu komory dekompresyjnej.

— Powinno wejść — powiedział. — Ledwie, ledwie.

Amanda kuliła się na krześle pod drugą ścianą. Nadal się trzęsła, wciąż była blada ze strachu.

— Tracisz tylko czas — powiedziała. — To nie zadziała.

— Muszę coś zrobić. Masz lepszy pomysł?

— Czym się usypia zwierzęta?

— Zastrzykiem Morbitalu.

— No więc?

— Uważasz, że można podejść do niego na tyle blisko, żeby mu zrobić zastrzyk? Jezu, Amando, to po prostu... — Przerwał, bo zobaczył, że dzieci stoją przy oknie saloniku, starając się dojrzeć podnóże zbcza, a nie chciał ich straszyć. Ale nie mógł usunąć z umysłu obrazu, który nawiedził go, gdy tylko Amanda wpadła przez drzwi, obrazu martwego Tall Mana leżącego pośród skał. — Pomóż mi, dobrze? — Zwrócił się do syna. — Widzisz coś?

— Jeszcze nie — odparł.

Amanda wstała z krzesła. Chase pochylił się, wszedł do komory i odwrócił się, żeby wziąć od niej lustro, które wsunęła do wjazdu. Przeniósł je na drugi koniec komory i oparł pionowo o stalową ścianę. Potem wycofał się, sprawdzając własne odbicie. Przykucnął obok samego wjazdu, przy wejściu.

— Co widzisz? — spytał. — Pamiętaj, że światło będzie przyćmione.

— W porządku — odpowiedziała. — Ale Simon, na Boga, kilkuletnie dziecko potrafi...

— To nie dziecko, tylko zwierzę.

— Tato! — krzyknął Max. — Tato, idzie Tall!

Wyczołgał się z komory i wstał. Chłopiec wskazywał palcem za okno. Obok niego stała Elizabeth, osłaniając oczy przed światłem z wnętrza pokoju, wytężając wzrok, by ujrzeć coś w ciemnościach.

Chase westchnął z ogromną ulgą.

— W samą porę — westchnął i podszedł do okna.

— Dzięki Bogu — dodała Amanda.

Daleko za trawnikiem, na zboczu wzgórza, przy basenie dla uchatek, widać było jakiś kształt idący się w kierunku domu. Jego ruchy był chwiejne, niepewne.

— Tall wygląda, jakby był ranny — zauważył Chase. Miał się już odwrócić, pójść do kuchni i wyjść przez drzwi na trawnik, gdy nagle dostrzegł barwę tego kształtu, odcień jasności na tle ciemnych drzew.

— Jezus Maria! — jęknął. — To nie Tall...!

Było ranne. Mówił mu o tym piekący ból w skórze twarzy, fakt, że jedna noga powoli reagowała na sygnały z mózgu, drętwota ręki. Popatrzyło na dłoń i zobaczyło, że jeden palec zwisa na ścięgnach. Szarpnęło palec kilka razy, dopóki ścięgna nie urwały się. Odrzuciło od siebie palec i zgarnęło trochę błota, którym obłożyło krwawiący kikut.

Nie czuło się osłabione ranami. Czuło się wzmocnione, silniejsze dzięki dumie z odniesionego zwycięstwa. Napotkało wartego siebie wroga, nie tylko ofiarę, ale przeciwnika i pokonało go.

Rany są niczym. Przeżyje i dojdzie do siebie.

Nie czuło już potrzeby obrony, przestało być ostrożne, bo gdzieś z głębi dotarło doń przekonanie, że jest niezwyciężone.

Zobaczyło odległe światełko na krawędzi spadzistego terenu. Światło oznaczało schronienie, być może i sposobność zniszczenia następnych wrogów.

Pochylając się nad zboczem, wciągało zdrętwiałą nogę po stoku, ruszając się wolno, skręcając to w tę stronę, to w inną, nie przejmując się upływem czasu. Czas nic dla niego nie znaczył. Było nieśmiertelne.

— Czemu nie możemy po prostu pobiec? — spytał Max. Był blady i niespokojny, wydawało się, że zaraz się rozplącze. — Nie może złapać nas wszystkich, jeśli się rozproszymy.

— Nie — odpowiedział Chase, otaczając jednym ramieniem syna, drugim Elizabeth, która trochę drżała, ale poza tym zdawała się niewzruszona, jakby była gotowa przyjąć cokolwiek się stanie. — Nie chcę, by złapało którekolwiek z nas, a zwłaszcza was dwoje.

Podszedł do okna, osłonił oczy i wyrztał w ciemność. Widział teraz stworzenie o wiele wyraźniej, upiorny kształt na czarnym tle. Ile zostało im czasu? Tego nie wiedział. Stworzenie poruszało się powoli, skręcając to w lewo, to w prawo, jakby bez celu. Jakby, ale niezupełnie, bo z każdą zmianą kierunku zbliżało się do budynku o kilka metrów.

— Zrobimy to — oświadczył i odwrócił się do Amandy. — Jesteś pewna, że pamiętasz procedurę?

— W zupełności. Ale nadal nie...

— Dobrze. — Chase wziął dzieci za ręce i zaprowadził je do małego pomieszczenia za komorą dekompresyjną. — Będzie ciemno — ostrzegł — ale poradzicie sobie, prawda? Będzie z wami Amanda.

Dzieci niepewnie kiwnęły głowami i weszły do pomieszczenia. Chase wyciągnął rękę do Amandy, zbliżył się do niej i wyszeptał:

— Jeśli coś pójdzie źle, cokolwiek, zabierz dzieci i biegnij do Mako. Powinniście mieć mnóstwo czasu. Przynajmniej będę mógł zatrzymać to cholerne stworzenie.

— Simon...

Pod wpływem impulsu, Chase pocałował ją.

— Włącz do środka — powiedział, wepchnął ją do pomieszczenia i zamknął drzwi.

Podszedł do tablicy rozdzielczej na ścianie i wcisnął główny guzik włączający komorę dekompresyjną. Gdy maszyna ruszyła, rozległo się buczenie i syk ukrytych w ścianach pojemników z powietrzem, które zaczęły się wypełniać. Wyłączył wszystkie światła w pokoju oprócz odpornej na ciśnienie różowej żarówki wewnątrz komory.

Potem przeszedł przez właz, przykucnął i zaczął czekać.

51

Było coraz bliżej, widziało ruch wewnątrz budynku, ciemne kształty na tle światła przeświecającego przez okna. Nie było ostrożne, nie miało się na baczności, czuło tylko wyzwanie. Może je widzą, może nie, ale nie mogą go powstrzymać.

Potem światło zgasło, zniknęło jakby wyszała je noc.

Zatrzymało się, by ocenić zmianę, by upewnić się, że nie zawiodły go zmysły.

Nie, widziało kształty, ciemną bryłę budynku na tle czarnego dachu nieba. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, ujrzało nawet słaby różowy poblask gdzieś we wnętrzu domu.

Na nowo podjęło marsz i wkrótce było już przy ścianie budynku. Powoli, z namysłem okrążyło go, szukając wejścia.

Znalazło drzwi, cieką przegrodę z drewna i szkła. Zamachnęło się, by je zniszczyć.

Przez buczenie maszyn Chase posłyszał brzęk szkła i trzask pękającego drewna, a potem niski, gardłowy dźwięk.

Przekroczyło próg i weszło do dużego pokoju, trzymając wzrok utkwiony w słaby różowy blask. Usłyszało dźwięk maszyn i ujrzało duży, sztywny przedmiot na środku pokoju. Blask pochodził z jego wnętrza. Powłokło się w jego kierunku, przesunęło się w stronę, gdzie zwisały otwarte okrągłe drzwi i pochyliło się.

W przyćmionym świetle ujrzało w drugim rogu przedmiotu ludzką istotę, taką jak ta, którą niedawno pokonało, ale mniejszą, słabszą, wystraszoną.

Ofiara. Łatwa zdobycz.

Weszło do środka.

Chase poczuł kwaśny, słonawy, zgniły zapach, usłyszał dźwięk kroków na stali.

Nie ważył się opuścić wzroku, uczynić ruchu, który mógłby zmienić jego odbicie w lustrze.

Stworzenie minęło go. Zobaczył bezwłose ciało nóg i pośladków w kolorze kości słoniowej, błonę między palcami nóg, zakrzywione stalowe szpony pokryte zakrzepniętą krwią.

Chase'owi zdrętwiały nogi. Zmuszał się, by tkwić bez ruchu, błagał stworzenie, by szło dalej. Jeszcze dwa kroki, pomyślał, jeszcze tylko dwa kroki i będzie mógł... Stworzenie zatrzymało się.

Było zdezorientowane. Coś było nie w porządku. Istota ludzka była tam, a zaraz potem zniknęła. Zobaczyło coś jeszcze, coś, czego nie umiało rozpoznać.

Nagle zrozumiało. Zobaczyło samego siebie.

Odwróciło się z okrzykiem wściekłości.

Chase zerwał się z podłogi komory i zanurkował przez otwarty właz. Wylądował na kolanach, obrócił się i sięgnął do drzwi komory. Były ciężkie, cięższe, niż mu się zdawało.

Stworzenie zrobiło krok w jego stronę i rzuciło się w przód.

Chase przesunął drzwi i oparł się o nie. Zobaczył, że wyciąga się ku niemu ręka, robi się coraz większa.

Drzwi zatrzasnęły się z brzękiem.

— Już! — krzyknął Chase. — Teraz! — Przekreślił blokadę.

Błysło czerwone światło, sygnalizujące, że komora jest hermetycznie zaplombowana. Poczł uderzenia w stalowe drzwi.

Usłyszał, że drzwi małego pomieszczenia otwierają się, a Amanda biegnie do tablicy rozdzielczej. Przełączniki nastawił wcześniej, musiała tylko wcisnąć odpowiednie guziki.

Rozległ się syk sprężonego powietrza wpadającego do komory przez kilka kanałów. Było zimne i suche, a stykając się z ciepłym powietrzem wypełniającym już komorę, zmieniało je w mgłę.

— Zanurz je — polecił Amandzie — najgłębiej i najszybciej jak można. — Przesunął się do ściany komory i zajrzał przez luk.

Porzuciło nieugięte stalowe drzwi, czując, że zostało schwymane w pułapkę, szukając drogi ucieczki. Zobaczyło otwór pokryty szkłem i zamachnęło się pięścią, by je rozbić.

Nagle przeszył mu głowę ból, jakiego dotąd nie znało, palący jak ogień, miażdżący mu mózg na ciekłą masę. Przycisnęło ręce do głowy i wrzasnęło.

Choć niewiele widzieli we mgle wirującej w komorze, usłyszeli głos, przenikliwy skowyt konającego zwierzęcia.

— Puszczają mu uszy! — zauważył Chase.

— Nic dziwnego — odparła Amanda. — Sprężyłam powietrze w komorze na głębokość pięćdziesięciu metrów w pięć sekund. Jego uszy nie potrafią dostosować się aż tak szybko. Musi je potwornie boleć.

Wrzask umilkł.

— Musiały mu pęknąć bębenki — stwierdził Chase.

— To znaczy, że ból minął. Jest głuche, ale wyrównało ciśnienie. — Spojrzała na wskaźnik na tablicy kontrolnej.

Coś uderzyło o luk. Na szkłe pojawiły się drobne pęknięcia podobne do pajęczej sieci.

— Szybko! — Krzyknął Chase. — Chryste! Chce rozbić luk. Jeśli mu się uda, komora eksploduje jak bomba. — Odwrócił się do dzieci. — Wyjdźcie na zewnątrz — polecił. — Szybko.

— Ale... — Max był zaskoczony. — Dokąd?

— Dokądkolwiek... Idźcie!

Dzieci pobiegły do drzwi kuchennych.

— Jest na głębokości stu metrów — poinformowała Amanda.

Ból minął równie szybko, jak się pojawił. Teraz czuło w głowie tylko pustkę.

Choć nie mogło wiedzieć, co się z nim dzieje, potrafiło wskazać przyczynę bólu — ludzkie istoty przyglądające mu się przez szybę. Jego cel zmienił się. Nie interesowało go już przeżycie. Teraz pożałowało zemsty.

Jego stopa uderzyła o coś twardego. Schyliło się, podniosło przedmiot i rzuciło się na okrągłą szybę.

— Ma klucz francuski! — krzyknął Chase, odsuwając się od luku, o który uderzała ciężka głowica stalowego narzędzia. Na szkle pojawiły się kolejne pęknięcia.

— Sto osiemdziesiąt metrów — zameldowała Amanda. — Dwieście.

— Musi nam się udać, teraz już musi nam się udać.

— Ale nie wiemy, czy...

— Zadziała. Musi. — Przycisnął twarz do luku i wysilił wzrok, by ujrzeć coś we mgle. Zobaczył, że stworzenie kuca i zadziera do góry ręce, trzymając klucz jak maczugę. — Zrób to! — krzyknął.

— Wynurzam je — powiedziała i nacisnęła kilka przełączników. Rozległ się ogłuszający hałas wysysanego powietrza. Mgła w komorze gwałtownie zawirowała i zaczęła się rozpraszać.

Chase zobaczył, że stworzenie zamiera, ujrzał w szarej mgle białka jego oczu i srebrny błysk zębów. Skoczyło w stronę luku.

Zdawało się, że stworzenie zamiera w powietrzu, jakby uderzył w nie piorun. Tułów skręcił się, oczy wyszły na wierzch. Upadło na podłogę komory i wbiło szpony we własne ciało.

— Sto pięćdziesiąt metrów... — mówiła Amanda. — Sto czterdzieści...

— Działa — powiedział Chase. Nie mógł oderwać wzroku od luku. — O mój Boże...

Przy powietrzu w komorze sprężonym do głębokości dwustu metrów, ciśnienie wywierane na stworzenie, jego płuca i zatoki, jamę brzuszną i każdą inną jamę ciała zawierającą powietrze, wynosiło ponad dwadzieścia kilogramów na każdy centymetr kwadratowy. Teraz, kiedy Amanda zmniejszyła ciśnienie w komorze do wielkości odpowiadającej temu na powierzchni, powietrze uciekało ze stworzenia szybko i gwałtownie, jak z przekłutego balonu.

Nic nie widziało, nic nie słyszało, nie mogło oddychać. Każdy staw i ścięgno było jak w ogniu. Wydawało mu się, że żołądek chce przesunąć się do klatki piersiowej, klatka piersiowa przepłynąć do głowy, głowa rozlecieć się na kawałki.

Nie miało pojęcia, co się dzieje. Nie mogło wiedzieć, że powietrze w jego ciele dekompresuje się w o wiele większym tempie, niż można znieść, że pęcherzyki azotu rozpraszają się w jego tkankach, zagnieżdżając się w nich i nieubłaganie pęczniejąc, rozrywając je na strzępy.

W rozpaczę ścisnęło się szponami, jakby chciało nadać swemu zniekształconemu ciału dawną formę.

Chase przyglądał się w oszołomieniu, jak stworzenie miota się w komorze od ściany do ściany. Krew wyciekała mu z ust i uszu, oczy wyszły na wierzch zniekształcone w swych oczodołach. Stworzenie podniosło rękę, jakby chciało je powstrzymać, ale zanim ręka dotarła do twarzy, jedna z gałek ocznych wyskoczyła z oczodołu jak winogrono wyciśnięte ze skórki i zawisała groteskowo na czerwonym pasemku mięśni i włókien.

Obraz był surrealistyczny — wijący się, pulsujący, pęczniejący kształt, który stworzyć mógł niespełna rozumu rzeźbiarz i którym kierował szalony lalkarz.

— Siedemdziesiąt pięć — odczytała Amanda. — Sześćdziesiąt... co się dzieje?

— Jest na kolanach — odparł Chase. — Ma... o cholera!

Stworzenie wybuchło.

Komorę wypełniła gęsta szkarłatna mgła. Kropelki krwi i fragmenty ciała uderzyły o luk i przylgły do niego.

Chase stał w szpitalnym hallu, czekając na windę. Spojrzał na zegarek. Był spóźniony ponad godzinę.

Chciał zjawić się przed drugą, ale utknął rozmawiając przez telefon z Rolliem Gibsonem i Natem Greenem. Musiał dotrzymać słowa i dać Nate'owi, na wyłączność, szczegółowy opis tego, co zdarzyło się na wyspie.

A potem, gdy dopłynął do brzegu, czekał na niego Rudi Franks. Stał samotnie koło doku i trzymał prezent — stare, zniszczone zdjęcie Ernsta Krugera i Jacoba Franksa operujących Heinricha Guenthera.

Przeciągnęła się też wizyta w banku. Wstąpił tam, żeby zrealizować czek, ale jeden z urzędników bankowych chciał z nim porozmawiać o czymś, co musiało być pomyłką a dla Chase'a nie miało najmniejszego sensu.

Przyjechała winda. Chase wysiadł na czwartym piętrze i podszedł do dyżurki pielęgniarek.

— Nie spieszyłeś się, kochanie — stwierdziła Ellie Bindloss, niska, korpulentna kobieta, z którą Chase chodził do liceum. — Wiesz co, nie mamy tu odpowiedniego wyposażenia, by zajmować się półtonowymi goryłami.

— Przepraszam — powiedział. — Gdzie on jest?

Wskazała w głąb korytarza.

— Nie można go przeoczyć — odparła. — Usłyszysz go zanim zobaczysz.

Gdy Chase podchodził do otwartych drzwi na końcu korytarza, usłyszał krzyk Tall Mana:

— Przepraszam?! Co znaczy przepraszam? Dziabnąłeś mnie i zrobiłeś to celowo.

Potem usłyszał głos Maxa, mówiącego ze śmiechem:

— Spoko, wodzu. Posuń swojego.

Chase zatrzymał się przed drzwiami, nie wiedząc czego się spodziewać. W końcu wszedł do sali.

— Cześć — rzekł.

— Nie mów do mnie „cześć” — odpowiedział Tall Man. — Ten twój złośliwy dzieciak dał mi w tyłek cztery razy z rzędu. Powinniśmy nakarmić nim ryby. — Zaśmiał się, skrzywił nagle twarz i chwycił bandaż owijające mu klatkę piersiową i przytrzymujące jedną rękę przy boku. — Chryste — powiedział. — Śmiech to nie zabawa. Ale i tak lepszy niż kaszel.

Max siedział na łóżku. Pomiędzy nim i Tall Manem stała plansza do gry pokryta plastikowymi kartami i kolorowymi pionkami. Na krześle obok łóżka siedziała Amanda z gazetą na kolanach.

Chase nie widział się z przyjacielem dwa i pół dnia, odkąd leciał z nim helikopterem policyjnym i przywiózł go na oddział intensywnej terapii w New London. Wówczas Tall pokryty był krwią i błotem, miał kolor ziemistej szarości, jego oddech był przerywany i słaby. Lekarzom zajęło dwie godziny zanim zatamowali krwawienie, wpompowali powietrze do zgniecionej płuca i rozpoczęli pierwszą z wielu transfuzji. Wyprosili Chase'a z oddziału, a wieczorem, gdy nabrali przekonania, że pacjent przeżyje, kazali Simonowi iść do domu i położyć się spać.

Nie był pewien, co się stało przyjacielowi. Zaczął szukać go w ciemnościach, ale znalazł dopiero o świcie. Tkwił między dwiema skałami na brzegu, był prawie nieprzytomny. Twierdził, że niewiele

pamięta, oprócz tego, że ciał stworzenie kilka razy, a potem poczuł pchnięcie w prawy bok i ramię. Uczuł, że coś unosi go z ziemi i rzuca na skały w morzu.

Na czole chorego widniała szkarłatna gula, od lewego łuku brwiowego przez skroń przebiegała linia szwów.

— Nie wyglądasz najgorzej — ocenił Chase, podchodząc do łóżka. — Biorąc pod uwagę...

— Owszem, wyglądam źle, jak kilometr wyboistej drogi — odparł Tall Man.—I nawet nie próbuj mnie dotykać. Czuję się jak wykolejony pociąg.

Simon uśmiechnął się.

— Gotów jechać?

— Jasne, do diabła. Jeśli zostanę tu trochę dłużej, zagłodzą mnie na śmierć, zakłują na śmierć, albo jedno i drugie. — Tall Man pochylił się w przód, przełożył nogi przez krawędź łóżka i wstał, opierając się dla pewności o ścianę. Chase pomógł mu założyć spodnie i zarzucił mu na ramiona koszulę.

Pojawiła się Ellie Bindloss, pchając przed sobą wózek.

— Siadaj — zażądała.

— Nigdy — odparł Tali. — Mogę chodzić...

— Siadaj, zanim cię przewrócę.

Tali Man uśmiechnął się, zaśmiał, zakasłał.

— Twarda z ciebie babka, Ellie Bindloss — przyznał i klapnął na wózek.

Max pchał wózek po korytarzu, Ellie szła obok niego, Chase i Amanda za nimi.

Opowiedział Amandzie o zdjęciu, które dał mu Rudi, a potem dodał:

— Po drodze do domu musimy wstąpić do banku, chcę coś wyjaśnić.

Zawahała się przez chwilę, zanim zapytała:

— Co wyjaśnić?

— Nie wiem, nie mam pojęcia. Jeden z urzędników powiedział mi, że bank nie ma już dokumentów dotyczących wyspy. Sprzedali je.

— Naprawdę?

— Jakiej spółce. Przez chwilę myślałem, że nabili mnie w butelkę, sprzedali Finneganowi albo komuś innemu, kto chciał przejąć całą wyspę. Ale wtedy ten facet powiedział, że jestem jednym z udziałowców.

Amanda nie odzywała się, szła patrząc przed siebie.

— Słyszałaś kiedyś o czymś pod nazwą „Grupa Lew Morski”?

— To chyba coś nowego — odparła.

— Co to za nazwa, „Grupa Lew Morski”? Wiesz, co to jest lew morski?

— Pewnie.

— To... — Chase przerwał, a kiedy znaczenie tego, co chciał powiedzieć, dotarło do niego, przyszła mu do głowy myśl, że nigdy w życiu nie czuł się aż tak głupio.—Uchatka... Lew morski to uchatka...!

Amanda uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę.

— Później omówimy szczegóły — powiedziała. — Będziemy mieć na to mnóstwo czasu.

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
Warszawa 1995. Wydanie I
Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi